

M.B.
tm.
L.W.
w kied



Foto: Grzegorz Galasiński

Miał być Nowy Jork w Łodzi, a jest bałagan, brud, dewastacja i brak pieniędzy kiedy rosną koszty.

Bezradność na Manhattanie

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Manhattan — to brzmi naprawdę dobrze, światowo! Niektóre nazwy trzeba na siłę wymyślać, a one potem i tak odwołują się do swych ułec i placów. Ta — przynajmniej — nie od razu, choć jest nieoficjalna. Wszystkie jedno, czy jej autor był ironistą, czy snobem. Najważniejsze, że w samym centrum Łodzi umieścić na próbę kawałek Nowego Jorku. No i jest kłopot, bo Manhattan iść powinien, jak w Ameryce, a on tymczasem zaczął się sypać!

Trzy przyczyny bezradności działaczy

Trudno jest nawet zakreślić jego granice. O wiele łatwiej uczynić to na planie, niż w terenie. Można co prawda wskazać, iż Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa (tak brzmi oficjalna nazwa Manhattanu) ograniczona jest z trzech stron światła ulicami Piotrkowską, Adama Mickiewicza i Henryka Sienkiewicza. Lecz jak wyzna-

czyć linie na południu, skoro dwa potężne, kilkunastopiętrowe bloki stoją tu samotnie wśród kamienic z zaniedbanymi podwórkami, sąsiadując z placem budowy wznoszonego od lat przedszkola, w otoczeniu obokuranych budynków z czerwonej cegły, gdzie mieszczą się instytucje i biura, których nie udało się na czas wyprowadzić, i tak już zostały. Podobnie jest zresztą na Manhattanie „B”, pomiędzy ulicami Adama Mickiewicza i Stanisława Wigury — tu także „osiedle” sprowadza się do trzech monstrualnych bloków, podzielonych na segmenty o różnej wysokości — aż do 24 pięter. Pomiedzy tymi mrowiskowcami, we wnętrzu rzekomego „osiedla”, wzrok natrafia na ruiny fabryczki, na resztki ogrodzeń z siatki i betonowy płot z dziurą, przez którą można się przedostać na boisko szkolne; na baraki, podwórka i podwóreczka. Słowem, zamiast wygodnych

5

ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

Grand Hotel — epizod z przeszłości

LESZEK OLEJNIK

Wyzwolenie Łodzi 19 stycznia 1945 r. przez wojska I Frontu Białoruskiego otworzyło nowy etap w dziejach Grand Hotelu. Ten stylowy i elegancki hotel u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Romualda Traugutta szczególnie w pierwszych latach powojennych odegrał ważną rolę w życiu miasta i kraju. Jego losy i ówczesna kariera nieodłącznie związane były z awansem Łodzi na zastępczą stolicę Polski. Wobec niemal kompletnego zniszczenia Warszawy Łódź musiała wypełniać wiele stołecznych funkcji.

W momencie oswobodzenia miasta czynnych było pięć hoteli: Grand, Savoy, Polonia, Monopol i Hotel Polski. Wkrótce dwa z nich (Polonia i Hotel Polski) zostały przejęte przez Armię Czerwoną na szpitala wojskowe. Liczący kilkadziesiąt pokoi hotel Monopol został latem 1945 r. na mocy wyroku sądowego zreprezentowany. Był on wówczas zamieszkały niemal całkowicie przez profesorów twórczego Uniwersytetu Łódzkiego. Tak więc de facto w pierwszym roku po wyzwoleniu bazę hotelową Łódź stanowiły jedynie Grand i Savoy.

Gdy pierwsi żołnierze i oficerowie Armii Czerwonej przekraczali drzwi wejściowe Grand Hotelu w mroźne popołudnie 19 stycznia 1945 r. zastali niewielką — kilkudziesięcioosobową grupę polskiego personelu, który witał ich tradycyjnie chlebem i solą. Tempo ofensywy radzieckiej zaskoczyło niektórych dotychczasowych lokatorów. W swych wspomnieniach Stanisław Mroziński pisze, iż według wieści czy legendy, gdy żołnierze radzieccy wchodzili do Gran-

4

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 24 (1576) ROK XXXI 11 CZERWCA 1988 ROKU CENA 50 ZŁ

Nie osiągnięto nawet pierwszego etapu reformy. Tymczasem są różne propozycje. Kto z nich skorzysta?

Kto da pieniądze na kulturę?

ANDRZEJ KAROLCZAK

Telewizjowicze (a właściwie wszyscy) prawie mieli niedawno okazję oglądać serial — zresztą z kiepską rolą Daniela Olbrychskiego — ukazujący doświadczenia i w przenośni kulisy teatru rewiowego w Paryżu w przeddzień wybuchu drugiej wojny światowej. Czy zwrócić uwagę na system finansowania tego teatru? Zapewne, przypomnę tylko, że Simona Signoret, grająca szefową teatru, każdą premierę przygotowywała za pieniądze, które uzyskiwała od bogatych sponsorów — z reguły przemysłowców czy bankierów, którzy zawodowo z teatrem nie mieli nic wspólnego. Jak się odbywał podział ewentualnych zysków czy strat, o tym, niestety, autorzy filmu nas nie poinformowali.

Całą tę anegdotę przytaczam po to tylko, żeby mieć pretekst do włączenia się do ogólnonarodowej rozmowy — a przynajmniej „ogólnoprasowej” — dyskusji nad stanem ekonomicznym kultury, nad sposobami i metodami finansowania kultury, nad nowym spojrzeniem na mecenat państwowy i nie tylko państwowy. Zresztą słowo „dyskusja” najczęściej nie oddaje istoty rzeczy: jest to z reguły ogólne biadolenie i rak zalamywanie.

Ano, tuż i bogato przez najbliższe lata nie będzie na pewno, zresztą przecież nie w kulturze tylko. Co wszak nie oznacza, żeby sytuacja była beznadziejna i nic się nie dało zrobić. Da się niewątpliwie co nieco zrobić pod warunkiem wszelako, że

inaczej spojrzymy na mecenat państwowy

przynajmniej tak rozumiany jak przez czterdzieści lat Polski Ludowej...

Przypomnijmy w skrócie: kulturę, jako istotną część propagandy i specyficznej pedagogiki społecznej uznano za dziedzinę skazaną na deficyt i konieczność stałego zasilania jej przez kasę państwową oraz fundusze związków zawodowych, przynajmniej w jej części upowszechnieniowej i w dziedzinie twórczości nieprofesjonalnej.

Początkowo to zasilanie państwowymi i społecznymi środkami obwarowane było określonymi serwitutami. Wydawnictwo mogło bez ograniczeń wydawać książki, Leona Kruczkowskiego i tłumaczenia współczesnych pisarzy radzieckich, teatr grał „Brygadę szlifierza Karhana” a malarze bez problemów znajdowali kupców na obrazy w stylu „Podaj cegieł”.

Już nieco gorzej było z niektórymi klasykami, co to nie chcieli się zmieścić w doktrynie, a zupełnie źle z tymi twórcami współczesnymi, którzy jakoś socrealizmu pokochać nie umieli, czy nie chcieli. A jeśli ktoś jeszcze miał czelność mieszkać za granicą (zachodnią, rzecz jasna) to, jeśli był Howardem Fastem albo Martinem Andersenem Nexb — proszę bardzo, jeśli natomiast był Polakiem — pełny załaban i zupełny zakaz nie tylko publikowania dzieł, ale i publicznego, głośnego wymawiania jego nazwiska. Ten system, ze

rozumiałych względów wymagał przejęcia całej kultury na utrzymanie państwa. Książki były śmiesznie tanie, bilety do teatru czy kina miały symboliczne ceny.

Czas się zmienił i mecenas państwowy coraz częściej rezygnował z surowych rygorów ideologicznych, coraz częściej cenil wartości estetyczne, moralne i intelektualne. Ale system finansowania funkcjonował bez zmian. Ba, mało tego, praktycznie funkcjonuje nadal, mimo iż zarówno sytuacja ekonomiczna naszego państwa uległa radykalnym zmianom, a i sprawa wolności słowa i wolności sztuki chyba w naszym już nie przypomina sytuacji z wczesnych lat pięćdziesiątych.

Spróbujmy się zastanowić

czy tak musi być w socjalistycznym państwie?

Do pewnego stopnia musi. I to nie tylko w państwie socjalistycznym. Jak daleko nie sięgać w historię, zawsze artysta musiał mieć mecenasa, marszanda, propagatora. Sztuka jest w swej istocie deficytowa i nieczęsto tu nie zmieniają kolosalne sumy wypłacane przez prywatnych kolekcjonerów za dzieła niektórych malarzy (głównie nieżyjących) czy rekordy kasowe filmów Spielberga czy musicali granych po kilka sezonów na Broadwayu.

Państwo, bez względu na ustrój i panującą ideologię a nawet bez względu na stan państwowej klasy zmuszone

jest iść na filharmonie, na galerie sztuki, na ambulatory teatr. Ale przecież nie na każdy teatr, nie na każdą galerię, nie na każdą orkiestrę! Ba, nie na każdą bibliotekę, że o wydawnictwach nie wspomnę.

Na całym świecie, na Wschodzie i na Zachodzie (tam zwłaszcza) jest niesłychanie zyskowny show-business, znakomicie dochodowa kinematografia o charakterze popularnym, itp. itd.

Zostawmy na boku ten wspólny świat, gdzie jedne rodzaje sztuki są dotowane, a inne przynoszą — w postaci podatków — kolosalne zyski, z których spokojnie można dotować to, co się samo utrzymać nie może, a z różnych względów warte jest utrzymania. Wróćmy na swojskie podwórko naszych niedostatków, chudych Funduszy Kultury, deficytowych kin i imprez estradowych. Zaczniemy może od tego, co największe chyba ostatnio budzi emocje a niestety od

sprawy książki.

która kamieniem leży na sercu wszystkim: księgarzom, bibliotekarzom, czytelnikom i kolekcjonerom, a już najbardziej wydawcom i autorom. Książka jest drogą i mało dostępną. Wynika to z praw rynkowych — podatkowych. Otóż ten zmeleczony z czystymi kartkami w samym środku egzemplarza, rozsypany się przy pierwszym czytaniu jest dlatego tak drogi, że w każdej fazie jego produkcji i sprzedaży obłożony jest podatkami: płaci podatek papieru, płaci wydawnictwo, płaci drukarnia, płaci wręcz koleporter, czyli księgarnia lub inny sprzedawca. Najmniej płaci autor, bo też i jego honorarium jest bardzo niewielką częścią ogólnych kosztów wydania płaconego ducha i umysłu. Na końcu płaci za to wszystko nabywca. Płaci sporo, a często jeszcze przepłaca, bo rynek sekulacyjny rozwinął nam się w tej dziedzinie nad wyraz.

Płaci, a czasem rezygnuje z kupna z dużym poczuciem

6

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorczyński,
Andrzej Gebarowski.

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Jaruz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Białejewski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski.

Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej
Kemp, Wasyl

Kocnow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy
Panaszewicz, Karol J.

Strwiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawni-
ctwo Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa - Książka
- Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 38

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych reklam i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy -
złokształowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
- instytucji i zakładów pracy

złokształowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa - Książka - Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach

pocztywych i u doręczycieli 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa - Książka - Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztywych i u doręczycieli

osób fizycznych zamieszka-
łych w miastach - siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa - Książ-
ka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 3.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miastach - siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa - Książ-
ka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 4.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 5.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 6.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 7.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 8.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 9.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

nadawców i u doręczycieli 10.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
łe w miejscowościach gdzie nie
ma Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” opłacają prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

Przegląd prasy

Skądinąd wiadomo, że Anna
German urodziła się w Związ-
ku Radzieckim, że później
często tam występowała i miała
miliony wielbicieli. Natom-
niast zupełnie nieznane były
dramatyczne losy rodziny pio-
senkarki. Wstrząsający artykuł
na ten temat został opubliko-
wany w radzieckim piśmie
„Trud” (8.V) i przedrukowa-
ny w tygodniku „FORUM”
(nr 21).

„Historia tej rodziny zaczęła
się dawno temu. Już za Kato-
ryny II w Rosji znalazła się
grupa Holendrów: protestan-
tów-mennonitów, którzy uciekli
przed prześladowaniami ze
strony katolików. Carya przy-
jechała im na osiedlenie się
między innymi żyłymi ziemie
na Kubaniu. Tam, w okolicach
Armawiru, przybyli zapuścili
korzenie, stali się takimi samymi
Kozakami, jak inni prze-
siedleńcy z różnych regionów
Rosji. O przeszłości przypo-
minają tylko nazwa ulicy -
Holenderska i rozkwitające
wiosną niezwyklej piękności
tulipany.

W rodzinie Martensów, gdzie
dorastała matka przyszłej pie-
siarki, Irma, bardzo sobie
ceniło zamilowanie do muzyki.
Martensowie nazywali siebie
„rosyjskimi Holendrami” i żyli
tymi samymi sprawami i kło-
potami co tubyley. Trzeba po-
wiedzieć, że ci dawni mienioni
szczęści kochali Rosję, która
w trudnej chwili dała schronie-
nie ich przodkom.”

W latach trzydziestych Irma
Martens ukończyła instytut pe-
dagogiczny w Odessie i otrzy-
mała dyplom nauczycielki je-
zyka niemieckiego. Następnie u-
dała się do Fergany w Uzbeki-
stanie, gdzie pracowała jej
matka i służył w wojsku brat
Wilmar. Tam poznała Eugeniusza
Germana - uchodzącego z
Polski, który zachowany był w
muzyce. Młodzi utworzyli naj-
pierw duet pieśniarski, a potem
pobrali się i przenieśli do Ur-
gencza w dolinie Amu-darii.

Irma była nauczycielką, a
Eugeniusz buchalterem w pie-
karni. W lutym 1936 roku przy-
jechała na świat córka Anna Wi-
ktorowa, zaś rok później syn
Fryderyk. W owym czasie na-
rastła represja stalinowska, prasa
donosiła o kolejnych procesach
„wrogów ludu”. Nieoczekiwanie
nieszczęścia spadły również na
rodzinę Martensów i Germanów.

„Irma pojechała w jakiejś
sprawie do Taszkentu, a kie-
dy wróciła do Fergany, do-
wiedziała się, że aresztowano
i męża, i brata. Pobiegła do
NKWD wyjaśnić, o co chodzi.
Odpowiedzieli jej: „Eugeniusz
German skazany na dziesięć lat
bez prawa korespondencji. Pe-
wien obywatel z takimi spra-
wami człowiek szepnął, że to
oznacza rozstrzelanie... O bra-
cie udało jej się dowiedzieć,
że został zesłany do lagru,
gdzieś pod Stalinskim, w
Kuzbasie.”

Młoda kobieta postanowiła
być blisko brata. Znalazła pra-
cę w tamtej szkole i sprowa-
dziła z Taszkentu matkę i
dzieci. A potem otrzymała wi-
adomość, że Wilmar zmarł na
gruźlicę. W drodze powrotnej
do Uzbekistanu (trwała około
tygodnia) dzieci zachorowały
na szkarlatynę. Ania przeżyła,
a młodszy Fryderyk zmarł.

Wkrótce po wybuchu wojny
przymusowo wysiedlono ich do
ziemiaków koło Buchar, gdzie
pięcioletnia Ania zachorowała
na tyfus. Irma z matką zdecy-
dowały się na ucieczkę. Po
wielu przygodach dotarły do
Dżambutu w Kazachstanie, a
następnie podały się za uchodź-
ców i osiedliły w pewnej kir-
giskiej wsi.

„W szkole, w której Irma
podjęła pracę, jednym z na-
uczycieli okazał się Polak na-
zwiskiem... German! Uznali to
za zgrzeszenie losu. Pobrali się.
Gdy tylko German dowiedział
się, że tworzy się wojsko pol-
skie, poszedł jako ochotnik na
front. Na pożegnanie wsunął
Irme karteczkę z numerem
pocztowy polowej i powiedział:
„Spotkamy się w wolnej Pol-
sce.”

Po wojnie Irma zaczęła szu-
kać zaginionego bez wieści
męża. Przedostała się do War-
szawy. Potem pojechała dalej
na teren zwrocone wojsko

Polsce. I tak zaczął się wro-
ciański etap jej biografii.”

W stolicy Dolnego Śląska do
dziś mieszka Irma German z
domu Martens. Żyje w mieszk-
aniu, które (przedwcześnie
zmarła) Anna kupiła za pierw-
sze swoje duże honorarium.

SPRAWA KATYNIA

Obok omówionego wyżej ar-
tykułu przedrukowano z „Li-
teraturnej Gazety” (11.V)
fragmenty dyskusji na sympo-
zjum historyków i filmowców
radzieckich i polskich, które
odbyło się w Moskwie. A. Wer-
ner tak mówił o sprawie Katy-
nia

„Jest ona ważna nie tylko
dlatego, że wiadomość o tej
zbrodni odegrała nadzwyczajną
ważną rolę w stosunkach mię-
dzy sojusznikami w okresie II
wojny światowej. Roosevelt i
Churchill, a także zachodnia
opinia publiczna wolali wie-
rzyć w zapewnienia Stalina i
pójść na zerwanie stosunków z
rządem polskim. W rezulta-
cie pośrednio wpłynęło to tra-
gicznie na losy wielu Polaków
znajdujących się na terytorium
Związku Radzieckiego. W kon-
sekwencji także w Jaltie nikt
już nie chciał nic na ten te-
mat wspominać. Oto dlaczego
zbrodnia katyńska jest dziś
najważniejszą ze wszystkich
istniejących „białych plam”.

Dlatego o Katyniu trzeba
powiedzieć całą prawdę bez
żadnych przemilczeń? Wymie-
nić trzy przyczyny: po pierw-
sz, dlatego że tak było. Jest
to nasz dług moralny wobec
prawdy i wobec tych, którzy
tam zgineli. Druga przyczyna -
ujawnienie prawdy to niezbęd-
ny warunek zaufania. Wiele
ujawnienie wywarło na nas o-
świadczenie profesora Jurija
Afanasiewa. On pierwszy wy-
powiedział się na temat Katy-
nia. Jest i trzecia przyczyna.
Nie ma nic prostszego, niż
podrzucić społeczeństwu, które
żyje ze świadomością urazu,
jakis surogat prawdy. Może to
jednak przodzie ksenofobie i zo-
winizm.”

W odpowiedzi W. Parsada-
nowa (członek mieszanej komi-
sji polsko-radzieckiej) stwier-
dziła, że źródła katyńskie są
tak samo trudno dostępne jak
dotyczące deportacji ludności
polskiej. Niektóre materiały ar-
chiwalne nie mogą być jeszcze
ujawnione, a część zginęła
podczas wojny.

Podobnie A. Latyszew pod-
kreślił, że bez otwarcia archi-
wów nie da się wyjaśnić wielu
spraw. Historycy polscy i ra-
dzieccy wystąpili z odpowied-
nim żądaniem. W kwestii Ka-
tynia ukazały się w ZSSR dwie
publikacje - w dzienniku
„Prawda” i tygodniku „Litte-
raturnaja Gazeta”.

„W publikacjach tych nie
mówi się, kto jest winien roz-
strzelania, a jedynie wskazuje
się na konieczność głębokiego
zbadania problemu. Ogłedam
niemieckie protokoły, w któ-
rych stwierdza się, iż w eks-
humowanych ciałach znaleziono
kule radzieckie. Ale są rów-
nież świadectwa, że kule były
niemieckie. Są poza tym do-
datkowe okoliczności. Tak na
przykład udowodniono, że spo-
śród czterech tysięcy oficerów
kilku ludzi było rozstrzelanych
przez gestapo w Krakowie i w
Warszawie w czasie okupacji,
a następnie umieszczono ich
nazwiska na listach katyńskich,
które były publikowane w Pol-
sce. Fakt ten - nawiasem mó-
wiąc - odkrył historyk pol-
scy.”

W najnowszym miesięczniku
„ZDANI” (nr 4-5) Adam
Schaff podziela pogląd, że Jo-
zef Stalin był inteligentnym
paranoikiem. Ale za ważniejszą
uważa tezę, że socjalizm nie
mógł wprowadzać ad libitum
(według dowolnych życzeń). A
to właśnie robiono w Rosji.
Stalinizm nie był czymś przy-
padkowym. Stalinista był na-
wet antystalinowiec György Lu-
kács.

NOC NA KREMLU

Ciekawy portret Stalina i
Kremla przedstawił Ksawery
Pruszyński w nie znanej dotąd
u nas książce „Russian Year”
(Nowy Jork 1944). Autor u-
czestniczył w spotkaniu Stali-
na z Sikorskim, które odbyło
się w grudniu 1941 roku w
Moskwie. Jeden z jego repora-
ży wydrukowano teraz w
„ŻYCIU LITERACKIM” (nr 22).
Oto wybrane fragmenty:

„Nasze samochody przemknę-
ły pustymi ulicami i nie za-
trzymaliśmy się ani na chwilę

wysoką wieżę, nieco gotycką w
wyglądzie, która znajdowała się
około stu metrów pod samym
Kremlm; była to pierwsza
brama. Zatrzymaliśmy się przed
nią i strażnicy sprawdzili pa-
piery naszego kierowcy. Silne
światło laterek oświetliło wne-
trze naszego samochodu, powoli
i starannie oświetlając każdy
kątek. Przejechaliśmy przez ro-
dzaj mostu nad dawną fosą.
Później była kolejna wieża,
druga brama i nowa inspekcja,
równie dokładna jak pierwsza.
Cichy snop światła wędrował
po wnętrzu naszego samocho-
du przez dobrą chwilę. Kiedy
ruszyliśmy, usłyszeliśmy dźwięk sil-
ników niewidocznej eskorty
motocyklowej, która towarzyszy-
ła nam jak czarna demo-
niczka straż. Wspinaliśmy się
na wzgórze, zajęło nam to
tylko parę sekund. Później za-
trzymaliśmy się a motocykle
ucięły.”

Nagle olbrzymie drzwi stanę-
ły przed nami otworem. Luna
oślepiającego światła rozjaśniła
ciemność. Była to prawdziwa
orga blasków. W wielkiej ja-
sności ujrzelśmy wielkie i wy-
sokie schody, ze złotych i białych
Srodkiem tych schodów biegł
człowiek dywan, jak szkarlat-
na rzeka. Świeciliście kule i lam-
piony przypominały gmach pa-
raskiej opery. Milczący i zastę-
gli w bezruchu agenci NKWD
stali po obu stronach schodów.
Bolszej Dworek stał się co-
raz bardziej okazały w miarę
jak posuwaliśmy się naprzód:
zastępy sylwetki NKWD-zistów
w ich starych, beztępych
mundurach oraz w ułokach z
białego filcu pojawiały się w
coraz większym zagęszczeniu.
Spoglądali na nas bezosobowo,
porabiali wszelkiego zainie-
resowania obojętnością.”

Jożef Stalin wyglądał dokład-
nie tak jak na portretach. Był
tylko może odrobinę grubszy i
zamiast fajki palił papierosy.
Na powitanie uściśnął każdemu
dłoń i przedstawił się słowem:
„Stalin”.

„Mówił mało i spokojnie.
Słuchał uważnie. Od czasu do
czasu opuszczał grupę rozmów-
ców i stał na uboczu, sa-
motnie. Wtedy palił papierosa
w osamotnieniu, na swojej pu-
styni. Nikt nie śmiał przerwać
jego ciszy i samotności. Stalin
był zawsze tym, który ją koń-
czył. Zatem lub uważyć adre-
sowaną do kogoś imiennie. O-
soba, do której się w ten spo-
sób zwrócił, odbywała - nim
krótka rozmowa, po czym Sta-
lin powracał do swego gościa,
Sikorskiego.”

Na otaczających go osobach
Stalin sprawiał wrażenie jak
Gigant na Pimejach albo Bóg
na śmiertelnikach. Można w
nim było wyczuć całkowity
spokój i determinację. Ubrany
był w błuże zapiętą na ostatni
guzik i spodnie wpuszczone w
duże cholewy.

LUDZIE STALINA

Najbliższych współpracowni-
ków dyktatora znakomicie opi-
sał historyk radziecki Roy
Miedwiediew w książce „Lu-
dzie Stalina”. Pod koniec 1988
roku praca ta ukaże się nakła-
dem Instytutu Wydawniczego
Związków Zawodowych. Publi-
kuje ją w odcinkach tygodnik
„ZWIAZKOWIEC” (nr 20, 21,
22).

Interesujący wywiad z R.
Miedwiediewem ukazał się w
dodatku tygodniowym „Kom-
solskiej Prawdy”. Przedru-
kowała go „POLITYKA” (nr 22).
Zwracam uwagę na następują-
cy fragment.

„Stalin był człowiekiem wy-
jątkowym. Jako kat swego na-
rodu i jako tyrana prawie nie
miał sobie równych w historii.
Jeśli rozporządzenie pochodziło
od Stalina, to było bezwarun-
kowo wykonywane. W ramach
systemu, w którym wiele rze-
czy było budowanych na prze-
mocy i przynusie, Stalin jako
człowiek najbardziej brutalny,
był rzeczywistie wybitnym or-
ganizatorem.”

Młodzi wierzyli, że Stalin
wyraża interesy milionów i
kontynuuje dzieło Lenina; star-
si natomiast nie wierzyli w
wiele rzeczy, ale podporządko-
wali się ze strachu.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Widok ze szczytu

Moim zdaniem nie ma się czemu dziwić, że tzw. szeregowy e-
bywał, nie sprawujący wysokich funkcji społeczno-politycznych
i wskutek tego niezbyt wtajemniczony w kulisy wielkiej polityki,
zdany więc na plotkarskie domysły, nie dowierza szczeroci poko-
jowych deklaracji polityków. Uważa on np., że przywódcy obu
największych, rywalizujących z sobą mocarstw, jeśli oficjalnie
biorą kurs na pokój, to głównie lub nawet wyłącznie po to, żeby
pozyskać sobie własne społeczeństwo albo zwodzić światową opi-
nię w interesie państwa, któremu przewodzą.

W tym ostatnim przypadku trudno jest niektórym ludziom
przyjąć wytłumaczenie najprostsze, że mianowicie obaj mężowie
stanu są jak bodaj nikt inny poinformowani o tym, co zachodzi
w danym momencie w całym świecie, dzięki czemu właśnie mo-
gą tak dobrze zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństw współczes-
nej wojny, a nawet samych tylko zbrodni rakietowo-nuklearnych
i że narzuca im się niejako sama przez się logika rozbrojenia i
pokoju.

Ja też oczywiście jestem sobie najwykleszy obywatel, nie
wtajemniczony w arkanę międzynarodowych intryg i kombinacji,
a jednak z racji wykonywanego zawodu zmuszony do liczenia się
z bezspornymi, znanymi mi faktami i argumentami oraz do ich
chłodnej oceny, nie mogę poddawać się agitacji i plotce. I pewnie
z tytułu takiego nastawienia z wielką uwagą zapoznałem się z
obserwacjami i wnioskami wybitnego amerykańskiego lekarza,
specjalisty od transplantacji szpiku kostnego dr Roberta Gale,
który jako jeden z nielicznych przedstawicieli medycyny zachod-
niej uczestniczył w niesieniu pomocy ofiarom wybuchu reaktora
atomowego w Czernobylu i czynił to przez dłuższy czas, zapo-
znając się z sytuacją w pobliżu miejsca katastrofy, a także w Ki-
jowie i Moskwie.

Otóż dr Robert Gale opublikował ostatnio książkę pt. „Ostat-
nie ostrzeżenie”, będącą owocem jego doświadczeń i przemysleń
po czernobylskim wypadku. Autor zresztą potwierdza znane nam
dane o bezpośrednich skutkach katastrofy; oprócz dwóch osób,
które zginęły na miejscu, zmarło jeszcze, mimo ogromnych wysi-
łków lekarzy, 29 spośród ponad 200 napromieniowanych, chociaż
jak stwierdza Gale, moskiewski szpital, który był główną bazą
jego działalności w Związku Radzieckim, należy do znakomicie
wyposażonych w najnowszą aparaturę medyczną i zatrudnia wy-
soko wykwalifikowany w chorobach promiennych personel.

Dowiadujemy się z książki, jak zmudna i ciężka jest medy-
czna opieka nad chorobami tego rodzaju, opisuje on np. półtorej
godziny trwające pobieranie 1 cm sześć, szpiku kostnego od o-
soby zdrowej, pisze o warunkach jakie powstają, gdy pacjenci
napromieniowani rozsiewają skażenie za pośrednictwem moczu, a
także o skażeniach gleby i literalnie wszystkiego na znacznym
obszarze wokół Czernobyla, z którego rejonu trzeba było w szyb-
kim tempie ewakuować do odległych miejsc 133 tys. osób. Wspom-
ina też o podanych przez stronę radziecką dotychczasowych
stratach materialnych w wysokości ok. 8 miliardów rubli. Nie
ukrywa też prof. Gale obaw, że podobna czy większa katastrofa
od czernobylskiej może każdej chwili zdarzyć się w jakimkol-
wiek innym kraju, choć oczywiście rozwój energetyki atomowej
stał się światową koniecznością wobec szybkiego wyczerpywania
się konwencjonalnych źródeł energii. Jak bowiem zauważa autor
książki: „Pozykiwanie energii atomowej jest technologią, która
niezależnie nie wybacza i nie zostawia żadnego miejsca na pomył-
ki”.

W porównaniu jednak ze skutkami katastrofy w Czernobylu,
nawet jeśli czas pokaże, iż pociągnęłyby ona za sobą w przyszło-
ści jeszcze dalsze zachorowania i ofiary śmiertelne, jest to w przy-
bliżeniu niczym, gdy wyobrażymy sobie skutki eksplozji bomby ja-
drowej na powierzchni ziemi, a zwłaszcza szeregu bomb, nawet
gdyby rzucano je na zupełnie nie zaludnione obszary. I tak wtedy
chmury i pyły radioaktywne rozszerzyłyby się po całej kuli ziem-
skiej niszcząc roślinność, zakażając wody i gleby, zagrażając też
bezpośrednio milionom ludzi, szczególnie młodym organizmom i
płodowi. A w sytuacji wojny atomowej na większą skalę nie ule-
ga już dla ekspertów żadnym wątpliwości, że wskutek wybu-
chów zapanowałaby na całej kuli ziemskiej przynajmniej na
wiele tygodni nieprzenikniona noc, połączona z silnymi mroza-
mi. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby zrozumieć realność za-
groźby ludzkości.

Professor Gale, jako lekarz, ostrzega swoich czytelników, że
gdyby doszło do wybuchów jądrowych, żadna wtedy lekarska po-
moc nie byłaby skuteczna i w ogóle możliwa.

Któż wątpi, że wiedza o apokaliptycznych skutkach użycia
broni jądrowej jest udziałem szczególnie dokładnie poinformo-
wanych przywódców wielkich mocarstw? I czy należy się w
ogóle dziwić, że czynnik ten stał się trwałym elementem polityki
międzynarodowej? Nawet ci, co karmią się kawiarnianą plotką,
snują swoje domorsie spekulacje na temat polityki międzynaro-
dowej i operują swoje rachuby na światowych napięciach, po-
winni ten element brać pod uwagę.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Pewnego wiosennego dnia 1937 roku, otworzywszy gazetę
przeciwnie, że władze bezpoczciwstwa „wykryły w wojsku spi-
sek faszystowski”. Wśród spiskowców wymieniano wysokich do-
wódców radzieckich, między innymi marszałka Związku Radziec-
kiego Michaiła Tuchaczewskiego. Wiadomość ta wręcz ośmieliła
mnie - pierwszy fragment wspomnień generała ALEKSANDRA
GORBATOWA, który w maju 1939 r. został niewinnie skazany
na 15 lat więzienia i przebywał w obozach pracy koło Magada-
nu w Kolskim Kraju.

— Jestem typem samotnika i takie odosobnienie, które spotka-
łem tu na Mazurach, lepiej służy mojej twórczości niż Łódź.
Zresztą pisarz musi nieustannie poszerzać swoją biografię - o
sobie i swej twórczości mówi ZBIGNIEW NIENACKI.

— Między budynkami przemysłowymi bandy przebiegają, co-
szukających okazji do zabawy. W osiedlowych klubach odbywają
się dyskoteki. W pokojach u znajomych można przy odrobinie
szczęścia zaspokoić głód i pragnienie. Ale życie jest brutalne. Za-
pasy piwa szybko się wyczerpują - reportaży MARKA JUŚKIE-
WICZA pt. „W Łamubowie” były Juwenalia!”

— Był czarującym mężczyzną. Kobiety za nim szalały. Mordo-
wał wszystkich z zimną krwią - sensacyjny materiał JANA
BABINSKIEGO.

— W Warszawie miałem ciekawsze niż w Łodzi propozycje,
także reżyserskie. Dyrekcji Teatru Nowego w Łodzi pozbawiono
mnie w sposób niesłuszny, z uwagi na moją nieprzejędną po-
stawę wobec mocodawców - mówi JANUSZ KŁOSIŃSKI.

— Na przystanku autobusowym pojawia się nagle człowiek we-
soly. Smutni najpierw podejrzenie i z dezaprobatą patrzy na jego
wygląd, aż w końcu walają pogotowie, które zdecydowanie roz-
prawia się z delikwentem i przystanek znów jest smutny - o
naszej rzeczywistości w zwierciadle filmu krótkometrażowego pi-
sze RYSZARD NAKONIECZNY.

— Coś niebywałego. Kobiety w sukniach ociekających desłow-
nie złotem. Złote lamy, złote tiule, brokaty rywalizowały o lep-
sze z toaletami szarymi deszczem cekinów. Niektóre damy w
tych płoceniach wyglądały jak rzeźby zakuci w srebro - rela-
cja CECYLII BLONSKIEJ z festiwalu w Łanach.

Do redakcji przyniesiono plakaty z nazwiskami kandydatów na radnych do Rady Narodowej MIASTA ŁODZI. Jeden z moich kolegów zaczął przeglądać listę kandydatów ze swojej dzielnicy i po chwili krzyknął niemal przerażony:

— Ależ przecież ja tu nikogo prawie nie znam!

— A kandydatów na radnych do dzielnicowej rady znasz? — zapytałam.

— Skąd? Zupełnie nie wiem. Kto kandyduje. I zupełnie nie wiem, gdzie się dowiedzieć.

— Są przecież plakaty na mieście.

— Jakoś nie spotkałem.

Obawiam się, że to nie jest odosobniony przypadek.

„Ordynacja wyborcza do rad narodowych” w Artykule 56 nakazuje:

„Po zarejestrowaniu list wyborczych, najpóźniej w 23 dniu przed dniem wyborów, komisje wyborcze podają do publicznej wiadomości przez rozplakotowanie dane o kandydatkach...”

Warunek ten został spełniony. Ukazały się plakaty. Ale czy niezbędna informacja o kandydatkach na radnych rzeczywiście dotarła do wybor-

Łódzkiej ZHP. Wieloletni organizator obozów harcerskich dla dzieci przewlekłe choroby. Wyróżniony m.in. Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Laureat Nagrody m. Łodzi oraz plebiscytu „Głosu Robotniczego”: „Ludzie inicjatywni społeczni — przyjaciele dzieci”. Dotychczasowy członek Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Przewodniczący Komisji Oświaty i Wychowania. Członek PZPR.”

I aby było sprawiedliwie, biorę mandat pierwszy z Okręgu Wyborczego nr 1 (Łódź-Ba-luty I):

1. Bączek Stefan — lat 58, prac. umysł. Wojewódzki Zakład Weterynarii, zam. w Łodzi

2. Janiak-Sobczak Franciszka — lat 55, inż. rol. Wojew. Zarząd Inwestycji Rolniczych, zam. w Łodzi

3. Sabata-Sobolewski Jerzy — lat 53, prac. umysł. Sp. Transportu Wiejskiego, zam. w Łodzi

„Ordynacja wyborcza do rad narodowych” nakazuje, aby w okresie mandatu przy każdym kandydacie podać: nazwisko, imię, wiek, zawód, miejsce pracy i zamieszkania. Mam wątpliwości, czy podany wyżej przykład spełnia te wymagania. Ale na liście można znaleźć inne przykłady, które te wątpliwości tylko pogłębiają. Na przykład: „Łatkowski Janusz — lat 34, ZPB im. Harnama, zam. w Łodzi”. Co on robi w

być dość późna pora. W jednej z wsi powiedziano mi:

— Proszę pani, myśmy się tu już trzy razy spotykali i nie tylko. Po co znów o tym mówimy? Żeby chociaż był z tego jakiś pożytek. A w to ludzie nie wierzą. A tak tylko strata czasu. Chłop nie może sobie na taki luksus pozwolić. Teraz trzeba siano kosić.

Ludzie oczekują konkretnów

Na jednym z zebrani w Łodzi wystąpił kandydat na radnego do RN m. Łodzi, który w swoim exposé niebezpiecznie zabrnął w teoretyczne rozważania na temat wybieralnych przedstawicieli władzy i urzędników, którzy im i ludziom mają służyć. Temat to może i atrakcyjny, ale zebrani oczekiwali zupełnie czegoś innego. Przerwali więc brutalnie mówcy i sprawdzili go pytaniami na ziemie. Zetknięcie z rzeczywistością było dość przykre. Ludzie mają już dość pięknych słów, oczekują jasnych odpowiedzi na ich konkretne pytania: co, kiedy, a jeśli nie, to dlaczego? A na takie pytania odpowiedzieć najtrudniej. Trzeba więc przyznać się do niewiedzy.

Niedostatków w naszym życiu jest sporo i każdy z nas oczekuje, że coś się wreszcie zmieni, że komunikacja zacznie sprawniej funkcjonować, urzędy pozbędą się formalizmu i bezdušności, poczta — ogólnie mówiąc — przestanie obrażać na klientów, służba zdrowia będzie dysponowała lekami i instrumentami oraz niezbędną aparaturą, a handel przestanie urzędować i zajmować się handlowaniem, co jest jego właściwą rolą. Najłatwiej więc obiecywać ludziom, że kandydat na radnego, jeśli go wybiorą, zajmie się właśnie usuwaniem tych niedogodności. To się ładnie obiecuje, ale czy to jest realne? Kiedy słyszę, że kandydat na radnego obiecuje, że „zajmie się handlem”, aby go usprawnić oczywiście, to mi w duszy rodzi się podejrzenie, że to zły kandydat. No, bo handlem powinni zajmować się handlowcy, od tego są, za to biorą pieniądze, a radny jest od tego, aby umiał rzadzić wsią, gminą, miastem, dzielnicą, województwem. Musi się tego uczyć, musi pracować nad koncepcją, programem, projektami rozwiązań całościowych, a nie usprawnieniem pracy jednego czy dziesięciu sklepów. Tylko że o takich sprawach mało mówi się na zebraniach, jeśli w ogóle coś konkretnego się mówi. Dlatego postanowiłam

wybrać się na wies w poszukiwaniu prawdy o współczesności.

Przypomniałam sobie, że w Pałczewie, w gminie Brojce, spierano się o wielki, miejski śmietnik. Tam musi być gorąco — pomyślałam sobie — i w środę, 1 czerwca wieczorem, wybrałam się do Pałczewa.

Pojechałam przez Wiskitno. W Wiskitnie młodzież wieszała girlandy. Nazajutrz było przecież Boże Ciało i przygotowywano trasy dla procesji. Ta młodzież zajęta przy wieszaniu girland uświadomiła mi fakt, że w salach, gdzie spotykają się kandydaci z wyborcami młodzieży jak na lekarstwo. Przeważają emeryci.

W Pałczewie przed remizą stał jeden rower. Jego właściciel poszedł zapoznać się z listą kandydatów do gminnej rady narodowej. Zajrzał do sali na parterze, a tam święte obrazy. Okazało się, że odbywają się tu lekcje religii. Nie nie wskazywało, że ma tu być jakieś zebranie. Poszłam na piętro. Tam też jest sala. Ławki porożowane były pod ścianami i na estradzie. Wróciłam przed remizę i odnalazłam właściciela roweru.

— Ma tu być zebranie? — zagałam rozmowę.

— Ano, ma być.

— Ale nic nie wskazuje na to, że będzie.

— Chyba nie. Ludzie już się nagadali.

— I myśli pan, że nikt nie przyjdzie?

— Tak mi się wydaje.

Nadjechał fiat 126p. Przyjechała sekretarz UG w Brojce. Zjawili się jeszcze kilka osób. Czterech kandydatów i dwóch wyborców. Soltys przy-

jechał na rowerze. Ale zebranie się nie odbyło. Pogadaliśmy sobie trochę na świeżym powietrzu o codziennych kłopotach wsi polskiej, a podłódzkiej w szczególności. Nadjechał drugi fiat 126p, którym przyjechał młody człowiek z ZSL na zebranie do Pałczewa. On — jakby mimochodem — powiedział, że ciekawe zebranie odbywa się w Wardzynie.

Zdecydowałam się tam pojechać.

Wardzyna leży po drugiej stronie śmietnika

I mieszkańców gnębią te same sprawy, które gnębią mieszkańców Pałczewa. Zebranie trwało. Było na nim 16 osób. Lista pretensji okazała się dość długa.

A więc przede wszystkim śmietnik. Wiele obiecywano, nie ze wszystkiego wywiązano się. Co innego mówi się o sprawie śmietnika na posiedzeniu Gminnej Rady Narodowej w Brojce, a co innego realizuje się w praktyce. Nie zaczęto na przykład budować drogi, o której tyle było mowy. Nie zaczęto wywłaszczać chłopów, przez których ziemię miała pójść ta droga.

— Wiesz, sprawy rolnictwa — mówił jeden z obecnych — wymagają innego podejścia. Chłopi nie chodzą po zebraniach i nikomu nie wypominają, kto i ile zarabia, a w Brojce na posiedzeniu GRN taki fakt miał miejsce. Czy tylko tam? Ciągłe wypominanie się chłopom, że się bogacą. Wiesz musi się rozwijać. Nikt natomiast nie dostrzega, że dzieci chłopskie mają gorsze warunki rozwoju i nauki, że chłopom ciągle brakuje środków produkcji, że nasze dzieci nie jeżdżą na kolonie, że handel wiejski traktuje się po macoszemu, że nam się ciągle coś obiecuje i nie dotrzymuje. Jakś cicho się wokół tego, że spada pogłowie krów i trzody chlewnej. A co to znaczy — można się domyślić. Ale dlaczego tak się dzieje? Czy to znaczy, że chłop sam działa przeciw sobie? Nie. I dlatego potrzebna nam jest chłopska reprezentacja w chłopskiej GRN.

O tę reprezentację trwa walka. Co się bowiem okazało. Otóż, jak wywnioskowałam z przebiegu dyskusji i późniejszych rozmów, w Wardzynie są oburzeni na praktykę Gminnego Kolegium Wyborczego. Wiesz zgłosiła swoich kandydatów na kandydatów. Przede wszystkim rolników, do których wszyscy mają zaufanie i którzy znają się na rolnictwie, wiedzą, co mu jest potrzebne. Działająca na wsi organizacja PZPR — składająca się z 4 osób — zgłosiła trzech kandydatów na kandydatów. Ma do tego prawo, ale są to ludzie mało — wsią związani, mało chłopów znani, bardziej związani z gminnymi władzami niż ze wsią. Na zebraniu wiejskim jeden z tych kandydatów na kandydatów otrzymał zaledwie 1 głos. Pozostali po 6 głosów. Mimo to znaleźli się na liście, a kandydaci ze wsi, choć mieli większe poparcie — nie. — Dlaczego? — pytają w Wardzynie. I jakoś nikt im nie potrafił tego wyjaśnić. Zaraz więc idzie o manipulację.

Rządzenie jest ogromną sztuwką. Tym trudniejsza, że nie da się rzadzić na dłuższą metę wbrew interesom wyborców i bez ich poparcia. Bez społecznego poparcia. Jak się wydaje w Brojce tego nie pojmują.

W poniedziałek (05.06.1988) odbędzie się w Wardzynie kolejne zebranie, na którym ma powstać wniosek do Kolegium Wyborczego o dokonanie zmian na liście wyborczej. Taką szansę daje Wardzynie Artykuł 57 „Ordynacji wyborczej do rad narodowych”. Kolegium może bowiem w terminie do 10 dni przed dniem wyborów zgłosić zmiany na liście wyborczej.

Zostałam zaproszona na to zebranie.

PS. Później dowiedziałam się, że zebranie w Pałczewie ze sporym opóźnieniem, ale jednak odbyło się.

Z tej ziemi

Lepiej raz zobaczyć, niż sto razy usłyszeć

Przysłowie to: „Lepiej raz zobaczyć, niż sto razy zrozumieć”, pojmuję jako wykładnię realizmu. Zobaczyć człowieka, zrozumieć, przekonać się, zmienić zdanie, jeśli miał uprzednio inne. Kto się spodziewał, że Ronald Reagan złoży wizytę w „imperium złe”. Wypominali mu to amerykańscy dziennikarze, a prezydent USA wykręcał się jak mógł. Wszakże zmiana kierunku polityki nie jest na świecie czymś odosobnionym i ludzie cieszą się, że supermocarstwa dążą do porozumienia zamiast do wojny. Świat spokojniej oddycha, choć lokalnych konfliktów na tym świecie nie brakuje.

Opinie o spotkaniu w Moskwie Michaiła Gorbaczowa z Ronaldem Reaganem będą zapewne różne, od entuzjastycznych do całkowicie negatywnych, ale taką już mamy na tym świecie specyfikę, że ludzie różnią się zdaniem, poglądami, opiniami, oczekiwaniami i — co najważniejsze — interesami. Komu pokojowe współzycie stoi w sprzeczności z jego interesami — a niekoniecznie muszą to być zaraz kolia imperialistyczne — temu porozumienie zawarte w Moskwie będzie się zdecydowanie nie podobalo. Pozostaje jednak niezbitym faktem, że dokonano dużego kroku od zimnej wojny w kierunku — jak to ktoś na Zachodzie określił — zimnego pokoju. Wolę nawet zimny pokój od zimnej wojny. Ale w Moskwie wcale nie było tak zimno.

Na dwie sprawy chciałbym zwrócić uwagę. Pierwsza — to stanowisko Michaiła Gorbaczowa w sprawie praw człowieka. Na Zachodzie sporo pisało się i mówiło, że Ronald Reagan w centrum rozmów postawił sprawy praw człowieka. Postawił. Ale i tu — moim zdaniem — przeważała płaszczyzna realizmu. Zarówno ZSRR, jak i USA, rozwijały się w odmiennych warunkach, w odmiennych warunkach kształtowała się tu i tu współczesność polityczna. Różna oba narody mają tradycję. Trzeba to dobrze poznać, aby zrozumieć. Stąd propozycja Michaiła Gorbaczowa, aby zwołać parlamentarne seminarium, które zajęłoby się poznaniem tej tradycji, aby można było pełniej dyskutować o współczesności i przyszłości. Myślę, że to bardzo realistyczna i rozsądna propozycja.

I drugie sprostowanie. Byliśmy przez kilka dni świadkami historycznego wydarzenia. Byliśmy świadkami tego za pośrednictwem telewizji. Otóż zauważyłam, że zarówno Michaił Gorbaczow, jak i Ronald Reagan, jak też ich małżonki, mieli tak dużo sobie do powiedzenia. Stale rozmawiali i to nie na pokaz, tylko dla telewizji. Jak to się czasem dzieje podczas „minuty dla prasy”, kiedy siedzą naprzeciw siebie dwaj politycy i udają, że rozmawiają. Tu było zupełnie inaczej i to rodzi optymizm. Dobrze jest bowiem przed podjęciem każdej decyzji dokładać rzecz omówić, przedyskutować, zbliżyć do siebie rozbieżne stanowiska. Dobrze zatem, gdy ludzie mają sobie tak wiele do powiedzenia. A już politycy szczególnie.

Co jeszcze budzi mój optymizm? Ano fakt, że również w polityce uczymy się przypuszczać do błędów. Ktoś powiedział o zagranicznej polityce ZSRR tak: skoro robiliśmy błędy w polityce wewnętrznej, to musimy się robić i w zagranicznej. Nikt nie ukrywa, że wkroczenie wojsk radzieckich do Afganistanu było błędem. Decyzja o wycofaniu radzieckich wojsk z Afganistanu jest próbą naprawienia tego błędu.

Inny przykład. Nie zdajemy sobie jeszcze dokładnie sprawy o tego, jakim wydarzeniem dla Węgier — a nie tylko przecież — są decyzje niedawnej Krajowej Konferencji WSPR. Trzeba to bowiem wszystko dokładnie przestudiować i przemyśleć. Ale jedna myśl już jest warta popularyzacji. Jest to wypowiedź prof. Rezső Nyersema — uważanego za ojca węgierskiej reformy z 1968 roku, który w latach siedemdziesiątych odszedł z władz partyjnych, a teraz powrócił. Otóż powiedział on między innymi:

— „Nasza reforma wiele zmieniła w gospodarce, ale aparat, niestety, wtedy, pozostał stary. To doprowadziło do konfrontacji w polityce ekonomicznej. Zderzenie okazało się dla kraju tragiczne”.

Warto się nad tymi słowami zastanowić. Przyjdzie do nich chyba jeszcze wrócić. Teraz może drobne wspomnienie związane z tą reformą. Pracowałam wtedy w „Głosie Robotniczym”. Otrzymałam materiały z Ambasady WRL i napisałam cykl artykułów o węgierskiej reformie. Nie ukazały się. — Nie ten czas — powiedziano mi. Nie był to czas dla popularyzacji jakiegokolwiek reformy, choć był to już czas dla własnej reformy. Wówczas tego nie rozumiano. Czy to było realistyczne podejście do rzeczywistości?

Realizm nakazuje, aby działać zgodnie z warunkami. Komunizmem zarzuca się na przykład, że chcą wszędzie wprowadzać ustrój komunistyczny. Jest to prawda i nieprawda jednocześnie. Komuniści uważają, że socjalizm — a następnie komunizm — są rezultatem społecznego rozwoju, kolejną fazą rozwoju społeczeństwa na planecie Ziemia. I tak musi się stać, czy to się komu podoba czy nie. W dziejach komunizmu zdarzali się jednak ludzie niecierpliwi — a i dziś zdarzają się — którzy ludzkość, że rewolucję można importować, można ją narzucić komukolwiek. Jest to złudzenie. Praktyka socjalizmu pokazuje bowiem, że etapów rozwoju społecznego nie wolno po żadnym pozorze przeskakiwać. Rodzi to bowiem nieobliczalne konsekwencje.

Komuniści powinni być ludźmi niebylewałymi cierpliwymi i stałe, systematycznie analizować rozwój społeczny własnego kraju i innych. Musi to być analiza rzeczowa, konkretna, która pozwałaby podejmować decyzje prawie niemyślne, bezbłędne. No — powiedzmy — z możliwością popełnienia błędów spowodowaną do minimum. Takie analizy powinny obejmować wszystkie kraje — socjalistyczne również.

Niekiedy odnoszę takie wrażenie, że potrafimy stosować wszystkie założenia materializmu historycznego — mniej lub bardziej precyzyjnie — do krajów kapitalistycznych, ale unikamy stosowania ich do krajów socjalistycznych. Zatożylismy sobie milczącą dawną temu, że rewolucja zmieniała rzeczywistość w taki sposób, iż nie dotyczyła już żadne sprzeczności, nie mają prawa występować żadne konflikty. I rzeczywistość zadawała kłam tym założeniom. Wiemy więc już, że rozwój społeczeństw socjalistycznych odbywa się według praw opisanych przez materializm historyczny, ale nie zawsze potrafimy z tej wiedzy wyciągnąć właściwe wnioski.

Czy to się komuś podoba, czy nie, to dzięki socjalizmowi nastąpił w Polsce rozwój świadomości społecznej. Z tego rozwoju wzięła się też opozycja. Ten rozwój spowodował, że dotychczasowy sposób rządzenia przetrwał się, stał się hamulcem. Podobne zjawisko można zaobserwować również w innych krajach socjalistycznych. Trzeba zatem dokonać niezbędnych zmian. Zapowiada się je, ale gdy przyjdzie do działania, to brakuje nam konsekwencji, odwagi i realizmu. Są bowiem ludzie, są siły — jeśli ktoś chce użyć takiego terminu — którym wygodny jest zastój, inercja, tkwienie w gorsetach dogmatów.

„...administracja nie jest jeszcze dostatecznie przeniknięta myślą, że celem jej istnienia jest służba państwu, jest wyzwolenie wszelkich sił twórczych i zdrowych, jest otwarcie dróg pracy, zarobku, wzrostu dobrobytu dla najszerszych warstw społeczeństwa, a wreszcie zabezpieczenie spokoju i szybkiego wymiaru sprawiedliwości — nie zaś wytworzenie kasty rządzącej, uważającej społeczeństwo za obiekt swej władzy”.

Kto i kiedy napisał te słowa? Napisał je w 1930 roku Eugeniusz Kwiatkowski — budowniczy COP, Gdyni, były wicepremier rządu II Rzeczypospolitej. A przecież nic nie straciły ze swej aktualności. To tylko potwierdza, że rozwojem społeczeństw rządzi określone prawa.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Czy będziemy umieli wybrać?

Ludzie z plakatów

BOGDA MADEJ

ców? Mam co do tego bardzo poważne wątpliwości. Nie jestem również pewna, czy wyborca wie, jeśli miał czas i możliwości nad tym zastanowić się.

kogo ma wybierać?

Wątpliwość bierze się stąd, że plakaty owszem ukazały się na mieście oraz na wsi i w miasteczkach, ale raczej w ograniczonym zasięgu. Plakat nie atakuje przechodnia, nie stara się do wyborcy docierać. Zostało po prostu formalnie spełnione wymaganie „Ordynacji” i to wszystko. Nie ma na przykład plakatów z kandydatami na radnych do dzielnicowej rady narodowej z danego okręgu na kłatkach schodowych. A to byłaby najbardziej skuteczną formą dotarcia do wyborcy. Ma on przecież tym razem wybierać, a nie wrzucić tylko kartkę wyborczą bez skreśleń. Czy wyborca wie, kogo będzie chciał skreślić, czy też zdecydować — niestety — przypadek?

Plakat spełnia swoją rolę informacyjną, szczególnie wtedy, gdy atakuje atrakcyjnością form. Ale wielka biała płaszczyzna drobno zadrukowana tej atrakcyjnej formy nie ma. Jakoś nie widziałam, aby przed takimi plakatami gromadziły się tłumy. Wiem, że cierpiemy na brak papieru. Wydrukowano tyle plakatów, ile było można, co nie znaczy, że tyle było trzeba. A czy nie można było skorzystać na przykład z pras? Gazety mamy cieniutkie, redakcje mają ciągle kłopoty z zamieszczeniem tego, co trzeba, są więc zadowolone, że nikt ich nie nagabuje, aby drukowały listy kandydatów. Czyż jednak nie można było wydrukować tych list jako płatnych ogłoszeń? Kampania wyborcza, jeśli chce się ją rzetelnie przeprowadzić, musi kosztować. Nie ma na to rady.

Plakaty informujące o kandydatach na radnych do RN m. Łodzi są dwójakiego rodzaju. Jedne są kolorowe, inne białe, drobno zadrukowane. Te kolorowe informują o kandydatach z listy wojewódzkiej. Każdy kandydat z tej listy został w miarę możliwości szczegółowo zaprezentowany. Biorę jako przykład kandydata z I pozycji:

„Hieronim Bartel — lat 50; prof. dr hab., nauczyciel akademicki, profesor Wojskowej Akademii Medycznej. Jest członkiem Rady Choro-

tych ZPB im. Harnama? Może tam być zarówno dyrektorem, jak i portierem. Dokonując wyboru chciałabym — i jak myślę każdy inny wyborca też — wiedzieć, kogo wybieram. Zawodu nie podano. I takich przypadków jest więcej.

— Ale jeszcze nie straconego, bo

można wybrać się na spotkanie

z kandydatami na radnych. Artykuł 59 „Ordynacji wyborczej do rad narodowych” zobowiązuje do tego, aby „każdy kandydat na radnego, w okresie po zarejestrowaniu list wyborczych” odbył spotkania z wyborcami. Co prawda w „Ordynacji” powiedziane jest „po ukończeniu odbycia spotkań z wyborcami”, ale chyba rozumieć to jako obowiązek. I to nie spotkanie, a spotkania, a więc więcej niż jedno.

Wybrałam się na takie spotkanie. Pytałam też niektórych kandydatów na radnych, jak się odbywały ich spotkania, mam sporo obserwacji i refleksji. Jeden z kandydatów na radnego zwierzył mi się, że u niego spotkanie się nie odbyło z powodu... braku frekwencji. Po prostu poza kandydatami nikt nie przyszedł. Była i tak. Byłam na takim spotkaniu, gdzie było około 30 wyborców. Z frekwencją na tych spotkaniach różnie więc bywa.

W telewizji usłyszałam, że spotkania z wyborcami... już się przeżyły. Telewizja lansuje festyny i różne inne rozrywki, imprezy, podczas których ludzie mają okazję spotkania się z kandydatem na radnego. Czy taka forma może zastąpić zwykłe, staroświeckie zebranie? I czy można ją powielać w nieskończoność? Wątpię.

Zebranie jest najprostszą i najskuteczniejszą formą kontaktu ludzi. Musi być jednak dobrze przygotowane i powinno na nim spotkać się ludzie, którzy mają sobie coś do powiedzenia. Inaczej może rodzić się myśl o przeżyciu się tej formy kontaktu. Otóż według moich obserwacji obowiązują tu następująca reguła: na zebranie przychodzą ludzie wtedy, jeśli mają coś do powiedzenia kandydatom na radnych, albo jeśli chcą coś od nich usłyszeć. Tylko tych ludzi mało. Ważna jest też pora zwoływania takiego zebrania. Na przykład na wsi powinna to

du frontowym wejściem, ostatni Niemiec pospiesznie uciekał bocznymi schodami. Rozpoczęcie nowego etapu w dziejach Grand Hotelu symbolizowało zerwanie i zniszczenie przez żołnierzy wyzwolitej armii potężnych rozmiarów portretu wodza „tysiącletniej Rzeczy” Adolfa Hitlera, umieszczonego na ekspozycyjnym miejscu w Sali Malinowej.

W pierwszych dniach wolności nieliczni pracownicy hotelu musieli samodzielnie organizować jego ochronę przed rozgrabieniem. Nie czekając na powrót właścicieli, dyspozycje nowych władz i nie licząc na wynagrodzenie, zaczęli natychmiast przystąpić do prac nad przygotowaniem hotelu do normalnego funkcjonowania, tak że już na drugi dzień po wyzwoleniu —

20 stycznia 1945 r. przyjęto pierwszych gości.

Nie obyło się bez wielu kłopotów i trudności, głównie zaopatrzeniowych. We wspomnieniach najstarszych żyjących jeszcze pracowników Grand Hotelu zacierają się już sylwetki tej nielicznej grupy ofiarnych ludzi ochraniających i uruchamiających hotel w pierwszych dniach po oswobodzeniu miasta. Byli to m.in.: Józef Straszak, Józef Bieniewski, Zbigniew Kupś, Jan Matuszczyk, Zygmunt Urbanczyk, Karol Wende, Władysław Młynarczyk, Tadeusz Wróblewski, Jan Lyczko, Stanisław Tomczyk, Zygmunt Żaloga, Jan Motylewicz, Maria Grodzicka, Maria Wajtrank, Antoni Libera, Janina Chrościecka i Antoni Wileczak. Podobnie jak to się działo w innych hotelach, pracownicy Grand Hotelu wyłonili wówczas swego dyrektora. Został nim Jan Motylewicz. Hotelem kierował zapewne tylko do początku marca 1945 r., do czasu gdy w okresie pełnego chaosu w działalności przedsiębiorstwa kierownictwo przejął Aleksy Zdanow, przedwojenny dyrektor Towarzystwa Akcyjnego Grand Hotel.

Wieczorem 20 stycznia 1945 r. przybył do Łodzi i zamieszkał w Grand Hotelu pierwszy przedstawiciel nowych władz — pełnomocnik Rządu Tymczasowego i KC PPR na Łódź i województwo łódzkie — płk Ignacy Loga-Sowiński. Podniósł atmosferę tamtych dni i ożywił do dawno nie oglądającego polskiego munduru oficera spowodowały, iż spora część trasz do placu Wolności do hotelu przebiegała na ramionach witańców, a nie na kółkach. Wprawdzie Ignacy Loga-Sowiński urzędował początkowo przy ul. Ogrodowej, to jednak wiele spotkań, narad i konferencji odbywał w hotelowym pokoju 242, który zajmował od początku marca 1945 r.

Również wojenny komendant miasta Łodzi Armii Czerwonej gen. Porfirij Furt (Furtienko) zamieszkał od pierwszych dni po wyzwoleniu w Grand Hotelu (zajmował pokój 109 i 110 na I piętrze). Początkowo przebywała tu liczna grupa oficerów Armii Czerwonej i NKWD. Objęli oni głównie lokale na I piętrze. W późniejszym okresie oficerowie radzieccy korzystali tylko z usług hotelowej gastronomii. Wspomniany gen. Furt w lutym 1945 r. wyprowadził się z Grand Hotelu do pałacu Biedermannów przy ul. Kilińskiego 2 (radziecka komendantura Łodzi mieściła się niedaleko stąd przy ul. Pomorskiej, obecnie Marcielego Nowotki).

W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu Grand Hotel stanowił bazę dla grup operacyjnych przybywających do Łodzi, dla personelu wielu instytucji i urzędów centralnych, zanim otrzymały one swoje stałe siedziby. Jakże często hotelowe pokoje pełniły przejściowo rolę biur urzędów, punktów kontaktowych itd. Przybywający masowo literaci, artyści, uczeni, dziennikarze pierwsze dni pobytu w Łodzi spędzali przeważnie w Grand Hotelu w oczekiwaniu na przydział mieszkania. Pozbawionym często dobowym i domów warszawiąkom, repatriantom i reemigrantom hotel zapewniał jakże ważne wówczas usługi — spokój, wygodny nocleg i posiłki we własnych salach restauracyjnych. Dla wielu gości, szczególnie tych, którzy widzieli ruiny Warszawy, przybycie do normalnie funkcjonującego łódzkiego Grand Hotelu było dużym przeżyciem. Trafnie oddaje to fragment wspomnień red. Leopolda Marszaka, który przybył w końcu stycznia 1945 r. do Łodzi, aby objąć kierownictwo oddziału agencji rządowej PAP „Polpress”:

„Hotel ożył. Portier zaczął wydawać klucze (...) bagażowy ustawił walizki w windzie i pojechał na czwartą piętro. A tam — dywan bordo na całą długość korytarza, zapachowana podłoga, błyszczące klamki, jeszcze kilka kroków i otworzyliśmy drzwi do „apartamentu”: przedpokój i duża komnata, dwa łóżka, szafa, fotele, obrazy na ścianach, telefon na nocnym stoliku, w dolnej szufladzie leżały nawet szczotki do ubrań i butów, a z korytarza — wejście do łazienki. Nina (żona autora wspomnień — przyp. L.O.) wyglądała jak „Alicja z krainy czarów”, kiedy tam weszła: w łazience znajdowała się prawdziwa wanna, do której po odkręceniu kranu połała się gorąca woda, a kaloryfery grzały.

Usiedliśmy w fotelach, nie zdejmując płaszczu, i tak siedzieliśmy patrząc na siebie bez słowa: po warszawsko-praskich wrażeniach Łódź żyjąca normalnym życiem wydała się nam miastem jakby z innej planety. Ktoś zapukał do drzwi. Weszła pokojówka, młoda, fertyczna, uśmiechnięta.

— Czy mogę państwu pościelić łóżka i przygotować kąpiel? — Nie wytrzymałem. Zerwałem się z miejsca, pochwyliłem dziewczynę w objęcia i pocałowałem w oba rumiane policzki. Nawet się bardzo nie bronila, ale pośpiesznie przygotowała naszą sypialnię, wyszorowała wannę i uśmiechnąwszy się do nas na dobranoc opuściła pokój.

I była to, rzeczywiście, bardzo dobra noc. Chyba żadnej od przyjazdu do Lublina nie spędziłem tak błogo i w takim komfortie, jak na początku naszego łódzkiego etapu — w hotelu Grand na Piotrkowskiej...”

W pierwszych miesiącach 1945 r.

właściwie niemal codziennie w hotelu przebywali różni dostojnicy państwowi i partyjni. 25 stycznia witano przywódcę PPR Władysława Gomułkę, który wziął udział w zebraniu delegatów fabrycznych łódzkich zakładów pracy. 11 lutego odbyła się w Łodzi defilada Wojska

Polskiego na ulicy Piotrkowskiej (maszerujące pododdziały przeszły też przed Grand Hotelem), którą przyjmował marszałek Michał Rola-Zygmierski. W końcu lutego miasto gościło prezydenta Bolesława Bierut, na którego cześć wydano bankiet w Sali Malinowej. Wielokrotnie gościł też w łódzkim hotelu ówczesny premier Edward Osóbka-Morawski. W drugiej połowie 1945 r. wizyty najwyższych dostojników państwowych i partyjnych przyjmował w swej siedzibie prezydent Łodzi — Kazimierz Mijał.

Ze względu na częste pobytu oficjalnych gości Grand Hotel był strzeżony przez warty wojskowe, umiejscowione w hallu gmachu, a czasami także na zewnątrz obiektu. Było to niezbędne wobec częstego gromadzenia się wokół Grand Hotelu licznych grup ludzi. Ludzie zatrzymywali się, by wysłuchiwać komunikatów o sytuacji na froncie, nadawanych przez zaistalowane przy hotelu głośniki Polskiego Radia. Tłumy gapiów towarzyszyły wizytom dostojników państwowych i oficerów Wojska Polskiego. Mimo rygorów związanych z toczącą się jeszcze wojną, nielato było zapewnić w tym czasie bezpieczeństwo i porządek, nie od razu udało się zlikwidować działalność elementów przestępczych, maruderów i tarczów. Przez miasto ciągle przetaczały się tłumy ludzi w poszukiwaniu nie tylko pracy i mieszkania, ale i często łatwego zarobku. Toteż i w codziennej pracy załogi Grand

Główniej Komisji do spraw Upaństwowienia. Przedsiębiorstw zakończyły się decyzją Sądu Okręgowego z kwietnia 1949 r. o wyznaczeniu kuratora dla Grand Hotelu. Ostatecznie dopiero w końcu lat 70. Sąd Rejonowy w Łodzi wydał orzeczenie, że Skarb Państwa nabył przez zasiedzenie własność nieruchomości przy ul. Piotrkowskiej 72.

Po wyzwoleniu Grand Hotel

był nie tylko największym obiektem hotelowym w Łodzi, najlepiej wyposażonym i o dużym — jak na owe czasy — komfortie („hotel postawiony na poziomie prawdziwie europejskim” — jak go często określano). Początkowo jako jedyny gwarantował pełną obsługę gości. Wysoki standard świadczonych przez hotel usług zapewniał mu duże powodzenie u osób przybywających do Łodzi z kraju i z zagranicy. W pierwszych latach po wyzwoleniu — oprócz wymienionych wcześniej dostojników państwowych i partyjnych — Grand Hotel przyjmował wielu innych znanych ludzi. Pierwszymi zagranicznymi gośćmi była w dniach 3–5 lutego 1945 r. dziesięcioosobowa grupa korespondentów zachodnich akredytowanych w Moskwie. Zwiędzali oni wówczas tereny łódzkiego getta, cmentarz żydowski i Radogoszcz. Na przełomie lutego i marca 1945 r. przebywał na występkach w Łodzi zespół artystów radzieckich.

Grand Hotel — epizod z przeszłości

Hotelu nie brakowało trudnych chwil. Zdarzało się, że w ferworze dyskusji i utarczek słownych, siedzący przy stolikach restauracyjnych niektórzy goście dla podparcia swych racji próbowali sięgać po ukrytą broń. Trzeba także pamiętać, że luksusowy — jak na ówczesne warunki — hotel i sale restauracyjne oraz Grand Café były swoistym magnesem przyciągającym ludzi ze świata przestępczego, „pekinów” spekulacji, przemytu i „szabru”, prostytucji itd. Zjawiska te były jednak niezależne od podstaw załogi Grand Hotelu, która w codziennym swym trudzie starała się sumiennie wypełniać powierzono jej obowiązki i utrzymać wysoki standard hotelu. Nie było to łatwe biorąc pod uwagę znaczną dewastację wyposażenia hotelowego w okresie okupacji, trudności aprovisionacyjne i zaopatrzeniowe po wyzwoleniu, a także niejasność co do losów i statusu prawnego Grand Hotelu.

Rola Aleksandra Zdanowa — jako dyrektora Grand Hotelu — nie jest do końca wyjaśniona. Czy był on wówczas pełnoprawnym przedwojennym właścicielem, czy dla podtrzymania ciągłości funkcjonowania Towarzystwa Akcyjnego Grand Hotelu wrócił zima 1945 r. do Łodzi i na akceptację załogi objął stanowisko dyrektora? Trudno to sprawę rozstrzygnąć jednoznacznie. Wiadomo, że główni akcjonariusze Grand Hotelu przebywali po zakończeniu II wojny światowej za granicą i nie zamierzali powrócić do kraju. Byli to małżonkowie Oswald Kermenit i jego żona Konstancja (córka barona Heinza) i jednocześnie prezes Zarządu Tow. Akc. Grand Hotel w Łodzi) oraz inż. Stefan Lande. Osiedli oni w Ameryce Łacińskiej. Po 1945 r. sprzedali swoje udziały w spółce Grand Hotel.

Pewna niezależność i samodzielność Grand Hotelu (podobnie, jak i Savoyu) trwała niespełna trzy miesiące. Na początku kwietnia 1945 r. władze miasta odsunęły dotychczasowego dyrektora Aleksandra Zdanowa i mianowały na jego miejsce Tadeusza Radziwiłłowskiego. Oddał hotel był prowadzony na rachunek Zarządu Miasta (jesienią 1945 r. powołano do życia przedsiębiorstwo komunalne Hotele Miejskie w Łodzi, które oddał było dysponentem Grand Hotelu, hotelu Savoy, a wkrótce też przejęte od władz radzieckich Polonii). Mimo tego władze komunalne były jedynie użytkownikami Grand Hotelu, nie posiadając formalnych praw własności. Podjęte na przełomie 1945 i 1947 r. próby upaństwowienia hotelu nie zakończyły się pełnym powodzeniem, wobec zgłoszenia zastrzeżeń przez pełnomocnika nowych dysponentów akcji Towarzystwa Grand Hotel. Kilkuletnie spory sądowe i na forum

Byli to członkowie kwartetu smyczkowego im. L. van Beethovena (Dymitr Cyganow, Wasyl i Sergiej Szynynscy i Wadim Borysowski), solista moskiewskiego Teatru Wielkiego Wiera Dawydowa, pianista Jakub Zak i koncertmistrz Filharmonii Moskiewskiej Aleksander Jerochim. Wystąpili oni m.in. w części artystycznej akademii z udziałem B. Bieruta i M. Rola-Zygmierskiego, jaka odbyła się w końcu lutego w Teatrze Miejskim.

W końcu 1945 r. — w związku ze zjazdem wojewódzkim PSL w Łodzi przebywał tu i zamieszkał w apartamencie Grand Hotelu przywódca tego stronnictwa i jednocześnie wicepremier Stanisław Mikołajczyk. Wielkim wydarzeniem w życiu miasta była wizyta prezydenta Jugosławii marszałka Josipa Broz-Tito (19 marca 1946 r.). Uczestniczył on w obiedzie, jaki na jego cześć wydała władza Łodzi w Sali Złotej Grand Hotelu. W półtora roku później krótko zatrzymał się w Grand Hotelu znany polityk francuski, ówczesny wiceprzewodniczący Zgromadzenia Narodowego Francji i sekretarz FPK Jacques Duclos.

Warto także sprostować błędną informację, którą czasami spotyka się w prasie, jakoby po wyzwoleniu przebywał w łódzkim Grandzie Nikita S. Chruszczow, ówczesny generał, a później i sekretarz KC KPZR i premier ZSRR. Tak wspomina on swój pobyt w Łodzi:

„Ja (...) byłem w Łodzi w 1945 r. Co prawda krótko, ale pamiętam miasto. Nocowaliśmy w zimnym, pustym hotelu. Następnego dnia musiałem już wyjechać do Warszawy”.

Opis powyższy nie odpowiada ówczesnemu stanowi Grand Hotelu. Zapewne N. Chruszczow nocował w hotelu Polonia, który — jak już wspominałem — był wówczas zamieniony na szpital polowy Armii Czerwonej.

Bogata jest galeria wybitnych artystów — gości Grand Hotelu

z okresu pierwszych lat Polski Ludowej. Mieszkał tu tak znani aktorzy scen polskich jak Ludwik Solski, Leon Schiller i Aleksander Zabczyński. Zatrzymywali się w Grand Hotelu znakomici muzycy polscy, goszczący na występach w Filharmonii Łódzkiej. Byli to m.in.: „Irio” Wilkomirski — wiolonczelista, Kazimierz, pianista Maria i skrzypaczka Wanda, słynny kompozytor Ludomir Różycki, pianistka Halina Czerny-Stefańska, śpiewaczka Ewa Bandrowska-Turka, skrzypaczka Bronisława Rotształówna i Grażyna Bacewiczówna, pianista Kiejstut Bacewicz i wielu innych. Z zagranicznych muzyków wspomnieć warto:

skrzypaczki Colette Frantz (Francja) i Halinę Barinową (ZSRR), pianistów radzieckich Lwa Oborina i Pawła Sieriebriakowa oraz wiolonczelistę amerykańskiego Jamesa Whiteheada.

Łódź gościła wówczas nie tylko wybitnych solistów, ale i liczne zespoły i orkiestry, grupy teatralne itd. W ramach akcji przed referendum ludowym 1946 r. wystąpiły radzieckie zespoły: tancerki ludowe Igora Moisiejewa oraz zespół „Pieśni i tańca Armii Czerwonej” pod kierunkiem sędziego generała — profesora Aleksandra Aleksandrowa. Nieco później występował chór i zespół taneczny im. Mitrofa Piatnickiego, a także Teatr Lalek Sergiusza Obrazcowa. Zespoły te kwatrowały w Grand Hotelu, sporadycznie część osób trzeba było umieszczać w sąsiednim hotelu Savoy.

Wśród literatów zagranicznych goszczących w latach 40. w Grand Hotelu warto wymienić poetę francuskiego Paula Eluarda, pisarza radzieckiego Ilię Erenburga, literata ukraińskiego, męża Wandy Wasilewskiej, Aleksandra Korniejczuka. W styczniu 1947 r. przebywali w Łodzi uczeni francuscy, laureaci Nagrody Nobla, małżonkowie Irena Joliot-Curie (córka Marii Skłodowskiej) i Fryderyk Joliot. Goście byli przyjmowani uroczystym obiadem w salach Grand Hotelu przez prezydenta Łodzi K. Mijała i rektora UL prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

Od początku działalności po wyzwoleniu wysoki poziom prezentowała gastronomia Grand Hotelu.

Kuchnią kierował Władysław Młynarczyk, nieprzerwanie pracujący tu od 1923 r. O poziomie kuchni hotelu świadczyć może menu z 23 sierpnia 1945 r. Oferowano wtedy 23 dań. Z zakąsek proponowano: mięso zimne w sosie tatarskim, majonez z homara, winogret ze szcypaka, szcypaka po grecku, jajka po rusku i 1/2 zup oferowano: barszcz lub bulion z jajkiem, chłodnik polski z rakami, zupę pomidorową z ryżem; z dań rybnych: losos z rusztu w sosie renoad, szcypaka à la Orli w sosie pomidorowym, karpia zapiekanego w śmietanie, sandacza Kolberg z kartoflami smażonymi; z dań mięsnych: sznycel à la Górski, brizolet z polędwicy z grzybami, czoł wieprzowy z fasolką, filet sauté z trufkami; z drobiu: kaczka pieczona z jabłkami, młoda pulardka z mizeria, perliczka z kompotem itd.

Po nominacji Zdzisława Gorzyńskiego na dyrektora Filharmonii Łódzkiej (lutu 1945 r.) w Sali Malinowej występowały zespoły z twożonej wówczas orkiestry tej placówki muzycznej (zespół filharmonii nie posiadał wtedy własnej siedziby, gdyż dopiero od 15 czerwca 1945 r. zaczął w miarę regularnie występować w sali kina „Bałtyk”). Grały w Grand Hotelu orkiestry m.in. H. Rapackiego i Braci Łopatońskich.

Ożywioną działalność muzyczno-rozrywkową prowadziła w pierwszych latach po wyzwoleniu Grand Café, prowadzona przez przedwojennych dzierżawców C. Walkowskiego i J. Piłckiego. W specjalnie przebudowanym pomieszczeniu tej kawiarni już 1 września 1945 r. zainaugurowały swe występy doborowe zespoły i soliści. Występowali m.in. bracia Mieczysław i Albert Harrisowie, siostry Boor, duet taneczny Pałkowski i Matuszewski („jedyni w Polsce tancerze ekscentryczni”), Ludwik Semnoliński, Irena Górską, Romuald Gierasiński, Hanka Bielicka, chór Juranda.

Nie tylko występy doborowych orkiestr i znanych solistów nadawały splendoru Grand Hotelowi. Gmach hotelu był także jednym z centrów życia teatralnego w omawianym okresie. Znaczącą rolę odgrywał w latach 1945–1948 Teatr Miniatur „Syrena”, mający swą siedzibę w pomieszczeniach byłego kina Goldberga na I piętrze Grand Hotelu (od ul. Traugutta). Jego powstanie było wypadkową dużej koncentracji w Łodzi licznych satyryków i aktorów komediowych, jak i społecznego zapotrzebowania na spektakle satyryczne owej „niefrasobliwej muzy”.

Działalność „Syreny” zainaugurowano 5 lipca 1945 r. programem „Inne czasy”.

Podstawą koncepcji artystycznej tego teatru — jak pisał badacz dziejów teatru łódzkiego Stanisław Kaszyński — było uprawianie małych form, miniatur dramatycznych, wokalnych i choreograficznych: stopniowo jednak zmierzano w kierunku teatru komedii muzycznej. W zespole kierowanym przez Jerzego Jurandowa występowali m.in. Stefania Górską, Edward Dziewoński, Wacław Jankowski, Wacław Kucharski, Alina Janowska, Kazimierz Rudzki, Eugenia i Tadeusz Sutowie, później także Igor Smiałowski. Gościnnie występował też teatr miary artystów, jak: Leon Schiller, Adolf Dymyś, Zofia Wilczyńska, Mira Zimińska, Ludwik Sempoliński, Hanka Skarżanka i Jadwiga Chojnacka.

Aktorzy tworzący zespół „Syreny” mieszkali przeważnie w hotelu Savoy, a tylko niektórzy w Grand Hotelu. Sukcesy kolejnych premier i spektakli były fetowane zazwyczaj w barze Klubu Literatów „Pieklik” (mieszczę się na I piętrze Savoyu), prowadzonym przez matkę znanego aktora Erwina Axera. Nie pomijano sal gastronomicznych Grandu, choć tu raczej przeważała widowna „Syrena”.

Po wyprowadzce „Syreny” do Warszawy, luke po niej próbował wypełnić — już z mniejszym powodzeniem — Teatr Satyryczny „Osa”. Dla pełnego obrazu życia teatralno-rozrywkowego w gmachu Grand Hotelu w pierwszych latach po wyzwoleniu warto wspomnieć o mało znanej scenie pod nazwą Studio Muzyczne (później tzw. „Teatr na piętrze”). Była ona prowadzona przez Łódzką Agencję Koncertową. Zajmowała ta scena lokale po byłym klubie fabrykanckim, na pierwszym piętrze oficyny wschodniej i południowej hotelu. Wystawiano tu przeważnie małoobsadowe programy rewiowo-muzyczne.

W 1950 r. PBP „Orbis” przejęło szereg najlepszych hoteli w kraju, w tym i łódzki Grand Hotel. W rowych ramach organizacyjnych omawiana firma kontynuuje bogatą tradycję wszechstronnej działalności.

LESZEK OLEJNIK



Foto: Grzegorz Galusinski

ciągów spacerowych, estetycznych placów zabaw i obszer-nych pawilonów handlowych, panoszą się tutaj wszędzie stara, nie uporządkowana zabudowa. I to jest pierwsza przyczyna bezradności działaczy na Manhattanie. Nie mają oni żadnego wpływu na dokonanie ślimaczących się inwestycji, na wyburzenie starych, przeszkadzających budynków. Nie bardzo nawet wiedzą, co jest czy-je.

Musimy zrobić na początek spis wszystkich użytkowników terenu, żeby się w tym zorientować. Jeden z towarzyszy dostał już takie, niełatwe, zadanie — powiada Michał Słupski, sekretarz Komitetu Środowiskowego PZPR na Śródmieściu.

Druga przyczyna bezradności jest taka: na Manhattanie mieszka zbyt wiele nie znających się zupełnie osób; panuje powszechna anonimowość; do bloków wchodzi każdy, kto chce, i wynosi zeń, co mu się żywnie podoba, no uda się wyrzucić, urwać, wykrecić.

Dalej: nie ma ani jednego porządnego placu zabaw (oprócz kilku miniaturowych, wciśniętych pomiędzy beton i płyty) i dzieci przywykły do zabaw po klatkach schodowych i w ich wnętrzu.

Nie ma także dostatecznej ilości miejsc do parkowania samochodów, bo teren jest w większości ogrodzony. Kierowcy ustawiają więc swe wozy tuż pod ścianami budynków, wjeżdżając na chodniki.

Nie ma właściwie trawników (nie licząc tych, które są w kilku reprezentacyjnych miejscach od strony ulicy Piotrkowskiej i tych, które powstają ostatnio w pobliżu siedziby administracji spółdzielczej) i właściciele psów wyprowadzają zwierzęta w labiryncie pomiędzy samochodami, na asfalt i piasek.

Wszystko to razem sprawia, że w najbliższym otoczeniu bloków Manhattanu i w środku panuje brud i bałagan, zaś dewastacja urządzeń posunięta jest tak daleko, że człowiek otrzasa się i mimowolnie zadaje sobie pytanie, czy mieszkają tu cywilizowani ludzie, czy dzikusy?

A jednak — najwyraźniej — mieszkają na Manhattanie ludzie cywilizowani. Trzy są bowiem w tych blokach strefy czystości. Pierwsza — mniej lub bardziej zadbane — kończy się zazwyczaj na progu mieszkania. Druga — mieszcząca się w jednej krajowej — panuje w hallach wyższych pięter, zaś trzecia, która powinna się raczej nazywać „strefą nieczystości”, urągająca wszelkim standardom — to halle na parterze, klatki schodowe i otoczenie budynków, łącznie z przejściami, zaułkami, „małą architekturą” itp. itd. Nie odkrywam rzecz jasna żadnych rewelacji — podział na strefy istnieje w większości polskich osiedli. Jednak na Manhattanie jest on wyjątkowo ostry.

Dowodem na to, że mieszkańcy osiedla są ludźmi cywilizowanymi jest fakt, iż próbują oni (bez powodzenia) utworzyć enklawy porządku. Spośród najprostszych: zamknięcie na klucz drzwi, prowadzących z hallu do ciennej, pozbawionej okien klatki schodowej, dzięki czemu na piętra można dostać się jedynie windą. Jest to sposób energicznie zwalczany przez spółdzielnię, gdyż uraga przepisom przeciwpożarowym.

Inny sposób na brud i dewastację: to założenie sobie domofonów. Jest on praktykowany w niewielkich, kilkupiętrowych blokach, „plombach”. Nie nadaje się zupełnie do mrowiskowców na Manhattanie, gdzie bez przerwy ktoś wchodzi i wychodzi. Najlepszy byłby surowy stróż porządku, czuwający na zmianę z kolegą przez całą dobę. Są przecież na parterach gotowe portiernie! Byli i portierzy w niektórych klatkach, ale na krótko, bo obciążali domowe budżety lokatorów, a upilnować wszystkich i tak nie mogli, gdyż wejść do bloku jest sporo, a jeśli uwzględnić przejścia w „poziomie” — łatwo ich było ominąć.

I tak już zostało: puste portiernie, oprawki pozbawione światełek, nadpalone przyciski do wind, drzwi pozabijane dyktą, podziurawione elewacje, wielkie dziury w chodnikach, a pośród tego wszystkiego ciągle śpieszący się ludzie, którym pozostał już tylko jeden sposób na estetykę: zamknięcie się we własnym, wychuchanym mieszkaniu, jak w twierdzy.

Ale i w nim spokoju nie zaznają — przez brakobóstwo budowlanych, z powodu zadziwiająco szybkiego starzenia się instalacji, która „wysłada” coraz częściej, wskutek zaniedba-

w konserwacji, a właściwie z powodu jej braku — przez wszystkie lata od powstania pierwszych bloków aż do dziś. I to jest właśnie trzecia przyczyna bezradności na osiedlu Manhattan, które zaczęło się sypać.

Specyfikacja mrowiskowców

Przyjrzyjmy się na początek blokowi-obrzymowi przy ul. Piotrkowskiej 204/210, składającemu się z trzech kilkunastopiętrowych segmentów, ustawionych frontem do głównej ul. miasta. Oto, jakie prace należy w nim przeprowadzić, aby doprowadzić budynek do porządku:

1. Malowanie klatek przed windą;
2. Naprawa drzwi drewnianych przed windą;
3. Naprawa drzwi wejściowych;
4. Po zakończeniu remontu halli przed windą — prace tynkarskie w mieszkaniach (sukcesywnie);
5. Oświetlenie klatek schodowych;
6. Zabezpieczenie szachtów elektrycznych;
7. Naprawa chodników;
8. Uzupełnienie oświetlenia od strony wschodniej;
9. Ogrodzenie trawnika słupkami i łańcuchem...
10. Kryzowanie i regulacja instalacji c.o....
11. Przy wejściach do klatek zamontować jarzeniówkę z plafonierą z napisem numeru klatki i numeru policyjnego.

Pow. szczy przydługi cytat jest fragmentem protokołu ze spotkania spółdzielczej administracji z przedstawicielami komitetu blokowego. Zwraca uwagę punkt 4, dotyczący wymiany tynków, które w większości mieszkań zaczęły opadać. Protokół zawiera łącznie 17 punktów do wykonania, wraz z terminami. W jednym tylko bloku!

Żeby jednak nie przestraszyć znaną, dodam, iż blok przy ul. Piotrkowskiej 204/210 należy do najgorszych na Manhattanie. Z innymi jest nieco lepiej, ale tylko trochę.

Weźmy teraz pod lupę innego obrzyma, przy ul. Piotrkowskiej 182. Darujmy sobie jego wysokość na 20 pięter mury, z uszkodzonymi w niektórych miejscach płytami elewacji. Darujmy sobie to, co ponad ziemią i zejźmy w głąb, pod parter, gdzie znajdują się obszerne pomieszczenia przeznaczone na garaże. Projektant przewidział 60 miejsc postojowych dla samochodów, automatyczną instalację tryskaczową na wypadek pożaru i inne udogodnienia dla mieszkających powyżej kierowców. Nic z tego — garaże nie funkcjonują od samego początku, od 10 lat!

Nikom, oprócz samych kierowców, nie zależało na uruchomieniu tych garaży — komentuje prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Śródmieście”, Tadeusz Witkowski. Jest to komentarz mocno skrócony. Bez wdawania się w szczegóły. Gdyby chciał się opisać, trzeba by zacząć oddzielny artykuł. Wspomnę więc tylko, że składowano w tych podziemiach kieszonki, a teraz stoją puste, zdewastowane, z nieczynną, uszkodzoną instalacją, z rozsypaną się podłogą.

Kontynuując obchód po osiedlu, wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, dochodzimy do bloku przy al. Adama Mickiewicza 18, który jest pod pewnym względem wyjątkowy: otóż znajduje się w nim jedyny w całej okolicy klub dla mieszkańców, nazywający się od niedawna dumnie Domem Kultury „Manhattan”. Klub, będący od kwietnia 1988 r. filią DDK „Lodex”, egzystuje na siódmym, gospodarzom piętrze mrowiskowca i składa się z małej świetlicy oraz dwóch kłitek (jedna z nich to kuchnia) o łącznej powierzchni około 60 metrów kwadratowych. Sasiaduje z „Inwestprojektem” i korzysta po sąsiedzku z telefonu, którego sam nie posiada. Mimo naprawdę kiepskich warunków, muzykują tu Dziecięcy Zespół Instrumentalny i Zespół Muzyki Dawnej (dorobili), prowadzone są m.in. kursy języka angielskiego i zająć Ogniska Muzyczne; czynny jest również punkt opieki nad dzieckiem.

Taki klub jak nasz — Krystyna Sawicka ogarnia jednym spojrzeniem całe „gospodarstwo” — powinien być właściwie w każdym z tych dużych bloków...

W mrowiskowcu przy al. Adama Mickiewicza 18 trwają dotąd prace budowlane. Na I piętrze rodzi się w hólach od lat biblioteka muzyczna, a obok bloku wygląda za plotu szkielet „przewiązki”, mającej w przyszłości — nie wiadomo, jak dalekiej — połączyć go z na-



Foto: Grzegorz Gałasiński

Bezradność na Manhattanie

stepnym, najmniejszym na Manhattanie „B” mrowiskowcem, przy ul. Henryka Sienkiewicza 101/109.

Oba sąsiadujące z sobą bloki mają teraz wspólne interesy: dokonanie wreszcie owej „przewiązki” oraz wybudowanie pawilonu handlowego, którego miejsca wyznacza obecnie żółto-różowe ogrodzenie, jedno z wielu w tej rozciągłej bezustannie okolicy. Istnieje jeszcze inny wspólny interes: wygranie bitwy o parking na 300 miejsc. Bitwa ta również zasługuje na oddzielny artykuł.

W skrócie, chodzi o to, że: parking wybudowany został społecznie, lecz przejął go PZMo, który żąda aktualnie podwyżki — do 2 tys. zł od miejsca postojowego mieszkanin. Naturalnie, kierowcy podnieśli bunt. W hallach na parterze bloków wisi specjalne pismo, informujące o przebiegu bitwy. Oto fragmenty komunikatu:

„Nie możemy zaakceptować jednostronnych decyzji cenowych”, „będziemy zmuszeni skierować sprawę na drogę postępowania sądowego”, „rozważamy możliwość rozwiązania umowy na prowadzenie parkingu przez PZMo”.

Wojowniczo nastawieni są na Manhattanie nie tylko kierowcy. W budynku przy ul. Sienkiewicza 101/109, do którego zawdrowaliśmy, kontynuując nasz obchód, wyczuć można w ogłoszeniowej gablotce następującą groźbę:

„Dział eksploatacyjny SMS informuje, że w przypadku dalszej dewastacji oświetlenia dźwigów, istnieje możliwość wyłączenia ich z dalszej eksploatacji”.

Sprawdziłem — windy jeszcze działają. Czyżby lokatorzy zlekci się perspektywę wchodzenia po schodach? Blok ma 15 pięter wysokości...

Zmieniamy kierunek spaceru, idziemy kilkaset metrów ulicą Henryka Sienkiewicza, mijając starą zabudowę. Po przejściu ulicy Wigury jesteśmy już na Manhattanie „E”, przy ostatnim, piątym mrowiskowcu SDM. Zastanawiamy się w ten sposób wielkie kolo: naprzeciw, patrząc na zachód, piętrzą się segmenty „najgorszego” bloku przy ul. Piotrkowskiej 204/210, od którego zaczęliśmy nasz ob-

chód. Tu, przy ul. Stanisława Wigury 15, mieściło się do niedawna na parterze Ognisko TKKF. Od kilku tygodni do sali, gdzie przedtem ćwiczyli kulturyści, wprowadzili się panie uprawiające aerobik, a także sympatyczny zespół „Bałajki”. Pomieszczenia TKKF przejął DK „Manhattan”, ale nie o było się bez zwykłych na osiedlu trudności i konfliktów.

Najpierw doszło do zalania, co opóźniło przeprowadzkę, a teraz... szykuje się nowa przeprowadzka, gdyż muzyka towarzysząca zajęciom nie przypadła do gustu lokatorom znad sufłtów.

Kierownik DK „Manhattan”, który musi się liczyć z każdym groźmą, szuka więc nowej sali do wynajęcia, gdzie by można w spokoju wyprzeżyć się w rytm muzyki. Zwierza się z tego dyrektorka szkoły gastronomicznej.

— Zgoda, ale po 3 tysiące złotych za godzinę — odpowiada twardo pani dyrektor.

— Może jednak po 2 tysiące? — próbuje się targować zaskoczony ceną kierownik.

— Nie, szkoła przechodzi na samofinansowanie...

W bloku przy ul. Wigury 15 znajduje się również centrum strategiczne łódzkiego Manhattanu — Spółdzielnia Mieszkaniowa „Śródmieście”. Zmęczeni spacerem po mrowiskowcach, zatrzymamy się u spółdzielców na dłuższą.

Korzystny rozrząd

Spółdzielnia powstała zaledwie przed dwoma laty, wyodrębniając się z Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Rozrząd przyjął bez większych oporów, ponieważ obie strony widziały w nim swój interes. Działacze z Manhattanu chcieli w ten sposób uzyskać więcej pieniędzy, gdyż z niepokojem spostrzegali narastającą potrzebę remontów. Uważali, że spora część z wysokości na Manhattanie czynszów wędruje na potrzeby starej zabudowy w innych rejonach śródmieścia, bo — na logikę biorąc — pierwszeństwo w remontach ma to, co starsze. Tymczasem SDM, pomimo iż całkiem młoda, zaczęła się właśnie sypać. Do-

strzegli to również w porę spółdzielcy z LSM, uznając — mówiąc obrazowo — że poprzez rozrząd najłatwiej się pozbędą dołnej krowy, której w międzyczasie zdążyły się poważnie zapasć boki, tak, że w przyszłości trzeba by i dla niej zadbać o paszę. Tak więc, rozrząd nastąpił dość szybko, lecz pieniądze raczej nie przybyło.

— To znaczy — prostuje Tadeusz Witkowski, prezes spółdzielni — przybyło, ale ceny tak szybko zaczęły wzrastać, że nie mogliśmy się z tych pieniędzy cieszyć zbyt długo.

W 1988 roku spółdzielnia ma do dyspozycji 20 mln zł na remonty i konserwację. Połowę z tej sumy pochłona roboty tynkarskie w jednym tylko bloku. Potrzeby natomiast są ogromne. Trzeba koniecznie wymienić prawie wszystkie chodniki w otoczeniu bloków, czyli około 3 tys. m. kw. płyt z betonu (przewidywany koszt — 15 mln zł). Jest nadzieja, że jedną trzecią wymieni się już w tym roku. Trzeba też przeprowadzić drugi etap smarowania dachów, do niedawna zupełnie nie konserwowanych. Należy również wziąć się za wymianę stolarki okiennej, z której co najmniej połowa jest już zniszczona. Spółdzielców czeka drugi etap kryzowania, czeka ich również przegląd instalacji gazowej, obowiązkowy dla wszystkich spółdzielni. Lokatorzy liczą na wymianę najbardziej zniszczonych odcinków instalacji wodociągowej, na wymianę 100 silników od wentylacji mechanicznej, która — oczywiście — od dawna nie działa. Kierowcy chcą wreszcie otrzymać swoje podziemne garaże, co również pochłonie niemałe sumy, wobec opisanej już dewastacji. W ogóle — wszyscy na coś czekają, bo zaległości z czasów, gdy rządziła tu LSM, są zastraszające. Winne są jednak nie tylko zaległości, ale i niska jakość wykonawstwa budowlanych, — naturalnie — szybko postępująca dewastacja na osiedlu.

Skąd na to brać pieniądze?

O następnej podwyżce czynszów lepiej na razie nie wspominać, lokatorzy zbyt dobrze pamiętają ostatnią. Można więc zrobić dwie rzeczy: powstrzymać dalsze niszczenie wspólnej dobra, oraz — i to jest pomysł znakomity, z gatunku tych oczywistych, które jakoś zbyt rzadko wpadają nam do głowy — wykorzystać niezwykle korzystne położenie Manhattanu, w samym centrum Łodzi, niedaleko od domów towarowych „Central” i „Juventus”, obok biurów licznych instytucji. Takie miejsca są wszędzie, na całym świecie, bardzo poszukiwane i drogie. U nas — jak zwykle — świadomość i chęć są duże, ale nie mniejsze trudności. Spółdzielcy starają się pozyskać nowe pomieszczenia, a by wynająć je następnie na lokale biurowe i na usługi. Starają się, ale idzie im to opornie, ponieważ, żeby wynająć, trzeba w pierwej z reguły przeprowadzić remont (na co nie starcza pieniędzy), albo — wybudować. I tak również się czyni, zabudowując tzw. prześwity w mrowiskowcach. To jednak — oczywiście — kosztuje, a ponadto jest sprzeczne z projektem i wymaga zgody, której udzielić się raczej niechętnie. Trudno się temu z kolei dziwić — wszak upada w ten sposób ostatni bastion pierwotnej architektonicznej koncepcji, bo przecież nie udało się zgodnie z projektem zagospodarować osiedla.

Co zaś się tyczy pierwszego sposobu, czyli powstrzymania dewastacji, narasta świadomość, iż nie obejdzie się jednak bez domofonów lub portierów. Jest to kwestia uzgodnień z lokatorami i pieniędzy, które z czasem będą musiały się znaleźć. Ale na razie słane są do lokatorów groźby i apele. We wszystkich gablotach na całym Manhattanie wisi dramatyczny apel, wystosowany wspólnie przez administrację osiedla i Radę Osiedla.

„Pamiętajcie — czytamy w nim — że każda ukradzioną żarówka, zniszczone malowanie, wybita szybka, złamane drzewko czy wyrwane kwiaty, obciążają nasz wspólny fundusz, co wpłynie na wysokość miesięcznego czynszu”.

No właśnie, czynsz. Skoro już padło elektryzujące słowo, przyjrzyjmy się bliżej opłatom, jakie ponosi lokator przeciętnego spółdzielczego mieszkania na Manhattanie, przykładowo o powierzchni 50 metrów kwadratowych. Całkowita opłata składa się z czynszu, oraz ze spłaty kredytu. Pierwszy składnik określić jest łatwo: po ostatniej podwyżce wynosił on 106 zł od

metra kw. powierzchni mieszkalnej, na co składa się 60 zł opłaty eksploatacyjnej (w tym 18 zł na potrzeby remontowe) oraz należność za ogrzewanie, windy i ciepłą wodę. Drugi składnik, czyli spłatę kredytu, określić trudniej, gdyż zamyka się on w granicach od 7 do 87 zł za metr kw. zależnie od typu mieszkania i „starości” bloku. Łącznie, sumując oba te składniki i mnożąc je przez pięćdziesiąt, dochodzimy do sumy, jaką wpłaca co miesiąc lokator najnowszego, oddanego do użytku w 1983 r. mrowiskowca: wynosi ona łącznie około 10 tys. zł!

Jeśli postawiłem przy tej sumie wykrzyknik, to przy opłatach, jakie powinien uiszczać lokator projektowanego Manhattanu „C”, będę musiał postawić aż trzy wykrzykniki. Ale — po kolei.

Manhattan „C” tylko dla bogaczy

Manhattan „C” powstanie w rejonie ulic Henryka Sienkiewicza, Adama Mickiewicza i Jana Kilińskiego. Staną tam trzy kilkunastopiętrowe bloki oraz duży pawilon handlowy. Budowę zamierza się rozpocząć w przyszłym roku, zaś ukończyć ją — w XXI wieku. Spółdzielnia jest inwestorem Manhattanu „C”, a skoro jest spółdzielnią, musi się zatroszczyć o swoich członków, przyszłych lokatorów. Jest to nieodłączną częścią z powodów finansowych: nadzynać na Manhattan „C” będą musieli wpłacić 10 procent wartości kosztów budowy — tylko wtedy spółdzielnia otrzyma kredyt bankowy na całość. I oto dochodzimy do sedna. Pominijmy już fakt, że te 10 procent całości oznacza przy obecnych cenach mniej więcej 3 mln zł wkładu członków, które można jednak pominąć (nie licząc, zgodnie z aktualnie obowiązującymi przepisami, miesięczne opłaty lokatorów na Manhattanie „C” wyniosą w sumie około 40–60 tys. zł!!!).

Nowe przepisy kredytowe, wprowadzone od 1 stycznia 1988 r. wprowadzają pojęcie tzw. kosztu standardowego, który jest określany z góry dla poszczególnych województw i razie jego przekroczenia, właściciel radykalnie oprocentowania kredytu, a ponadto — niezależnie od tego — skrócony został o 10 lat okres spłaty. Ołóż wiadomo już na pewno, że koszty budowy Manhattanu „C” przekroczyły ów pułap standardu, ze względu na rodzaj zastosowanej technologii, rozmiar bloków, długość cykli budowy itp. Pozostaje zaem dwa wyjścia z tej sytuacji: albo dotacje z budżetu województwa (były już takie w przeszłości, dla Manhattanu „B”, ale z budżetu centralnego), albo — zmiana technologii. To jednak oznaczałoby całkowitą przeróbkę projektu, zmianę koncepcji przygotowania terenu, a przecież część prac przygotowawczych już wykonano...

Jest jeszcze trzecie wyjście: zwołać spotkanie kandydatów na lokatorów i powiedzieć im, jakie szykują się opłaty! Może znajdą się tacy, których będzie na nie stać? Prawdę mówiąc, na pewno się znajdą, ale co na to powie opinia publiczna, co będzie z principiami? Słowem: problem jest duży, nie do rozwiązania przez samych spółdzielców.

Toteż spółdzielcy alarmują. Wysłał pismo do władz administracyjnych i politycznych Łodzi, proponując spotkanie i dyskusję.

— Nie zamierzam nabierać wody w usta — kategorycznie oświadcza prezes Tadeusz Witkowski. — Problem trzeba szybko rozwiązać, bo budowanie tak, jak dotychczas na Manhattanie, stało się w świetle nowych przepisów niemożliwe.

Może to i lepiej?

Podobnego zdania wydaje się być Michał Słupski z Komitetu Środowiskowego PZPR, rozpoczynającego dopiero działalność.

— Trzeba się uczyć na błędach, jakie tutaj dookoła popełniono.

I taka jest najlepsza puenta dla stanu, w jakim znajduje się obecnie nasz łódzki Manhattan. Najlepiej oglądać go z daleka, z okolic „Centralu”. Wygląda stamtąd naprawdę nowocześnie.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

krzywdy. Przecież polski księgarski są zawaleni. Zawalone makulaturą. Już przed złożeniem tych książek w drukarni, jeszcze w postaci maszynopisów, wydawca wiedział, że na nich nie zarobi.

W dziedzinie tzw. literatury społeczno-politycznej, obok dzieł mieszczańskich wartościowych i poszukiwanych (jak choćby ostatni bestseller Michała Gorbaczowa) pojawiają się jakieś nudne rozprawki, których jedyną zaletą jest „świeżość polityczna” a czasem i zbiory przemówień meżów stanu (rodziny, rodzimych...), które już w chwili ukazania się w księgarniach są zwietrzałym białym a ich autorzy dawno opuścili fotel i pierwsze strony gazet.

Są książki z góry skazane na deficyt, które mimo to ukazują się. Ot, choćby debiutanckie zbiory poezji, opowiadań, reportażów. Ktoś niedawno zaproponował, żeby wzorem dwudziestolecia międzywojennego a także i lat wcześniejszych debiutanci wydawali książki własnym sumptem. Pomysł nierealny, bo ktoś z młodych poetów czy prozaików ma tatuaż milionera i na dodatek tak lekkomyślny, żeby pchać pieniądze w interes z góry skazany na fiasko?

Ryzyko finansowe (a właściwie już nie ryzyko, tylko planowana strata) musi leżeć po stronie wydawcy. Dlaczego jednak tylko po stronie wydawcy? Czy młody autor, którego pierwszy skromny tomik jest już nobilitacją nie może mieć np. takiej umowy, że za miast: ryczałtowego honorarium będzie otrzymywał procent od sprzedaży? Zresztą dlaczego tylko młody, początkujący autor? Cała elita pisarska chętnie na to pójdzie, spodzielając się dużych zysków za swoje poczytalne, wielkonakładowe książki.

Mam jeszcze jeden pomysł z tej dziedziny. Zgodnie z najnowszym porządkiem redakcyjnym, że „co nie jest prawem zakazane to...” itd. można przecież zakazać różnorodności spółki czy spółdzielni, w których uczestniczyć będą wydawcy i autorzy albo organizacje autorskie. Można przecież

próbować założyć taką spółdzielnię, czy nawet prywatną drukarnię. Może i takie formy wymagaliby jakichś dotacji „na rozruch”, czy ulg podatkowych, ale wreszcie dalyby szansę niecierpliwym, ambitnym i wierzącym we własne siły. A minister Aleksander Krawczuk trochę zaoszczędzi.

Istnieją (niewiele, bo niewiele) prywatne wypożyczalnie książek. Jedną z nich przy ulicy Andrzeja Struga w Łodzi ma na szydźcie dumny napis, że jest najstarsza w Łodzi. Mimo sieci bibliotek państwowych, szkolnych, zakładowych

Kto da pieniądze na kulturę?

czy jakich tam jeszcze, jak wiadomo całkowicie bezpłatnych, te prywatne, które przecież wymagają wykupienia abonamentu, prosperują! Ich właściciele z nich żyją, nie dokładają do nich! A zatem można się zmieścić nawet obok monopolu. Trzeba trochę chcieć, chyba sporo umieć, ale można...

Sęk w tym, że zarówno produkcja jak i rynek księgarsko-biblioteczny jeszcze do reformy nie dorosły. Podczas, gdy gospodarka z trudem, z oporami i przy wielu przeszkodach jakos tam walczy na drugim etapie reformy,

kultura nawet nie osiągnęła pierwszego etapu reformy

Miał ten pierwszy etap — przypomnijmy — doprowadzić gospodarke do samorządności i samofinansowania. Samofinansowanie całej działalności kulturalnej jest utopią i nie do niej dążymy. Dążymy natomiast, musimy dążyć — do ograniczenia dotacji z chudej kasy państwowej. Metody są

dwie: albo ograniczenie tej działalności albo obniżenie dotacji. Wykorzystać trzeba obydwie, nie ma wyjścia...

Opowiadano mi niedawno, że w czasie tournée naszych filharmoników w Hiszpanii natknęli się oni na taką sytuację: w pewnym dużym mieście wystąpił w dużym domu muzyki i teatru. Ludzie waliłi drzwiami i oknami, bowiem w mieście tym nie było stałej orkiestry symfonicznej i teatru muzycznego! Dom muzyki i teatru służył tylko zespołom przyjeżdżającym z zagranicy, na utrzymanie stałych zespołów.

Tymczasem w samej Łodzi, można się doliczyć kilku orkiestr: filharmoniczna, odeonowa, radiowa oraz dwie teatralne. Mam dwa teatry muzyczne i kilka dramatycznych oraz dwa lalkowe. Nie twierdzą — broń Boże! — żeby je polikwidować. Jednak trzeba się zastanowić, czy wszystkie mają być dotowane i to jednakowo, tj. na zasadzie pokrywania w całości ich deficytu. Wyobrażam sobie, że można ich dotacje co najmniej zróżnicować.

Na przykład: jakieś ciało społeczne, jakaś rada czy komisja kulturalna ustala, że przyznaje na stałe względnie wysokie dotacje dwóm lub trzem scenom w mieście. Wymaga się od dyrektorów tych scen wystawiania ambitnej sztuki współczesnej, wartościowej, a nie „frekwencyjnej” (klatki choćby z katalogu lektur szkolnych), umożliwia im się eksperyment i inne formy artystyczno-ekonomicznego ryzyka. Pozostali teatrom obniża się dotacje i proponuje: robcie panowie repertuar popularny, lekki, łatwy i przyjemny. Wystawiajcie komedijki i kryminałki, trochę seksu, trochę muzyki, coś dla młodzieży, jakieś spektakle połączone z roz-

kreacją czy czym tam jeszcze. Biercie droższe bilety, dawajcie częściej premiery, ruszcie w objazdy. Róbcie zresztą, co chcecie, to wasza dzialka, ale starajcie się wybić na niezależność finansową. My, władze, oczywiście pomożemy i organizujemy i finansowo, przynajmniej na początek, ale na duże dotacje nie liczcie. Liczcie na siebie...

Już słyszę ten szum! Co on proponuje? Podzielić teatry i orkiestry na kategorie? Podzielić środowisko? Reglamentować sztukę? Na jednej scenie wybitni aktorzy i znakomite tytu-

ły, na widowni intelektualści, a na drugiej chad, gzyrmaty, aktorzy drugiej kategorii, na widowni ciemnota?

Można i tak. Ja tylko proponuję. Mam zresztą także inne propozycje. Opowiadano mi w latach sześćdziesiątych o nowo powstałym, spółdzielczym teatrze łask w jednym z większych miast Jugosławii. Otóż teatr ten, spółdzielczy, jak wspominałem, przez dwa lata nie wypłacił aktorom ani grosza. Był na dorobku. Po dwóch latach zaczął prosperować i aktorzy w nim zarabiali więcej niż w teatrach miejskich, mieli bowiem zamiast gazy procent od wpływów.

Może znajdzie się i w Polsce taki kamikadze, który założy spółkę aktorów? Jeśli dać mu swobodę repertuarową, jeśli rozsądnie pomóc finansowo (np. przez zwolnienie z podatków), okaże się, że teatr ten, ta spółdzielcza trupa jeździ po kraju i zbija smaż jak złoto!

Jest jeszcze problem, który streszcza się w pytaniu:

Kogo dotować a od kogo brać?

Odpowiedź pozornie jest prosta: doć Estradę i Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, doć film komercyjny i „Pargart”. Doć wydawnictwo „Tredowate” i ekranizację tejże, doć produkcję nagrań muzyki rozrywkowej. Powinno z tego „dojenia” starczyć na ambitny teatr, na filharmonię i balet, na wartościową literaturę i ambitny, trudny w odbiorze film.

Ale prawda jest zupełnie inna! Bywają deficytowe występy gwiazd rocka, bywają deficytowe lunaparki, cyrki i płyty gwiazd rocka i to jest polska specyfika, którą trudno inaczej nazwać jak ekonomiczną paranoją.

Znow wracamy na grunt reformy, trzech „S” oraz u-spółdzielczenia. Nie widzę powodów, żeby nie powstał spółdzielczy cyrk, prywatny lunapark, prywatna lub spółdzielcza agencja impresaryjna. Albo będą dochodowe i szczerze będą zasilać podatkami ministerstwo Bazyliego Samojlika albo spłajnują i po kłopotach...

Tymczasem mówi mi jeden z prominentów od łódzkiej kultury (mówi prywatnie, więc nazwiska ani funkcji nie ujawniam), że zastanawia się, czy dotować teatr, do którego przychodzi garstka widzów czy też Estradę, która jest w mieście największą sceną, obsługującą setki tysięcy widzów? Estrada na siebie nie zarabia! A na całym świecie przynosi kolosalne zyski! Polska paranoja...

Wreszcie sprawa, którą można nazwać

mecenat pozapaństwowy

Nie chodzi mi ani o mecenat kościelny, ani związków zawodowych, choć i te traktować trzeba z szacunkiem. Idzie o mecenat, który z powodzeniem może sprawować przemysł, zwłaszcza wielki przemysł. Możliwości takie (wypróbowane już w innych krajach, a także mające polskie precedensy) istnieją w co najmniej dwójakiej formie: współpraca placówki kulturalnej z fabryką oraz zwykła darowizna, stała bądź jednorazowa dotacja, którą bogaty zakład dobrowol-

nie daje placówce kulturalnej. Forma pierwsza: świadczenie wzajemnych usług. Wyobraźmy sobie, że zakład umawia się z teatrem, że ten drugi będzie swego kontrahenta po prostu reklamował. Umieszczał jego znak firmowy na plakatach, urządził w foyer wystawę jego wyrobów, zarezerwuje na każdej premierze i innych przedstawieniach jeden rząd dla pracowników opiekunów zakładu. Wreszcie utrwalą się opinie, że teatr „X” jest teatrem firmy „Y” tak jak wiadomo, że jakiś tam klub sportowy należy do określonego zakładu... co też powinno zakładać jakoś reklamować i dawać mu jakąś tam popularność.

Forma druga i ważniejsza: Duży zakład bierze na częściowe utrzymanie orkiestrę czy trupę teatralną. Bierze dlatego, że mu się to opłaca! W prosty sposób: forsa wydana na utrzymanie placówki jest kwotą zwolnioną od podatku. Przy właściwym systemie podatków, prógów podatkowych i ulg oraz zwolnień można sobie wyobrazić, że to dyrekcja zakładu przemysłowego będzie prosiła dyrekcję placówki kulturalnej o przyjęcie darowizny! Dyrektor zakładu powie do dyrektora teatru czy orkiestry: Daję wam tyle a tyle gotówki za darmo, bez zobowiązań. Jeśli pan tę forszę przyjmie, zrobi mi pan przysługę, bo odpowiedni przepis gwarantuje mi taką ulgę podatkową, że nie tylko wy ale i my, załoga mojej firmy, na tym zarobimy!

Ale jak dotąd zakłady likwidują własne kluby, świetlice i biblioteki w celach oszczędnościowych. A wariat, który zechce dać cokolwiek szkole czy domowi dziecka płaci jeszcze od tego podatek...

ANDRZEJ KAROLCZAK

W czerwcu w Łodzi wiele atrakcji dla łódzian i gości.

Po raz drugi, a zatem lepiej

Już za kilkanaście dni rozpoczyna się w Łodzi drugie Międzynarodowe Targi Odzieży, Tkanin, Dziewiarstwa i Wyrobów Skórzanych INTERFASHION — Łódź '88. Jest to impreza filialna Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Do Łodzi przyjeżdża ze swą ofertą kilkudziesięciu producentów zagranicznych z 17 państw. Zaprezentuje swoje kolekcje 245 fabryk przemysłu lekkiego z całej Polski. Targi odbywać się będą w dwóch halach sportowych — na powierzchni 7 tys. m kwadratowych, drugie tyle zajmie 9 dodatkowych ekspozycji w zakładach pracy.

Czym są Międzynarodowe Targi Interfashion dla Łodzi? O tym i innych, związanych z targami sprawach rozmawiałam z PAWEŁEM BABIEM — szefem zespołu do spraw propagandy w Komitecie Organizacyjnym targów, na co dzień — kierownikiem Wydziału Propagandy KŁ PZPR.

— Czy Interfashion to dla Łodzi kłopot, czy też mamy z tego jakieś korzyści?

— Myślę, że dla miasta — jako organizmu społecznego — ważny jest fakt odbywania się w nim międzynarodowych targów. Organizacja takiej imprezy, o międzynarodowym zasięgu, nobilituje w pewien sposób każde miasto. Decyzja o tym, że międzynarodowe targi odbędą się w Łodzi jest miarą uznania nie tylko produkcji łódzkiej przemysłu lekkiego, ale i samego miasta, jako godnego gospodarza.

Jest to znakomita okazja nie tylko do promocji naszych wyrobów eksportowych, lecz także do zaprezentowania gościom z zagranicy i z całego kraju uroków i atrakcji miasta — ciekawej architektury, zabytków, przedsięwzięć kulturalnych, warunków życia. To z pewnością wpłynąć może na zmianę stereotypu, który jeszcze gdzieś funkcjonuje, przedstawiającego Łódź jako nieinteresującą, szarą miasto, w którym nie dzieje się nic, oprócz produkcji.

— Jest to impreza filialna Międzynarodowych Targów Poznańskich. Czy fakt ten nie powoduje obniżenia rangi łódzkiej targów Interfashion?

— Wręcz przeciwnie. Międzynarodowe Targi Poznańskie są od wielu już lat znane i uznane na świecie, cieszą się znakomitą opinią. Fakt, że Interfashion są imprezą filialną zwiększa zaufanie potencjalnych wystawców i handlowców. Współpraca z doświadczonymi fachowcami — organizatorami targów z Poznania układająca się bardzo dobrze, jest dla nas niezbędna. W 1987 roku uczyliśmy się, jak prowadzić duże, istotne dla całej gospodarki polskiej przedsięwzięcie o charakterze ekonomicznym. Mam więc już pewne doświadczenie — nie takie jednak, które pozwoliłoby na samodzielną organizację targów.

— W 1987 roku nowe, po raz pierwszy organizowane targi za-

owocowały niespotykaną dotychczas formą — ekspozycjami zakładowymi. Można chyba stwierdzić, że była to nowość udana, skoro została powtórzona również i w tym roku?

— Istotnie, było to novum na skalę krajową. Wszyscy ocenili tę formę organizacyjną pozytywnie. Przede wszystkim ekspozycje w zakładach pracy pozwalają na prawdziwie pełną prezentację polskiej oferty eksportowej, ponadto — potencjalni kontrahenci mogą zapoznać się nie tylko z wyrobem gotowym, ale także z technicznymi i technologicznymi możliwościami zakładów.

Przynosi ta forma również inne korzyści. W zakładach mobilizuje dyskrekcję i zalogi do szeregu działań organizacyjnych, związanych z przygotowaniem ekspozycji, ale także do takich posunięć, które pozwoliłyby zaprezentować zakład tym, którzy zechcą go zwiedzić, od jak najlepszej strony. To, oczywiście, już zostaje — nie jest efektem przewidzianym jedynie na okres targów.

W wielu przypadkach urządzenie takiej zakładowej ekspozycji pozwala także założyć innym okiem spojrzeć na dzieło własnych rąk. Jeśli tym, co robimy interesuje się cały kraj — to jest to powód do dumy.

W tym roku będzie dwadzieścia wystaw zakładowych, z tym, że na każdej prezentować swoje kolekcje będzie po kilka fabryk.

— Przed ubiegłorocznymi targami poprawione zostały nawierzchnie ulic wokół terenów targowych, na wielu domach odnowiono elewacje. Czy i w tym roku przewidziane są podobne, upiększające miasto zabiegi?

— Tak. Przeprowadzane są dalsze remonty nawierzchni oraz zabiegi upiększające. Nie są to działania związane tylko z targami. Zakres potrzeb remontowo-adaptacyjnych i upiększających w mieście jest ogromny i są one realizowane zgodnie z możliwościami i z planem, systematycznie. To wszystko, co jest realizowane i tak musiało być zrobione. Targi są jedynie dodatkowym impulsem mobilizującym.

Wracając jeszcze do problemu, co targi dają społeczeństwu miasta — chciałbym, aby mobilizowały nas wszystkich do zwiększonej troski o porządek, o ład i estetykę — to ważne przecież nie tylko dla gości, ale także, a nawet przede wszystkim dla nas samych.

— Obok licznych pochwał, jakie zbierali organizatorzy targów ubiegłorocznych znalazły się również i słowa krytyki. Min. do tejczyły one nie najlepsze funkcjonowanie gastronomii poza terenami targowymi, niedostatków bazy hotelowej. Czy w tym roku uda się usunąć te mankamenty?

— Przybyło nam przede wszystkim doświadczeń. Wszyscy uczymy się być miastem targowym — a nie jest to nauka łatwa, nie wszystko uda się od razu. Oczywiście staraliśmy się nie powtórzyć tych samych błędów.

Baza hotelowa nie zwiększyła się — na to nie było czasu. Ale — służby hotelowe wykorzystają czas między targami na poprawę organizacji pracy, podniesienie jakości obsługi gości, poprawę informacji hotelowej. Myślę, że tym razem w hotelach gości będą mogli uzyskać wszelkie potrzebne im informacje dotyczące targów, komunikacji, gastronomii, imprez kulturalnych itp.

Również — jak sądzę — lepiej organizacyjnie przygotowana jest gastronomia, która ponadto zapowiada atrakcyjne nowości w jadłospisach. Pozostaną one na później, dla mieszkańców miasta.

— Niezbyt miłym, moim zdaniem, widokiem były tłumy wokół kiosków, ustawionych przy halach sportowych, gdzie sprzedawano dość atrakcyjne towary. Czy taki kłamraz obędzie się również i w tym roku?

— Sprawa jest dość trudna. Po pierwsze — teren wokół hal był zawsze dostępny dla mieszkańców i jego funkcje, wynikające

z codziennego życia miasta, powinny zostać zachowane także i w okresie targów. Po drugie — ze względów technicznych zamknięcie terenu wokół hal, tak, aby do kiosków handlowych miały dostęp jedynie te osoby, które wykupiły bilety, byłoby niezwykle trudne. Po trzecie wreszcie — zarówno w Poznaniu, jak i w innych targach wystawiennictwu towarzyszą zwykłe pewne elementy handlowe. Chcielibyśmy jednak uniknąć w tym roku kolejek, sprawiających rzeczywiście nie najlepsze wrażenie.

Myślę, że jest to sprawa wyważenia odpowiednich proporcji. Zaplecze handlowo-gastronomiczne wokół hal zostanie zachowane, może z większym akcentem na część gastronomiczną. Handel również będzie funkcjonować — a co będzie w kioskach, zdecydować organizacje handlowe. Być może więcej artykułów o charakterze upominkowo-pamiątkarskim, towary, które znajdują się także w sklepach. Kolejek jednak całkowicie wyeliminować się nie da. Wynika to częściowo z postawy niektórych klientów.

— Co możemy zaoferować gościom w godzinach wieczornych, po zamknięciu ekspozycji?

— Atrakcje gastronomiczne, a także program kulturalny. Staramy się zapewnić w tym czasie atrakcyjny program w kinach i teatrach, przedsiębiorstwa turystyczne proponują wycieczki po Łodzi, odbędą się wycieczki łódzkie — kryterium uliczne o pułchar targowy z udziałem kolarzy polskich i zagranicznych. Istotnym elementem jest przeniesienie terminu święta ulicy Piotrkowskiej, które niejako zainaugurują targi. Oczywiście we wszystkich imprezach kulturalnych i rekreacyjnych uczestniczyć będą nie tylko goście, lecz także mieszkańcy miasta. Są to wszystkie przedsięwzięcia wynikające z bieżącego planowania. Zadnych specjalnych imprez za ekstra-pieniądze nie przewidujemy.

— Podobno szczególnie atrakcyjne zapowiadają się w tym roku targowe pokazy mody?

— Pokazy zawsze towarzyszą targom, a w Łodzi będzie ich szczególnie dużo. Praktycznie non stop w specjalnie przystosowanej do tego celu hali. Głównym organizatorem jest „Telimena”.

— Co ułatwi zwiedzającym orientację i umożliwi sprawne poruszanie się po rozległym terenie?

— Dla dziennikarzy — funkcjonować będzie biuro prasowe, gdzie uzyskają wszelkie potrzebne informacje. Zwiedzający wraz z biletem otrzymają ulotkę informacyjną o ekspozycji głównej i dodatkowych. Bilet będzie uprawniał zarówno do zwiedzania hal, jak i kolekcji w zakładach oraz do udziału w pokazach mody, z wyjątkiem pokazów zamkniętych. Zostaną uruchomione specjalne linie autobusowe, kursujące między ekspozycją główną i dodatkowymi.

— A cena biletu?

— Nie jest jeszcze zatwierdzona.

— Goście, jak i zwiedzający chcieliby mieć jakieś pamiątkowe drobiazgi, świadczące o ich uczestnictwie w tak dużym, międzynarodowej imprezie. Czy będzie je można nabyć w kioskach wokół targów?

— Jest już gotowy — bardzo, moim zdaniem, udany — folder o Łodzi z bogatym materiałem fotograficznym i kartograficznym, który chętnie kupią i przyjeźdźni, i mieszkańcy miasta. Będą także inne drobiazgi.

Chcemy, aby przy okazji targów sympatycznie zapisać Łódź w pamięci przybyszów, i aby łódzianie spojrzeli na miasto trochę innym okiem — oświetlenie i zyczenia.

Rozmawiała:
TERESA JERZYKOWSKA

1.

Ubrany był w brązowe sandały, w złachane spodnie o trudnym do określenia odcieniu, w grubą kratowaną koszulę i dżinsową kurtkę, której rękawy pokrywały gęsto amerykańskie napisy. Na szyi miał worek z bezowego welwetu, na ramieniu skórzaną torbę, a na głowie kowbojski kapelusz z takiej samej jak torba, ciemnej, poznaczony zaciekami potu skóry. Siedział na betonowej śmietniczce, kłapał spod niego różne odpadki. U boga trzymał wagę, a pod nogą niski stolik z tabliczką upstrzoną kulawymi literami: WIERZĘ NA ZAMÓWIENIE. Otaczała go chmara wrzeszczących dzieciaków i trochę ludzi dorosłych. Było to w pierwszej dekadzie maja, w Sopocie, pośrodku ulicy Bohaterów Monte Cassino.

Przechodziłem tamtędy z Bernardem Sztajnerem. Pisarz był opalony i godnie przyodziany, a minę, krótko mówiąc, miał wyniosłą.

— Chodź — powiadam do Bernarda.

— Gdzie?

— Wypada przywitać się z kolegą.

— Chcesz to podejść do niego, ja zaczekam — odparł Bernard i od razu się obrócił.

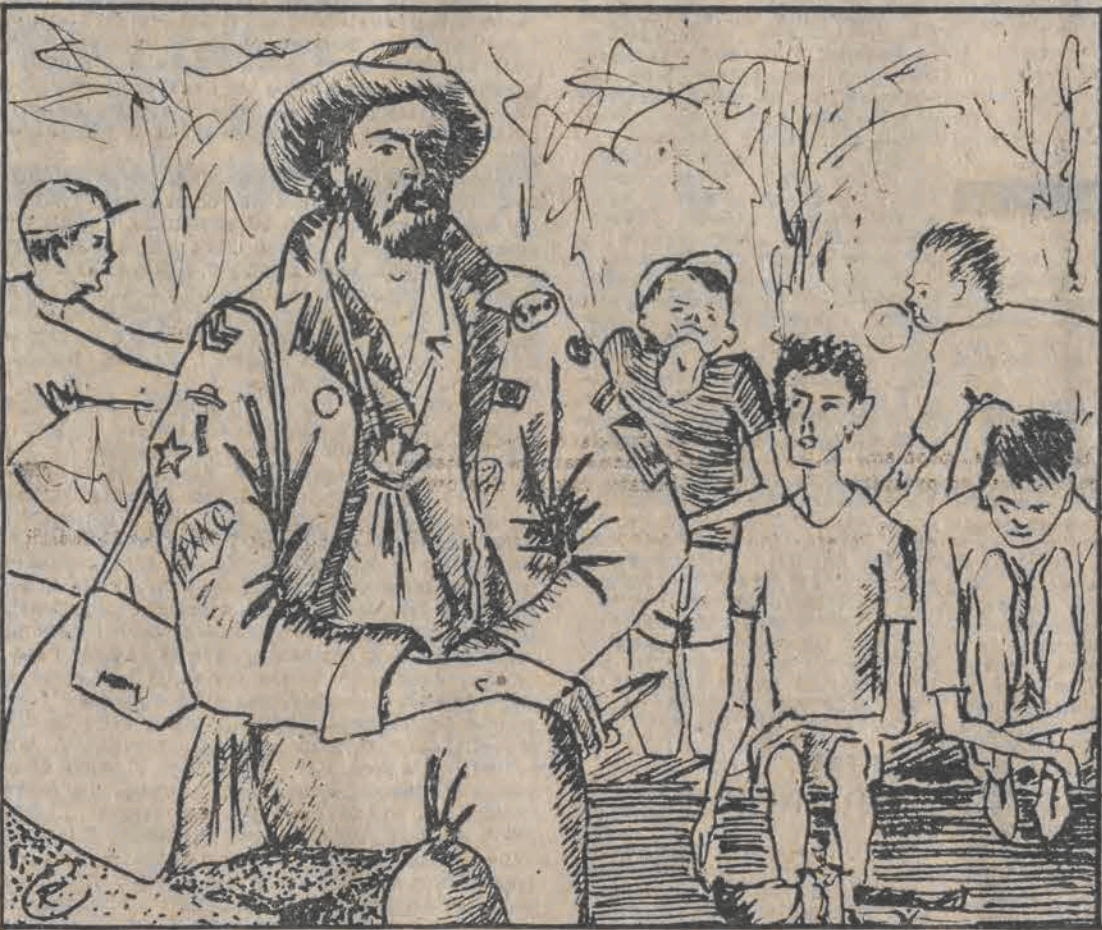
Przyszedł mi więc zaatakować poetę samotnie.

— Ile pan bierze za wiersz?

Pisze na zamówienie. Kocha świat i ludzi. Potrafi poradzić sobie w każdej okoliczności. Spotkać go można w Sopocie.

Peter Konfederat

ANDRZEJ MAKOWIECKI



Rys. Rafał Ciesielski

— spytałem podchodząc i wymuszając uścisk dłoni.

Zmierzyl mnie doświadczoneym okiem, skrzywił się lekko i odepalił.

— Dwa tysiące.

— Drogo.

— Może być tysiąc.

— Na każdy temat?

— Na każdy. Pisacze!

— Nie, Pytam tylko z zawodowej ciekawości.

— Czyli, że kim pan niby jest?

— Autorem.

— Peto tu różnych oszustów przynosi — stwierdził srogie Peter Konfederat — Podają się za pisarzy, za reporterów, byle mnie tylko zrozić w konia, a ja taki głupi nie jestem. Masz pan jaką legitymację?

— Dobra — powiedziałem. — Umówmy się, że wrócę jutro do pana z legitymacją i wtedy pogadamy.

2.

Nazajutrz rano pojechałem z Bernardem Sztajnerem do Gdańska. Na ulicach było niebiesko, ale spokojnie. W drodze powrotnej elektryczna kolejka zatrzymała się przy stacji. Widać było tylko płaski dach jakiegoś budynku i przetrząsany ponad torami most. Na dachu stali chłopcy z flagami, a na moście stali chłopcy w mundurach. Jedni drugimi przyglądali się z oskoma. Starożytna z orderem wpisanym w kłape kusej marynarki patrzył na to przez zakurzone okno wagonu i powtarzał ze zgrozą:

— Nie daj Bóg! Nie daj Bóg, ludzie kochani!

W Sopocie, jeśli było nawet

jakieś zbiegowisko, to tylko wokół Petera Konfederata. Stałem za jego plecami, tak, aby nie mógł mnie zobaczyć, a on komponował na wielkich białych kartonach swoje smigle wiersze i raz po raz odcinał się podkpiwującej gawiedzi:

— Zaczekaj tylko jak przyjdzie redaktor

— Nie przyjdzie.

— A właśnie, że przyjdzie. Będziem pisać reportaż dla gazety.

Dostrzegł mnie nagle.

— Cały dzień na pana czekam.

— Ano jestem. — Wziąłem go na stronę i pokazałem mu ukradkiem legitymację prasową.

— Teraz musimy poszukać jakiegoś spokojnego miejsca.

Peter bez wahania opuścił swoje stanowisko pracy obok betonowego pojemnika na śmieci. Waga, stolik i torbę z przyborami do pisania powierzył dzieciakowi.

— To, co zarobisz na wadze, możecie wziąć na lody.

— Dzieciaki zawrzasnęły radośnie.

Spieszno mi było do rozmowy z Peterem, ale ciągle ktoś mnie od niego odwoływał — a to marynarze, a to punki, a to hipisi, których uważałem już za rasę wymarłą. Nie zabrakło cynków, prostytutek, artystów podejrzanej kondyty oraz niebezpiecznych, budzących niepokój skinesów.

— Pan urodził się w Sopocie?

— Nie. W Czechosłowacji. Chodziłem tam nawet do szkoły.

— Ile ma pan lat?

— Czterdzieści dwa. Niedługo będę obchodził dziesięciolecie pisania wierszy na Monte Cassino.

— A co było przedtem?

— Pracowałem jakiś czas w Wrocławiu, w Wytwórni Filmów Fabularnych. Byłem statystą, ale statystowałem również w kilku filmach. Jaki ja wtedy byłem szczęśliwy! Grałem banderowca w „Wilczych sztachach”, w „Popiołach”, w „Mieczy ustami a brzegiem pucharu”. Nieraz mnie pokazywali w telewizji i Kronice Filmowej. Różni ważni dziennikarze pisali o mnie artykuły w „Czasie”, w „Faktach”, w „Polityce”, w „Przekroju”, w „Sztandarze Młodych” i „Wieczorze Wybrzeża”. Moje zdjęcia zamieszcili na okładce „Newsweek”, „Life” i wiele innych zagranicznych magazynów.

— Krótko mówiąc: sława?

— Sława.

— I co? Wyciąga pan jakos na życie?

— Wszystko zależy od pogody: jak wieje lub sypie, ludzie uciekają do domu, ale w słoneczny dzień można swoje zarobić. Czasem trafi się dolar, czasem marka. Piora i długopisy ludzie znoszą n. garściami. A

Spójrz, kobieta, poranna wstaje nad Bałtykiem słońca zorza Wychodzą wsi mężowie i synowie w morze To właśnie są oni, ludzie ciutrem i sztorsem smagani To właśnie są prawdziwi ludzie morza.

Z drugą zwroka miał Peter Konfederat drobne trudności, nie przytaczam jej zatem.

— Czytuję pan od czasu do czasu jakieś książki? — zapytałem.

— Nie. Książki mnie nudzą. Przeczytałem stronę i od razu zaczynam ziewać. U mnie bez przerwy płonie głowa, kłębią się myśli, nie potrzeba mi żadnych książek. Wszystko błędną prostą z wyobraźni i rzucam na papier.

— Nie próbował pan zebrać swoich wierszy w tomik?

— Nie. Ale muszę panu powiedzieć, że mam zamiar napisać scenariusz filmowy i nowelę. Ania Jantar, kiedy jeszcze żyła i przyjeżdżała do Sopotu, bardzo lubiła słuchać moich wierszy.

— Czy swoje nazwisko wziął pan od Konfederacji Barskiej?

— Wziąłem je od Konfederacji Południowych Stanów USA. Najbardziej podobają mi się Amerykanie. W poprzednim uciecieniu musiałem być chyba kowbojem albo Indianinem. Kocham westerny, colty, piosenki farmerskie, kapelusze ze skóry.

— Kto panu dał ten kapelusz?

— Pewien Australijczyk.

— I napisał pan na nim KU KLUX KLAN?

— Tak.

— Nie jest pan chyba rasistą?

— Oczywiście, że nie. Peter Konfederat kocha wszystkich ludzi.

— A kto panu dał głowę tego aligatora?

— Jakies małżeństwo z Kalifornii.

Podszła nieszczęśliwa młoda dziewczyna, i Peter zaczął układać dla niej

Wśród lasów i drzew Na polance spoczęć to

Tam w trawce idzie mała

Pyta się gwiazd, gdzie szukać czułości,

A one blaskiem wyznają jej swą miłość.

Później oczy żmijki nabiorą księżycu blasku

Oj, do przyrody ciągnie cię, głupstaku

Jak szybko uciekniesz, to z rana doszukasz się jeszcze wiana.

Oprócz różnych innych akcesoriów Peter Konfederat, noszący także przezwisko Wielki Zeb i Sopotski Krokodyl Dundee, chętnie się atrapa posiadanych kajdanków i własnoręcznie zmajstrowaną fajką-petówką.

— Nie zawsze człowiek ma na papierosy — wspomina. — Moja fajka rozwiązuje ten problem. Zobacz pan!

Podniósł z troliuarny zmaltretowany ogarek papierosa, rozprostował go w palcach, włożył do cieniokiego cybuchu i skrzesał ognia z wielkiej ołowianej zapalniczki. Mówił przez dym:

— Traper musi sobie radzić w każdych okolicznościach.

— A co z narkotykami?

— Nie biorę tego świństwa do ust. Patrz pan: na każdym kroku pełno ćpunów, a ja, Peter Konfederat, powtarzam ciągle moim kochanym chłopcom — pomocnikom i moim kochanym dziewczętom, że lepiej ogryźć sobie rękę z kicią, niż sięgnąć po trawkę czy strzykawkę. I oni mi wierzą. Oni mnie słuchają. A ich rodzice mają do mnie całkowite zaufanie. Każdy wie, że Peter Konfederat wydał wojnę seksowi, pornografii i narkotykom.

— Gdzie pan mieszka?

— A zaraz tutaj! Majkowskiego 28 m. 1

— Z rodzicami?

— Tak.

— I co? Pomaga pan rodzicom?

— No przecie. Z głodu nie umierają, a i fryzjary czasem na stole się znajdują. Ładny by ze mnie był syn, gdybym się wyrzekł ojca i matki.

— Jakie jest pańskie credo życiowe?

— Artysta musi kochać świat i ludzi. Musi umieć rozmawiać zarówno ze starszymi i z dziećmi. Jeżeli tego nie umie, to nie jest żadnym artystą.

Wczorajem powtórzyłem to wszystko Bernardowi Sztajnerowi. Bernard pokłuszył głową i orzekł, iż wprowadzić być może Petera Konfederata do którejś ze swoich przyszłych powieści.

Mówi: Wanda Polanska

— Podobno prawdziwe primadonny operetkowe i operowe muszą być kapryśne i wybuchowe. A jaka jest pani?

— O to proponuję zapytać Sławomira Pietrasa, który miał okazję poznać mnie w pracy i nie tylko. Osobiście uważam, że jestem najskromniejszą i najmniej wymagającą śpiewaczką. Na pewno jestem szalenie wrażliwa, bardzo łatwo jest mnie dotknąć, zranić i skrzywdzić. Wtedy chowam się, jak każdy Rak. Jeżeli obdarzę kogoś przyjaźnią, to do końca i bez reszty.

— Co więc było przyczyną pani konfliktu z dyrektorem Operetki Warszawskiej?

— Nie było żadnego konfliktu. Za to był jeden telefon od pewnej pani z Komitetu Warszawskiego do pana Pietruskiego, który natychmiast zmienił zaplanowaną obsadę „Księżniczki czardasza”. I kiedy po tym incydencie większość solistów zrezygnowała z pracy w Operetce Warszawskiej, powstało wiele pytań i domysłów. Pan Pietruski opowiadał, że Polanska nie wystąpiła, bo zażądała ogromnej stawki, podobnie jak jej partner, Mieczysław Wojnicki. W ten sposób urabia się opinia kapryśnej gwiazdy. A w rzeczywistości my, aby wystąpić w „Księżniczce czardasza” w Warszawie, zrezygnowaliśmy z wyjazdu na występy do Ameryki.

— Nie było żadnej szansy na porozumienie?

— Szansy? Po czymś takim? Dyrektor Operetki Warszawskiej zakomunikował, że nie potrzebuje gwiazdy w teatrze. Władze miały i nadal mają inne problemy, aniżeli zastanawiać się — kto jest dyrektorem operetki.

— Cena jaką przyszło pani za to zapłacić była jednak zbyt wysoka, bo przestała być warszawską primadonną?

— Teraz zaczęłam być primadonną polską. Czego dowodem moje występy w Łodzi, Gdańsku, w całym kraju.

— Jakie przywileje ma primadonna?

— Żadnych. Wręcz przeciwnie, bo tytuł ten jest zaprzeczeniem tego, co ludzie sądzą na ten temat.

— Przestając śpiewać w teatrze, nie zaprzestała pani występów na estradzie?

— Będąc na etacie w teatrze byłam osaczona przepisami. Na każdy koncert czy występ w TV musiałam mieć zezwolenie dyrektora. Teraz mogę naprawdę poświęcić się estradzie. Poszerzyłam repertuar, zrobiłam piękne kreacje estradowe i ogromnie polubiłam estradę, której przedtem się bałam. Mam tu bardziej bezpośredni kontakt z publicznością, co okazało się ciekawe i wspaniałe.

— Na pani występy w łódzkiej Teatrze Wielkim, oczekiwano z ogromnym zainteresowaniem i zwykłą ciekawością: „jak teraz Wanda Polanska wygląda i jak śpiewa?”. Pani wyczuwała to zainteresowanie, bała się sceny operowej i publiczności łódzkiej?

— Wiem, że wiele osób przyszło do teatru, aby oglądać mnie jak zwierzątko w cyrku, ale też sporo osób przyjechało na moją premierę ze świadomością, że wiedzą, na co jadą. Ci ludzie wierzyli we mnie.

— Partię Hannę Gławari w „Wesołej wdówce” miała pani już dawno opanowaną i grała ją w teatrze.

— Tak, grałam ją w Warszawie, jeszcze przy ul. Puławskiej. Miałam zaszczyt śpiewać z Janem Kiepura, który był obecny na przedstawieniu i w pewnej chwili nie wytrzymał i powiedział: „Ta mała tak pięknie śpiewa, że muszę wskoczyć na scenę i zaśpiewać z nią”. Bisowaliśmy 5 razy. Z „Wesołą wdówką” występowałam w Moskwie, Leningradzie, Kijowie, Braszowie i Bukareszcie.

— Czy jest to trudna wokalnie partia?

— Trudna, ale o to jak trudna, proszę zapytać śpiewaczki operowej. Szczególnie pieśń „Wilio, o Wilio”, w której należy osiągnąć efekt szczególnej lekkości, co w rzeczywistości jest najtrudniejsze. Niektóre śpiewaczki traktują ją jako wielką arję, co moim zdaniem stanowi błąd. „Wilio” trzeba zaśpiewać jak najciszej.

— Od strony aktorskiej jaka to rola?

— Bardzo kobieca. Jest w niej miłość, przekora, zazdrość i trochę złośliwości. Hanna Gławari jest bardzo do mnie podobna. To jedna z moich ulubionych ról.

— Czy śpiewała pani bardziej atrakcyjne role?

— Każda rola jest atrakcyjna. Szczególnie lubiam: Liżę w „Krainie uśmiechu”, tytułową „Bajaderę”, Dorotę w „Krakowiakach i Góralach” i Dulecny w „Człowieku z La Manchy”.

— Życie osobiste nie było dla pani najciekawsze?

— Tak pan uważa? Zapewne dlatego, że jestem sama? Miałam męża, znanego aktora, który już nie żyje. Mam mamę, która się opiekuję. Przeżyłam szaloną miłość, i nie chciałabym niczego zaczynać od nowa, bo i po co? Mam wspaniałą najbliższą rodzinę. A poza tym moją największą miłością jest śpiew. Jak ta Toska żyje miłością i sztuką.

— Co ma dla pani największą wartość w życiu?

— Uczciwość.

— Wydaje mi się, że taka kobieta jak pani nie powinna żyć sama.

— Sztuka jest zazdrośna, nie lubi się dzielić. Trzeba więc wybierać, czasami decyduje o tym los.

— To piękne i wzniecone, ale krąży o pani pikantne plotki, wśród których dominuje ta o szczególnym powodzeniu wśród panów?

— Nie zaprzeczam, że bardzo lubię panów, ale zauważyłam, że i ja się im podobam.

— Jaki jest ideał pani mężczyzny?

— Wysoki, czarny, z ładnymi rękoma. Musi być przy tym inteligentny, bo również lubię rozmawiać z mężczyznami.

— Co jeszcze lubi pani, gdy nie śpiewa?

— Bardzo dużo czytam. W liczne podróże zawsze zabieram ze sobą książki. Lubię również zajęcia domowe. A odgą spalił mi się telewizor, polubiłam kino. Pasjonują mnie podróże, poznanie nowych krajów, religii. Moją fascynacją jest Egipt.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Zaduszki poezji

pośmiertna rozmowa o poezji
z duszkiem Stanisława Grochowiaka

Mówili — jeszcze żyje
słowo zdzierza z posładka
osnuta ciemnością po zęby
gra na różanych brodawkach

Mówili — jeszcze żyje
na postawie ciepłych chmur
dialog z Bogiem prowadzi
o autentyczności czarnej duszy

Mówili — jeszcze żyje
w entelechii ogórka
nocnych panów przy piórze
grzmotem nawiedza

Mówili — jeszcze żyje
słownik wyrazów obcych
pod czaszką encyklopedia
na pierś mogiła metafor

w klepsydze
POLISH ARS POETICA

Półka z książkami

PIESNI SAFONY

Z prawdziwą satysfakcją zachęcam naszych Czytelników do sięgnięcia po starannie wydany tomik „Pieśni” legendarnej poetki greckiej Saffony. Przekład dokonali, a także całość poświadczył Nikos Chadzinikolaou, a graficznie opracował Józef Petruk. Czytając te wiersze mimo woli nadochodzi refleksja, że wiele w nich piękna, myśli, liryki, serdecznego ognia i miłosnej pasji. A wszystko zostało napisane językiem prostym, komunikatywnym i — mimo upływu wieków — jakże świeżym dla dzisiejszego czytelnika.

Saffona: Pieśni. Wyd. Pozn. 1988. Str. 104. Cena 300 zł.

DELFINA I INNE

O tej książce (to już IV wydanie) można byłoby napisać lapidarnie, że „wyjaśnia XIX-wieczne legendy kulturalne i obyczajowe”. Byłoby to jednak wielkim uproszczeniem, bowiem zebrane tu eseje stanowią ilustrację naszych mitów romantycznych, które tak mocno zaciążyły nad polską kulturą, nad naszą świadomością narodową. Całość została bogato uzupełniona fotografiami sztychów, obrazów, rzeźb oraz budowlami związanych z opisywanym przez autorkę czasem.

Bożena Krzywicka: Delfina i inne. LSW 1988. Str. 300. Cena 480 zł.

BÓG SKORPION

Laureat Nagrody Nobla William Golding prezentuje się polskiemu czytelnikowi wyborem trzech swoich mikropowieści, z których każda rozgrywa się w innych realiach, w innym czasie i prezentuje inne typy spraw i charakterów. „Bóg Skorpion” — to przypowieść o anatomicznej władzy w starożytnym Egipcie. „Klik, klik” — to z kolei opowieść o tym, jak i dlaczego przed dziesiątkami tysięcy lat doszło do patriarchatu, natomiast „Ambasador nadzwyczajny” jest opowieścią o genialnym wynalazcy, z którego zakpił los.

William Golding: Bóg Skorpion. WL 1988. Str. 288. Cena 430 zł.

Przekład Małgorzaty Golewskiej-Safiej i Leszka Safieja.

E.I.W.

„nie prostszego / dać swoje ciało w zastaw / później wymiety / dzierżanie pumeksem skóry / a samcom nigdy dość / żywego mięsa” (s. 16)

Nic prostszego od negacji uczucia nie może stworzyć umysł kobiety tegoż uczucia spragnionej. To prawda, że cielesność niweczy kruchość uniesień duszy, ale przecież seks (nawet wyuzdany) może być podporą miłości, upiekając ją. Dlatego więc młoda poetka Sabina Puła mówi mężczyznom NIE! w swoim zbiorze

Cyrograf na własne życie

poetyckim „Kuszenie”? Czyżby z przekory? Może właśnie przewrotnie kuszenie jest prawdziwym obliczem, negacją zaś dodającą tajemniczego powabu zasłonka? „malowałam siebie / jako dziewczynkę o niebieskich oczach / z wstążką w warkoczu / mężczyźni wzięli do rąk pedzle / (...) / zachlapani właściwy dziecku uśmiech / — nie taką chciałam / siebie namalować” (s. 6) Tak! To nie ja, nie ja jestem niedoskonała — zdaje się krzyknąć dziewczyna z wierszy — to oni — mężczyźni niszczą moją dziecięcą niewinność. Ale „gdy zechcesz / zgłębić moje my-

śli / (...) / opowiem ci zmyśnione historijki” (s. 9) Wiersz jest samoobroną. Ucieczką przed światem i ucieczką w siebie przed sobą. Autorka kreuje swoją bohaterkę na kobietę pełną sprzeczności, targaną w myśl łacińskiego powiedzenia „odi et amo”, miłością i nienawiścią. Bohaterka wierzy śledzącą po uszy w idealizmie podpartym wspomnieniami z kolorowego pokoju dzieciństwa, marzy po kobiecemu o uczuciu, o księciu z bajki. Rzeczywistość przeraża ją jed-

nak. Mężczyzna jest wyuzdanym potworem depczącym kruchość marzeń. Trzeba go się bać, odrzucać, wyszydząć i... oszukiwać. Nie pokazywać swojej twarzy, kłamać. „Jestem siliuszoną zwierciadło” i odbijam tysiąc obrazów. Który jest prawdziwy? Strach i ostrożność wszędzie weszła fałsz — „na początku okazał się szczodry / zaprzęgał dla mnie / jednoosobowej celi / później zechciał zamknąć mnie w ramionach / na koniec / umieścić w łoni / jak kruszynę / — nie wierzę / na pewno nakarmiłby swoją gołębicę” (s. 10) Ale z drugiej strony istnieje siła świadomej

kobiecości — „nie dodawał mnie / do swojego / przekładania / łóżko / praca / dziecko / bo wypieknę wszystkie / szczeliny i zniszczę jak woda” (s. 13) Siła kobiecości rozmiętnięcia i władzy, choć bezwolnej wobec własnej potrzeby bycia podziwianą i kochaną. Sprzecznosc zatrącenia budzi grozę i „ktoś”. Bohaterka wierzy Sabiny Puły do dynamit z podpalonym lontem włożony w rękę dziecka jedzącego lodę na patyku. Ilek obłąd i nienawiść w szczytowej wybuchach słów: „oczyszczam się w dotyku / coraz to innych barków” (s. 24) „spluńmy sobie wzajemnie w twarz / — jedynie to uczynimy szczerze”. Dla zrezygnowanej kobiety z kart „Kuszenia” — „sex to tylko sport” (s. 29) Może dlatego, że „nie jesteśmy wieczni / ani ja / ani ty / możemy grzeszyć” (s. 24) i dlatego też „wstydząc się swojej nagości / przyslonię ją / pierwszym lepszym / kochankiem” (s. 36) Cóż! To pierwsza większa publikacja, jeśli nie liczyć folderku wydanego przez łódzki „Wiadukt”. Za wcześniej jeszcze na ocenę. Mniejszy nadzieję, że ta bardzo kobieca poezja znajdzie sobie przychylnych czytelników.

MIROSLAW PISARKIEWICZ

Sabina Puła, Kuszenie, wyd. „Scena Ludowa”, Kraków 1987.

Pestki dyni

Powoduje mną nie oburzenie, a przerażenie. Gdzieś, w naszych pięknie zapakowanych garach, węgierska ekipa filmowa kręci obraz „Filaszy”. Pomaga im w tym łódzka Wytwórnia Filmów Fabularnych. W trakcie robienia zdjęć pożaru pasterskiego szalasu spłonęło albo nadpalilo się skutecznie około 30 owiec zamkniętych w tymże szalasiu. Te, które napoczęły się fajczyć, musiano dobć używając do tego kijów i palików. Pani reżyser — do węgierskich nazwisk nie mam głowy i jak widac słusznie — nagabywana na okoliczność tego zdarzenia oświadczyła, że interesuje ją jedynie efekty finalny dzieła; coś tam jeszcze belkotala o kształcie artystycznym...

Wisi nad naszymi głowami nazbyt wiele różnych mieczy Damoklesa najrozmaitszego formatu, coż znaczy więc te 30 spalonych i zabitych kłonicami, głupich owiec; i tak ich ostatecznym przeznaczeniem były szaszłyki i szetlandy... Cóż znaczy wyrzucony z samochodu, na autostradzie pies...? Albo inny, przywiązany kołczastym drutem do drzewa, w lesie...? Albo kot z wypluconymi oczami...? Cóż znaczą? Znaczą barbarzyństwo. Tylko tyle.

Zdarzały się w historii przemysłu filmowego wypadki, że ginęli aktorzy lub statyści w trakcie realizacji jakichś scen. Nierzadkie są też wypadki wśród kaskaderów. Ale ludzie wiedzieli, na co się godzą, a poza tym planom im szło za ryzyko związane z zawodem. Natomiast przeznaczeniem owiec jest i było produkowanie szaszłyków i szetlandów, a nie uczestniczenie w charakterze żywych pochodni w dziele artystycznym jakiejś reżyserki, chociażby najlepszej. Gdyby owa reżyserka wzięła koźców barani, zamknęła się w szalasiu razem ze swoimi aktorami, i kazała ow szalaz podpalili, i w efekcie tego działania — na rzecz filmu „Filaszy” — urochę się nadpalila, byłby pełen uznania dla jej wizji artystycznej i oddania sztuce... A tak jest — wobec niej i jej ekipy — pełen oburzenia i pogardy. Poza tym nie innego nie mogę zrobić, jak odwrócić się do pani reżyserki... plecami. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Zwierząt zapewne też. Nie wiem zresztą, czy w tym towarzystwie owce to zwierzęta czy też zwierzęta — to tylko psy, koty i kanarki? Szlachectwo zobowiązuje; praca w kulturze i sztuce też, bo nie wierzę, żeby ta kultura i sztuka na barbarzyństwo, chamstwo, znieczulicy, ahumanizm zdrowo rosła i dobrze się miała...

ANDRZEJ GRUN

Pewien działacz kultury, którego bardzo cenię za śmiałość myślenia, odwagę widzenia rzeczywistości powiedział kiedyś, że kryzys tkwi w nas samych. I rzeczywiście. Gdy przed kilkoma miesiącami dowiedziałem się o zamiarze uruchomienia w mieście nowej siedziby Centrum Informacji Kulturalnej pierwszą myśl, jaka mnie naszała, to pytanie: czy w mieście nie ma nic ważniejszego do zrobienia? Dopiero potem przyszła refleksja: przecież dzisiejszymi skomputeryzowanymi i komputerizującym się światem rządzą informacje. Kto ma szybka i wszechstronna informacje (bez względu na to, czego dotyczy: go-

skich tego rodzaju placówek, jakie funkcjonują w mieście w rodzaju informacji usługowej. Otóż ludzie dawniej do Centrum nie tylko po to, by się dowiedzieć jaki jest aktualny repertuar kin, teatrów, jakie są czynne wystawy, które warto obejrzeć. Oczekują bowiem potrzebnej informacji, nierzadko porady w rodzaju: co CIK poleca do obejrzenia w teatrze dla rodziców z 18-letnią pociechą, czy z małym dzieckiem można pójść na taki czy inny spektakl. A już gdy nastaje czas kanikuły, przebiegające np. wycieczki do naszego miasta oczekują od CIK konkretnych wskazówek, co do tras i godnych obejrze-

W sąsiedztwie sali ekspozycyjnej mieści się część informacyjno-sprzedażna. Tutaj można zasięgnąć informacji bezpośredniej bądź telefonicznej, można nabyć bilety, tu w przyszłości będzie można kupić plakaty, płyty, może i książki, skoro CIK nosi się także z interesującymi zamyśleniami wydawniczymi, których pierwszą jak gdyby jaskółką był wydany, wspólnie z Muzeum Historii Miasta, album „Dzieje Łodzi przemysłowej” W. Pusia.

Na dole, w części piwnicznej, mieści się kawiarnia z kameralnym podium estradowym, na którym odbywać się będą promocyjne występy gwiazd. Pierwsze już się odbyły — znakomite koncerty Agnieszki Fajgiel, Anny Chodakowskiej, Emiliana Kamińskiego. (Zapowiedziany koncert Alfioja Majackiego nie doszedł do skutku — wiadomo, że zamieszkała była w nadzwyczajnym honorarium, które jednak wystarczało takim indywidualnościom jak wani Fajgiel, Chodakowska czy Emilian Kamiński...). Kawiarnia ma spełniać jeszcze inną rolę — integrując środowisko kultury i sztuki. Zbigniew Chablewski, dyrektor Centrum Informacji Kulturalnej, ma bogate i bardzo rozległe plany. Wszystko na to wskazuje, że tego zamierzania powioda się, jak to, czego już CIK dokonał.

MARIAN ZDROJEWSKI

PS. Proponuje dyr. Chablewskiemu, aby zaprosił do kawiarenki na „godzinny zadumy i refleksji” autorów zaprojektowanych „mebli”. Niech posiedzą z godziną na tych „siedziśkach”, jak to się nowoczesnie nazywa, i na własnej skórze odczują następstwa. Ponoć „mebelki” te miały być czymś bardzo nowoczesnym, a za poprzecznymi nowoczesności. Nowoczesność to funkcjonalność. Wygoda także.

M. Z.

Zapach Europy

spodarki, nauki, polityki, życia społeczno-kulturalnego? Ten wygrywa. I o to chwala tym, których pojcie kryzysu nie znieśliło i którzy, żyjąc w kryzysie, mają widzieć jutro, jest to wszak droga do jego przewyższenia.

Działające od kilku lat Centrum Informacji Kulturalnej zajmowało skromne i nie przystosowane do potrzeb pomieszczenia na wysokim piętrze oficyny, przy ul. Piotrkowskiej 90. Swoją obecność — jak przystało na przyjętą formułę tzw. aktywnego modelu informacji — zaakcentowało utworzeniem i komiesiecznym wydawaniem informatora kulturalnego „Kaleidoskop”, który jest ewenementem wydawniczym w kraju. Wyroźnia się nie tylko obszernym i pogłębiałym serwisem informacyjnym, wzbogacającym interesującą prezentacją ludzi kultury i sztuki, wydarzeń, przedstawianiem nieznanych obszarów letniącego w mieście życia kulturalnego, lecz co równie ważne — świetną i nowoczesną szatą graficzną, przejrzystym układem treści. Co prawda ukazują się w kraju podobne wydawnictwa, najczęściej okazjonalne, lecz z przewagą ogłoszeń, które nie finansują i fatalnie wydawane. W Łodzi mamy do czynienia z informatorem, którego i za kilkanaście lat nie będziemy mieli powodu się wstydić, jest on bowiem rodzajem aktualnej fotografii rzeczywistości społeczno-kulturalnej miasta.

Drużna, równie ważna funkcja CIK, jest informacja telefoniczna, różniaca się zasadniczo od wszel-

nia obiektów. Bywają też zagraniczni goście, którzy dopytują się o zabawy, które warto by zwiedzić, przekazyują uwagi na temat tego, czego nie znaleźli w swoich oczekiwaniach. Tak więc aktywny rodzaj informacji oznacza także gromadzenie wiedzy o tym, co się w mieście dzieje, jak sa odbierane propozycje teatralne, repertuarowe. Ta wiedza pozwala z kolei weryfikować plany i propozycje repertuarowe, a co najważniejsze — tworzyć rzetelne oceny. Tymczasem nasz stosunek do tych, którzy próbują nas oświecać jest zwykle pełen rezerwy i podświadomej niechęci. Nie zatem dziwnego, że i stosunek do CIK bywa różny. Trudno się dziwić, skoro np. do Centrum trafiają informacje obokrajowców wyrażających zdumienie, że w okresie letnim w milionowej aglomeracji wszystkie teatry zamykają podwoje na klucz. Dlatego np. pytała, wtedy gdy część zespołu wyjechała na urlop, druga nie proponuje jakiegos leższego (kabarowego, musicalowego) programu...

Od kilku dni Centrum Informacji Kulturalnej znalazło się w nowej siedzibie, przy ul. Zamenhofa 1/3. Są tu pomieszczenia przestronne i nowoczesne. Pierwsza sala to sala ekspozycyjna, w której można poczuć już zapach Europy. Przygotowana jest do organizowania najrozmaitszych ekspozycji, wyposażona w dwa nowoczesne składniki informacji. Pierwszy to rodzaj świętej gazety, na której prezen-

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

200 MŁODYCH ZESPOŁÓW

W Moskwie działa obecnie ok. 200 młodych zawodowych i amatorskich zespołów teatralnych. Wiele z nich zdobyło już uznanie widzów, m.in. teatry-studia „Przy Bramie Nikickiej”, „Na Południowym Zachodzie”, „Scena Kameralna”, „Na Deskach”, „Człowiek” i in. Wystawiane tam spektakle grane są przy pełnej sali. Otrzymują też liczne zaproszenia do występów za granicą, jak np. utworzony przez Olegę Tabakowa młody zespół, który dopiero w obecnym sezonie otrzymał status teatru-studia, z wielkim powodzeniem występował w Bułgarii i RFN, zaś studio reżysera Anatolija Wasiliewa — „Szkoła Sztuki Dramatycznej” — w Wielkiej Brytanii.

Ruch studyjny przyciąga nie tylko młodzież, lecz także wybitnych mistrzów sceny. „Sama nazwa „studio” — mówi reżyser Mark Rozowski, kierownik studia „Przy Bramie Nikickiej” — zakłada poszukiwania, śmiały eksperyment, sporne i nieoczekiwane rozwiązania sceniczne”.

Wszystko to stwarza twórczą atmosferę, która przyczynia się do powstawania interesujących idei, pomysłów i projektów. Nie mówiąc już o tym, że to właśnie te teatry odkrywają widzom nowe nazwiska i wzbogacają repertuar.

DEWIZY NA KULTURĘ

Bez dewiz trudno sobie wyobrazić życie kulturalne kraju. Jakkolwiek narzekamy ciągle na ich brak to jednak w ostatnich latach konto dewizowe ministerstwa kultury i sztuki wzrosło pokaźnie. Wystarczy powiedzieć, że podczas gdy w latach 1983—87 minister kultury i sztuki rozdysonował niewiele ponad 7 mln dol. (m.in. na zakup sprzętu elektroakustycznego, instrumentów muzycznych, maszyn i części zamiennych dla poligrafii, filmów na „Konfrontacje”, sprzętu alarmowo-klimatyzacyjnego, czy wreszcie na instytucje artystyczne i wyjazdów), to na rok bieżący pozyskano dla kultury 32 mln dol. Część tych środków pochodzi z Centralnego

Funduszu Rozwoju Kultury, na którego konto wpływa 50 proc. dochodów ze sprzedaży dóbr, usług i działalności kulturalnej przedsiębiorstw, których organem zarządczym jest Ministerstwo Kultury i Sztuki. 30 proc. wpływów szef resortu przekazuje tym, którzy eksportują usługi i wyroby, zaś 20 proc. pozostaje na koncie CEFK. Niezależnie od tych środków MKiS otrzymuje dewizy w ramach rozdziału Centralnego Planu.

W 1983 łączne wpływy dewizowe wyniosły 939 tys. dol., w roku następnym prawie podwoiły się, a w roku 1985 nie przekroczyły 1,5 mln dol. Największe wpływy zanotowano w roku ub. szczególnie z eksportu usług artystycznych, filmowych, sprzedaży instrumentów muzycznych, książek (3—4-krotny wzrost). Najmniejsze dochody dewizowe przynosił eksport płyt oraz nut.

„KANCLERZ” W GOLUCHOWIE

Osada Goluchowa (wuj. kaliskie) jest nowoczesnym za-



Rys. Stanisław Łucyński

„Fascynuje mnie barok...”

rozmowa z JAROSŁAWEM STĘPOWSKIM — organistą, instrumentologiem i działaczem muzycznym.

— Jest pan muzykiem i animatorem znanym na pewno bardziej w kraju, aniżeli w rodzinnej Łodzi. W latach siedemdziesiątych kierował pan z ramienia organizacji „Jeunesses Musicales” prawie 10 festiwalami muzycznymi w różnych miastach: od Jeleniej Góry po Olsztyn. Z iloma tego typu imprezami związany jest pan obecnie?

— Sprawuję kierownictwo artystyczne festiwalu w Łowiczu, Legnicy, Piotrkowie i Częstochowie. W Piotrkowie „Dni Muzyki Kameralnej” odbyły się w tym roku po raz dwudziesty, mają więc one dokładnie tyle lat, co współorganizujące je Stowarzyszenie Polskiej Młodzieży Muzycznej — polska sekcja „Jeunesses Musicales”.

— Kto jest pan przewodniczącym?

— Owszem. W SPMM działam zresztą również 20 lat, od momentu jego powstania. Powracając jednak do spraw festiwalowych: szczególnie cieszy mnie wypracowana przed laty formuła urzędniczych w maju, z zasady już z udziałem wykonawców zagranicznych. „Łowickich Dni Muzyki Barokowej”. Nawiązują one ściśle do bogatej tradycji muzycznej Łowicza i zawierają m.in. prawykonywania odnalezionych w zbiorach tamtejszej kolegiaty muzycznych zabytków. Ta impreza w ubiegłym miesiącu zorganizowana została po raz 18.

— Jako organista (absolwent klasy organów łódzkiej PWSM) prowadzi pan również działalność koncertową. Geografia występów też jest — zdaje się — urozmaicona.

— Grałem na imprezach organowych w Koszalinie, Fromborku, Elblągu, Łęczysku i na Dolnym Śląsku, także za granicą — we Francji, Finlandii, na Węgrzech i w RFN. Do RFN wybieram się również w przyszłym sezonie z recitalami obejmującymi dawną muzykę polską, Bacha oraz utwory romantyczne. Takie ułożenie programu wynika stąd, że nie przepadam za kompozycjami współczesnymi, zaś fascynuje mnie głównie barok.

— Następnym obszarem pańskich zainteresowań zawodowych stanowi instrumentologia. Wynikają z niej niebawem w ubiegłym roku otrzymał pan z rąk ministra kultury i sztuki Nagrodę Artystyczną I Stopnia za całokształt prac naukowych dotyczących

ochrony i konserwacji zabytkowych instrumentów w Polsce.

— Otrzymałem tę nagrodę jako członek 4-osobowego zespołu, wraz z dr. Jerzym Gołosem, dr. Beniaminem Voglem i dr. Bolesławem Bielawskim, z którego inicjatywy ta problematyka została przez nas w 1988 r. podjęta. W ramach kompleksowych badań prowadzonych przez Centralny Ośrodek Dokumentacji Zabytków dokonujemy ewidencji przede wszystkim organów, lecz także innych zabytkowych i najbardziej wartościowych instrumentów — klawesynów, fortepianów, instrumentów dętych, perkusyjnych a nawet dzwonów. Sporządzamy szczegółową dokumentację naukowo-konserwatorską przygotowując poszczególne obiekty do rewaloryzacji. Akcja prowadzona jest w całej Polsce.

— Jest to praca, jak się orientuje, żmudna, wymagająca często dotarcia do trudno dostępnych źródeł.

— Tak jest w istocie, szczególnie w odniesieniu do zabytkowych organów. Np. same przygotowawcze prace badawcze dotyczące Dolnego Śląska zajęły mi 8 lat. W tej chwili mam już na ukończeniu województwo łęczyńskie, jestem natomiast w trakcie penetrowania województwa jędrzejowskiego i wrocławskiego.

— Wspomnianym pracom towarzyszą zapewne publikacje.

— Poza publikacjami indywidualnymi opracowywamy zespołowo m.in. „Słownik terminologiczny instrumentów muzycznych” i „Słownik budownictwa instrumentów muzycznych”. Osobiście jestem autorem „Materiałów pomocniczych do inwentaryzacji zabytkowych organów i prospektów organowych na Śląsku” oraz szeregu obszernych dokumentacji najcenniejszych organów, np. w Krzeszowie, Bardzie Śląskiej, Legnicy, Świdnicy. Mam też przygotowaną publikację o „Śląskim Silbermannie” — najwybitniejszym na tym terenie budowniczym organów w okresie baroku, Michału Englerze. Pozycja ta będzie niebawem wydana w Warszawie. Ukończyłem ponadto katalog zabytkowych organów województwa łęczyńskiego.

— Jakie inicjatywy naukowe podejmowane są ponadto?

— Z ramienia Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk powołalem w Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku i Warszawie zespoły dokonujące ewidencji ikonografii instrumentów muzycznych — chodzi o instrumentarium utrwalone w malarstwie, grafice i rzeźbie. Warto też wspomnieć o poruszających tematyce instrumentologicznej sesjach muzykologicznych. 3 zorganizowaliśmy dotąd w Legnicy, 1 — z udziałem obcokrajowców — w Brzegu. Wspólnie z wytwórcą płyt „Veriton” zainicjowaliśmy płytowe nagrania na zabytkowych organach — wzór stanowi znana melomanom edycja z NRD. Pierwsza płyta nagrana została w Kościele Mariackim w Legnicy. Wykonawcami są głównie łódzianie: Marta Szoka, Jerzy Goryszewski, Mirosław Pietkiewicz i ja.

— W jakim stopniu działalność pańska oraz zespołu dotyczy Łodzi?

— Z mojej inicjatywy powstał przy mieszczącym się w naszym mieście Ludowym Instytucie Muzycznym ośrodek organologiczny, współpracujący z Ośrodkiem Dokumentacji Zabytków i Instytutem Sztuki PAN. Rozpoczął on m.in. wydawanie zesztych naukowych. Natomiast jeśli idzie o ewidencję i dokumentację naukowo-konserwatorską instrumentów, to pracy jest tu mniej niż gdzie indziej. Łódź, jako miasto młode, nie posiada np. zbyt wielu zabytkowych organów, w całym województwie znaleźliśmy 23 godnych uwagi.

— A jaki jest ogólny krajowy stan posiadania zabytkowych instrumentów muzycznych?

— Mamy ogromną liczbę szczególnie organów, lecz niestety, są one na ogół w fatalnym stanie. Najwięcej cennych organów jest na Dolnym Śląsku — około 800. Ogromna większość wymaga szybkiej rewaloryzacji.

— Prowadząc na zakończenie do spraw Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Muzycznej, którym pan kieruje. O jakich dokonaniach chciałby pan wspomnieć z okazji jubileuszu 20-lecia?

— Do stałej działalności SPMM należą niezmienne obozy szkoleniowo-muzyczne, kursy mistrzowskie, imprezy i festiwale. Na specjalne podkreślenie zasługuje chyba zorganizowanie przed 3 lata „Dni Muzyki Polskiej” w RFN, natomiast 2 lata temu — Zgromadzenia Generalnego „Jeunesses Musicales” w Krakowie oraz Światowej Orkiestry „Jeunesses Musicales”, kierowanej przez Witolda Rowickiego.

Rozmawiał:
JANUSZ JANYST



Foto: Jerzy Goryszewski

Kronika

W JEDNEJ Z ŁOWICKICH GALERII otwarto wystawę poświęconą twórczości Jana Matejki. Zgromadzone na niej 40 prac z tamtejszych zasobów muzealnych (szkice, rysunki, obrazy).

POWSTAŁE NIEDAWNO W WILNIE POLSKIE TOWARZYSTWO SPOŁECZNO-KULTURALNE roztoczy troskliwą opiekę nad zabytkami kultury polskiej znajdującymi się na terenie Litewskiej SRM (m.in. nad muzeum Mickiewicza i cmentarzem na Kosiele).

inicjatorami powołania towarzystwa są dziennikarze „Czerwonego Sztandaru” (ukazującego się w Wilnie w języku polskim) oraz naukowcy z Wydziału Literatury Polskiej w wileńskim Instytucie Pedagogicznym.

KRYSTIAN ZIMMERMAN koncertował w Hiszpanii, gdzie podzielił serca tamtejszych melomanów. Madryccy krytycy uznali go za najwybitniejszego pianistę pokolenia tego artysty.

IZRAELSKIEJ PISARCE, MIRIAM AKAVI, przypadła w udziale doroczna nagroda Polskiego Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (SEK) — za propagowanie polskiej kultury za granicą.

W CIĄGU OSTATNIICH CZTERECH MIESIĘCY otwarto w ZSRB 60 cerkwi oraz zbudowano kilka nowych (m.in. w Murmansk). Władze rozważają również możliwość przekazania Kościołowi prawosławnemu Ławy Peczerskiej w Kijowie (przekształconej w muzeum).

W GALERII 78 OSIEDLOWEGO DOMU KULTURY „KAROLEW” W ŁODZI, czynna jest wystawa kimono kimono Okuchi (Japonia).

STUDENCI UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, już po raz drugi, zorganizowali imprezę pn. „Festiwal życia”.

POWSTAŁA PIERWSZA POLSKO-RADZIECKA SPÓŁKA WYDAWNICZA „ORBITA”, której udziałowcami są RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz „Sovex-Sportkniga”.

CZESŁAW NOWICKI — czyli popularny niedysy „Żyła Warszawa” — a później telewizyjnego ekranu Wicherka (postać znana co najmniej dwóm pokoleniom Polaków), po rozstaniu się z TV (na własną prośbę — wbrew krążącym wówczas różnym plotkom, wyssanym z palca, fantastycznym plotkom), związał się z estradą (prowadził przez kilka lat konferansjerkę).

Od stycznia 1985 r. w stołecznej kawiarence (mieszczącej się w budynku Intraco II) stworzył własny kabaret pn. „Barometr”.

Ostatni zeszty już z kolei zrealizowany u „Wicherka” program — nosi nazwę „Okulje” (co w terminologii meteorologicznej oznacza atmosferyczne zderzenie).

ZE SZCZEGÓLNĄ SATYSFACJĄ odnotowujemy ukazanie się nowej — bardzo potrzebnej — publikacji o polskim Manchesterze: „Dzieje Łodzi przemysłowej”, autorstwa Wiesława Pusia (pracownika naukowego Instytutu Historii UŁ). Książka wydana została w Instytucie Wydawniczym, staraniem Muzeum Historii Miasta Łodzi i Centrum Informacji Kulturalnej (druk — PP „Sztuka Polska”).

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA W ŁODZI otrzymała imię wybitnego uczonego i humanisty — Tadeusza Kotarbińskiego.

Z tej okazji, w zastępstwie placówki, otwarto wystawę obrazującą dorobek książkowy od roku 1925. Druga ekspozycja poświęcona została przedstawieniu sylwetki patrona. Dla uczczenia jego pamięci odsłonięta została pamiątkowa tablica.

W uroczystości uczestniczył sekretarz KŁ PZPR — Grzegorz Misiewicz.

UNIWERSYTET W BOLONII nadał Andrzejowi Wajdzie tytuł doktora honoris causa, za pokaźny wkład w rozwój sztuki filmowej i teatralnej.

NOWYM SZEFEM SDH „CENTRAL” W ŁODZI ZOSTAŁ LECH SZATKOWSKI. Poprzedni prezes tej wzorcowej, znanej w kraju i świecie placówki handlowej — Lech Sosnowski — przeszedł na emeryturę.

Dążeniem nowego szefa będzie utrzymanie tak wysokiego poziomu, do którego doprowadził ją poprzednik. Dodajmy, że Lech Szatkowski od 15 lat był i zastępcą prezesa Centralu, zaś w handlu pracuje 32 lata. Jest absolwentem WSE (ekonomika handlu wewnętrznego). Ponadto działa w SKS „Społem”.

W ZORGANIZOWANYM PRZEZ ŁÓDZKI ODDZIAŁ STOWARZYSZENIA TŁUMACZY POLSKICH zamkniętym konkursie na przekład noweli radzieckiej z lat dwudziestych i trzydziestych, I nagrodę przyznano Annie Blumental, II — Krzysztofowi Sygoc, III — Katarzynie Iskryńskiej.

Wśród wyróżnionych znalazła się też Ewa K. Nowak (tłumaczka współpracująca z naszym tygodnikiem).

W CHEŁMIE ROZSTRZYGNIĘTY ZOSTAŁ KONKURS — zorganizowany w ramach II Biennale Literackiego Humoru i Satyry „Złoty Trzcwiczek”. Jego współorganizatorem było miejscowe Ognisko Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. I nagrodę uzyskał Juliusz Watroba (z Rudzicy), II — ex aequo: Renata Butkiewicz (czeski Cieszyń) i Wiesław Szymański (Białystok), III — Jan Masajda (Opole).

Uroczysty finał, połączony z prezentacją utworów laureatów, odbył się 4 bm. w Zakładowym Klubie Kultury „Raktus” w Chełmie.

Opracował: JAK

Domy kultury proponują

Dzielnicy Dom Kultury Łódź — Polesie prowadzi rozległą i oryginalną działalność. Tutaj w 1983 roku powstała pierwsza w Łodzi sekcja jogi. Od dwunastu lat działa Łódzki Klub Kolekcjonerów, który zaprasza na comiesięczne giełdy. Równie długi staż posiada Klub Poleskiej Rodziny 30-latków — proponując dyskoteki i koncerty muzyki poważnej zyskuje wciąż nowych zwolenników.

Studium Wiedzy o Teatrze i Filmie zaprasza na wykłady: A na turnieje, w których młodzież wykazuje się wiedzą o teatrze nie brakując chętnych.

Ostatnio sekcja komputerowa podjęła próbę edukacji dzieci niepełnosprawnych. Od marca działa też Klub Miłośników Fantastyki. A kilka lat temu dużo emocji wywołał Klub Naturystów. Duże zainteresowanie wzbudza Trening Myślenia Twórczego. Swoje możliwości można sprawdzić na zajęciach prowadzonych m.in. przez psychologów, aktorów, literatów. Dzieci i młodzież szkół ponadpodstawowych również chętnie przyczyniają się do ćwiczenia koncentracji, kojarzenia proponowane w Szkółce Doskonalenia Umysłu.

Popularnością cieszy się Łódzki Klub Miłośników Zjawisk Forteańskich. Powstał jesienią 1982 roku jako Klub Prauto. Zainteresowania ufologią rozszerzyły się na parapsychologię. Obecnie w trzech sekcjach: radiestezji, psychotronice, ufologicznej pracuje około 100 osób.

Wykłady seminaryjne z astrologii prowadzone przez Leszka Weresa, kursy akupunktury i akupresury jak również niekonwencjonalnego leczenia to jeszcze jeden powód, by zainteresować się propozycjami Dzielnicy Domu Kultury Łódź — Polesie. Powstałe tu nowatorskie i różnorodne projekty i przedsięwzięcia przyciągają nie tylko mieszkańców Polesia.

JOLANTA POL

Kórnickie reprinty

Biblioteka Kórnicka PAN dawno temu weszła w II etap renowacji. Firma ta już od lat zajmuje się działalnością wydawniczą. W ten sposób zdobywa środki na konserwację wyposażenia, wnętrza zamkowych muzeów, gdzie jest jej filia. Wydaje reprinty wydawnictw znajdujących się w zbiorach — tak druków zwartych jak i rękopisów, czego przykładem ballada „Pani Twardowska” Mickiewicza. Trzeba bo-

wiem zaznaczyć, że przedmiotem zainteresowania Kórnickich wydawców są popularne pozycje, niezbyt obszerne, ukazujące się w kieszonkowej formie, tanie, wielokanałowe (5-10 tys.), adresowane przede wszystkim do gustów uczestników wycieczek i przyszłych bibliofilów.

Jednym z najambitniejszych zamierzeń jest wydawanie od maja 1987 r. herbów rycerstwa polskiego, nakładem oficyny osolskiej w opracowaniu Biblioteki Kórnickiej PAN. Herbarz oparty jest na XV-wiecznej kopii „Klejnotów Królestwa Polskiego” J. Długosza. To właśnie stąd wywodzi się godła 71 rodów szlacheckich, zdobając reprezentacyjną salę jadalną zamku. Tytuł Działalności kazał je umieścić jako świadectwo polskości tutajjszych ziem.

Każdy kolejny zeszyt jest drukowany na papierze z Państwo-

wej Wytwórni Papierów Wartościowych ze znakiem wodnym Biblioteki Kórnickiej PAN. Zawiera barwny wizerunek, opis wg K. Niesieckiego, legendę herbu, informacje heraldyczne, staropolskie wiersze na herbierodów, fragmenty pamiętników, gawęd, listy i akta sądowe. Kolportażem zajmuje się m.in. Ośrodek Rozpoznawania Wydawnictw Naukowych PAN w Pałacu Kultury w Warszawie.

Natomiast ukazał się już w całości i jest jeszcze do nabycia 8-zeszytowy reprint ustawodawstwa Sejmu Wielkiego z 1791 r. W tym komplecie znajduje się zbiór uchwał pn. „Miasta nasze królewskie”, w którym czytamy: „Miasta odmawiać nie powinny przyjęcia do obywatelstwa i w księgę miejską zapisywania wszystkich uczących cudzoziemców, tudzież czemśiśników, wszelkich ludzi wolnych i z prawa nikomu nie podległych chrześcijan, a to bez żadnej opłaty (...) Gdańsk i Toruń, gdy mieć będą prośby swe do Stanów, przez sekretarza swego do łaski sejmowej one podawać będą albo sami przez delegowanych, jeżeli zechcą, za danym do łaski głosem, który nie ma być odmówiony”.

Wśród reprintów znajdują się także tytuły, jakie powinny znaleźć się na półce u każdej szanującej się gospodyni lub pani

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

podczas urlopu w rodzinnej Odesie w 1956 r., miał wówczas 51 lat. W ostatnich dwóch latach życia napisał sztukę teatralną, którą nazwał „Nadzieja Putnina, jej czasy i towarzysze jej drogi”. W podtytułach zaznaczył, że są to „epizody dramatyczne”.

Próby jej opublikowania i wystawienia w latach 60-tych spłyły na niczym. Dopiero w grudniu ubr. miesięcznik „Teatr” wydrukiował tekst, a w ostatnich dniach marca w Białoruskim Państwowym Teatrze Akademickim im. Janki Kupaly w Mińsku odbyła się jej premiera. Po Mińsku przyszła kolej na Moskwę, gdzie ten sam reżyser — Walerij Rajewski inscenizuje ten utwór w Teatrze na Małej Bronnej.

Akcja sztuki zaczyna się wiosną 1928 r., gdy rozpoczęły się represje, aresztowania i fabrykowane oskarżenia. Nadzieja Putnina odjeżdża w Dworcu Jarosławskiego w Moskwie pod konwojem. Została skazana na 3 lata z dalekiej północy powróci dopiero w połowie lat 50.

Reżyser zastosował ciekawą formułę spektaklu: wysoko nad sceną wiszą lśniące instrumenty

dęte, często błyszczą w świetle reflektorów, a orkiestra gra pełne werwy i optymizmu melodie z tamtych lat. To jest jedna rzecz — czystość, budowa nowego życia, industrializacja, wielkie dokonania i zapal ludzi. Gdy kończy się melodia, reflektory wydobijają z mroku dół sceny, drugą rzeczywistość: represje, obozy i tragedie ludzi...

MILLER O SWOBODACH

Redakcja „Die Welt” zapytała słynnego pisarza, czy pod względem „swobody twórczej” sytuacja ludzi sztuki w USA ulega poprawie w porównaniu z kłopotami repesji, jakie panowały w czasach działalności oświatowego senatora McCarthy’ego w latach 50-tych? Miller odpowiada, że „wolność artysty nie zwiększyła się od tego czasu, zagrożenie istnieje, jest tylko działaj innego rodzaju. Nie jest to zagrożenie polityczne, lecz zagrożenie jakie powoduje totalna komercjalizacja kultury. Może ona powodować ucisk jeszcze większy niż w latach pięćdziesiątych, lecz nie

POWIEŚĆ Z JEDNĄ KROPKĄ

Nowe dzieło wybitnego pisarza hiszpańskiego, Camilo Jose Cela wzbudziło, jak poprzednie książki 71-letniego dziś autora, wielkie zaciekawienie czytelników. „Christo versus Arizona”, czyli „Chrystus przeciw Arizonie” intryguje oryginalnością formy. Na 238 stronach, obok tysięcy przecinków, autor umieścił tylko jedną kropkę! Jest to bowiem wewnętrzny monolog jej bohatera o przeżyciach Metysa Wendella i wielu innych mieszkańców egzotycznej Arizony.

Już w poprzednich książkach Cela stosował metodę długich monologów (np. w powieści „Pani Caldwell” rozmawia ze swym synem” czy w „Świętym Kamilu”), tym razem przeszedł sam siebie. Ta książka z jedną tylko kropką, kłopotliwa, stanowi jednak interesującą „czytadłę”.

Fraszki

RYSZARD BRUDZYŃSKI

CHEMIA

Coraz skuteczniej chemia wkracza w nasze czasy. Jednych bowiem zasady, innych gubią kwasy.

DROGA

Idzie bez twarzy przez życie. Trzyma ją bowiem w korycie.

ZYCIOREY

Dość niewybredne są jego dzieje. Był materiałem, teraz smacieje.

OSOBNIK

Osobnik typowy: Lokcie, zamiast głowy.

KOMPETENTNI

Do pracy ospali, a do wódki chętni. Są często najbardziej u nas kompetentni.

W. K.

— I co nowego? — odpowiedział pytaniem Wsiewołod Siergiejewicz.
— Nic szczególnego... Listy od matki, od przyjaciół. Cieszę się z nich.
— Oczywiście, oczywiście — jakby go nie słysząc, odpowiedział Wsiewołod Siergiejewicz.
— Co panu jest? — spytał Sasza. — Coś pana martwi?
— Zie sprawy stoją, Sasza, że — Wsiewołod Siergiejewicz wciąż chodził po pokoju ciągle rozcierając i rozcierając ręce.
Pierwsza myśl, jaka przeleciała mu przez głowę — Solowiejczik. Czyżby go złapali?
— Tak? A co się stało?
Wsiewołod Siergiejewicz zatrzymał się przed Saszą.
— Pierwszego grudnia w Leningradzie został zabity Kirow.
— Kirow? — nieprzytomnie powtórzył Sasza. — Kto go zabił?
— Nie znam szczegółów. Przekazano komunikat rządowy: pierwszego grudnia o godzinie szesnastej minut trzydziestej, w mieście Leningradzie w Smolnym z ręki mordercy, nastanego przez wrogów klasy robotniczej, zginął Kirow. Mężczyzna, który strzelał, został zatrzymany. Ustalane są jego dane personalne.
— Ma pan gazetę?
— Gazety nie mam, ale to pewne. Jest i drugi komunikat — zabójca jest niejaki Nikołajew. I trzeci — sprawy o terroryzm będą rozpatrywane w ciągu dziesięciu dni bez udziału stron, to znaczy bez obrony, żadnych apelacji, żadnego prawa łaski, rozstrzeliwać niezwłocznie po wydaniu wyroku. Tak to, Sasza! „Morderca, nasłany przez wrogów klasy robotniczej”, dobre sobie...
— Co pan znajduje szczególnego w tych słowach? Przecież nie w nich tkwi sedno sprawy.
— Tak pan myśli? — odpowiedział Wsiewołod Siergiejewicz. — „Morderca, nasłany przez wrogów klasy robotniczej” — i obok „ustalane są dane personalne mężczyzny, który strzelał”. Jak to tak, gdzie logika? Dane personalne są jeszcze nieznanne, ale już wiadomo, kto go nasłala!... To niezrozumiałe, niezrozumiałe... Zresztą, bardzo niezrozumiałe...
Kirow, jak mówią, był dobrym człowiekiem, dobrym mówcą, ulubieńcem partii. Kto ośmielił się podnieść na niego rękę?
Wsiewołod Siergiejewicz usiadł na ławce, oparł głowę o ścianę.
— Ktokolwiek by to zrobił, Sasza, mogę panu powiedzieć z całym przekonaniem; nadchodzi ponure czasy.
1986—1983
Moskwa

POSŁOWIE

20 czerwca 1944 roku gwardyjski korpus strzelców, dowodzony przez generała Maksima Kostina, znalazł się w rejonie stacji Rafałowska za zachód od miasta Samy i rozlokował się w lasach na wschód od Kowia.
Przegrupowanie było przeprowadzone tajnie. Wojsko wysiadło na nie zwracających uwagi rozjazdach i stacyjkach i starannie się maskując, ukryło się w lasach. General Kostin rozkazał przemieszczać się tylko nocą, zakazając pieli i prania bielizny w rzekach i jeziorach, zakazał łączności radiowej, nakazał ograniczenie do minimum rozmów telefonicznych oraz szifrowanie ich i kodowanie.
Maksim Kostin dowodził pułkiem pod Moskwą, dywizją w Stalingradzie. Nad Dońcem objął korpus, brał udział w Iziurno-Barwienkowskiej i innych operacjach ofensywnych, w wyzwoleniu Donbasu, sforsowaniu Dniepru, walkach nad Ingulem i Bohem, wyzwoleniu Odessy. Obok padali ludzie, wielu ludzi, Maksim Iwanowicz podpisywał komunikat o stratach: zabici, ranni, zaginieni bez wieści. Ludzie, ich życie i śmierć, byli składnikami wojny. Rozkazy, które wydawał, też były składnikami wojny i ściśle je wykonywano. Za dobroduszością generała kryła się umiejętność podporządkowywania ludzi postawionemu zadaniu, za jego prostotą — elastyczny umysł woj-

skowego taktika, zdolnego do podejmowania śmiałych, zaskakujących decyzji, za pozorną ustepliwością — subtelne wyczuwanie stosunków służbowych, umiejętność manewru, gdy wymagała tego sytuacja. Znał go i cenili Żukow, powołał do pewne osobiste komplikacje w dowodzeniu armią, ale prostota i dobroduszość tego wysokiego, nieco ociężałego jak na swoje trzydziści pięć lat młodego generała, jego szczerą chłopską twarz zbijały z tropu nawet groźnego dowódcę armii Czujkowa.
Korpus przybył 20 czerwca, a za trzy dni, 23 czerwca, zaczęła się operacja „Bagration”, mająca za zadanie wyzwolenie Białorusi i dojsie do starych granic państwa. W operacji brało udział 166 dywizji. Jednak armia, w skład której wchodził korpus generała Kostina, nie brała udziału w walkach. Nieco później miała przerwać obronę niemiecką na kierunku kowelsko-lubelskim i dojsie do Bugu. Na przygotowanie tej ofensywy przeznaczono orientacyjnie miesiąc — termin bardzo krótki, jeśli wziąć pod uwagę przetrzymanie oddziałów w poprzednich ciężkich walkach, braku w stanie osobowym i trudne ukształtowanie terenu. Poprzednie operacje korpusu prowadził na-

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu

południe, w stepach Ukrainy i Moldawii, zaś tu mieli atakować w błotnistych lasach, po przecinanych rzeczkami i strumieniami o grząskich brzegach. Żołnierze uczyli się usuwać na drogach i ścieżkach zasieki, walczyć doły, miny, pokonywać drobne przeszkody wodne, budować groble, pokonywać błota i torfowiska... Korpus otrzymał znaczące uzupełnienia z miejscowej, wyzwolonej od Niemców ludności, uzupełnienia nie ostrzelane, należało je nauczyć choćby najprostszego wladania bronią.
Do punktów dowodzenia dywizji Maksim Kostin dostawał się „willsem”, dalej wierzchem. Teren, zajmowany przez dywizję korpusu, stanowiły wielkie błota, częściowo porośnięte lasem mieszanym: sosna, brzoza, olcha, dębem. Wśród błota rozlane były piaszczyste wysepki, ale i tak w ziemiankach stała woda, dlatego żołnierze woleli namioty, wyszcielone sosnowymi gałązkami. I słusznie, uważał Maksim Iwanowicz, na dworze, czerwcu, ciepło, żołnierze powinni się wysypiać, powinni być dobrze nakarmieni, tego surowo przestrzegał.
3 lipca nasze wojska wzięły Mińsk. Przerwały front na odcinku 400 kilometrów i nadal szybko posuwały się naprzód. Ta wiadomość zastała Maksima Iwanowicza na punkcie dowodzenia pułku, pomyślał, że terminy ofensywy korpusu mogą się teraz zmienić i dlatego wrócił do siebie wcześniej niż zwykle. Jednak żadne nowe rozkazy ze sztabu armii nie nadeszły. I ten wieczór Maksim Iwanowicz spędził, jak zwykle: zebrał sztabowców, mówił o tym, co niezadowolającego było w wojsku, przydzielał zadania, wysłuchiwał raportów.
Zwolnwszy wszystkich już po dwunastej w nocy, Maksim Iwanowicz rozluźnił kolumnę munduru: napalone, nadymione, trzeba przewietrzyć. Sam nie palił, ale zabronić tego nie mógł nawet w swoim ochronie. W pobliżu równomiernie terkotał agregat, wyłącza go, jak tylko Maksim Iwanowicz położył się spać.
— Towarzysze generale — zameldował a-

diutant — czeka do was nowy dowódca oddziałów transportowych.
— Czego chce?
— Zameldować przybycie, objęcie czynności.
— Niech się zamelduje naczelnikowi sztabu.
— Tak mu powiedziałem, ale nalega.
— Dobrze, niech wejdzie.
Maksim Iwanowicz pochylał się nad mapą. Myśl o tym, że terminy natarcia mogą być przesunięte, nie porzucała go. Trzeba być na to przygotowanym, rozkaz może nadejść w każdej chwili...
Skrzypnęły drzwi, Maksim Iwanowicz odwrócił się od mapy, obejrzał się...
W drzwiach stał oficer w starym, ale dobrze na nim leżącym szyneli, z połowymi naramiennikami, w czapce wojskowej, w kirzowych butach. Jego twarzy nie było widać, nierówno paląca się żarówka oświetlała tylko stół z rozłożoną na nim mapą...
A jednak coś kiedyś znanego zamajaczyło Maksimowi w tej postaci, w milczeniu i napięciu oczekującej go przy drzwiach, jakiś niepokój przeszył jego duszę...
Oficer podniósł rękę do daszka, wymówił wyraźnie:

(51)

— Towarzysze generale! Major gwardii Pankratow melduje się do waszej dyspozycji w celu odbywania służby.
Opuszczył rękę, stał dalej w pozycji „baczność”.
Nie może to być... Czyżby?
— Wasze skierowanie! — odmawiającym nagle posłuszeństwa głosem odezwał się Kostin.
Oficer wyjął z mapnika skierowanie, zrobił krok naprzód, podał Maksimowi Iwanowiczowi.
Ale ten odwrócił się do stołu, podciągnął przewód na kółku, lampka uniosła się, oświetlając cały schron i gdy Maksim Iwanowicz odwrócił się do oficera, już widział jasno: Sasza!
Maksim Iwanowicz wziął skierowanie... Tak, wszystko się zgadza, Pankratow Aleksander Pawłowicz...
Podniósł wzrok... Patrzyło na niego jego dzieciństwo, jego młodość, jego Arbat... I Maksim Iwanowicz nie wytrzymał, wbrew woli spytał:
— Sasza, ty?
Głos mu drgnął...
— Ja — odpowiedział oficer.
Sasza... Żył... Skąd się tu wziął? W jaki sposób?
Maksim Iwanowicz przeszedł nie tylko wojnę, przeszedł także i lata przedwojenne — 137, i 38, i 39. Na jego oczach aresztowali i ogłaszali za wrogów ludu dobrych dowódców, wiernych towarzyszy, doświadczonych w walkach w Hiszpanii, nad Chasanem, nad Chalchyn-gol. Czy rzeczywiście byli wrogami? Nie chciał w to wierzyć i nie mógł nie wierzyć, inaczej niemożliwa byłaby służba sprawie, której oddał życie. Najlepiej nie myśleć o tym. Ci ludzie przepadli, odeszli, przeszli do innego, nie znanego mu świata, z którego nie ma powrotu.
I oto z tamtego świata zjawiał się Sasza. Po dziesięciu latach! Jak je przeżył? Jak ocalał?

Dlaczego skierowano go właśnie do niego, do jego korpusu? Co za tym stoi? Niepotrzebnie zdradził się, że go poznał, niepotrzebnie nazwał Saszą...
Oficer ponownie uniósł rękę do daszka.
— Można zameldować, towarzyszu generale! Wyraźnie wymawiał słowa... To jego, Saszy, głos... A jednak, jednak...
— Spocznicie! Słucham was.
Sasza opuszczył rękę.
— Towarzyszu generale! Zeby była pełna jasność. Zostałem skazany z artykułu 58, jest to odnotowane w moich aktach personalnych. Nie prosilem o przydział do waszego korpusu. Nie chciałem do was jechać. Ale rozkaz jest rozkazem. Nie było go jak podważyć. Jedyną rzecz, na którą mogłem się powołać, to nasza dawna znajomość. Ale takiego argumentu do wództwo by nie przyjęło. A ci, którym zlecono obserwację mnie, wzięliby to pod uwagę. To mogło utrudnić naszą sytuację. Dlatego proszę o odesłanie mnie do sztabu frontu: jestem majorem, stopień pułkownika jest przekonywującym argumentem. Taka decyzja byłaby najlepsza i dla was, i dla mnie.
Maksim Iwanowicz milczał. Mój Boże! Przecież to dawny Sasza, którego tak lubił. Sasza, uczciwy, bezpośredni, pryncypialny, nikogo nie chce narażać, wszystko bierze nasiebie. Ile w swoim życiu, na pewno, przeżył, a ciągle jest taki sam, ciągle taki sam. Na Maksima Iwanowicza znów patrzyła jego młodość, szczerza, śmiała, bezkompromisowa. I w tych zbudzonych wspomnieniach zobaczył także siebie jako dawnego Maksa, zawstydział się swej chwilowej słabości: zapomniał siebie prawdziwego, uległ, poddał się temu, co pojawiło się w nim w tych niespokojnych czasach.
— Pozwolicie się odmeldować, towarzyszu generale?
— Dosyć Sasza — powiedział Maksim Iwanowicz — rozbieraj się, wypijemy się spotkaniem.
— Maksim — poważnie powiedział Sasza — właśnie dlatego nie chciałem jechać do siebie, za dobre się znam.
— Co go ścigało w gardzie, Maksim Iwanowicz złapał oddech, położył rękę na ramieniu Saszy.
— Dziękuję ci Sasza... Dziękuję ci, że tak o mnie myślałeś. Dosyć, śniadaj!
Prędko odszedł od Saszy, otworzył drzwi, rozkazał adiutantowi:
— Zorganizuj nam kropelki z sakąską i herbata.
— Maksim — znów zaczął Sasza.
— Dosyć! — przerwał mu Maksim Iwanowicz. — Jestem tu starszy i funkcję, i stopniem.
Tak wyobrażam sobie spotkanie moich dwóch bohaterów. Jednak czy w przyszłości ta scena pozostanie w takim kształcie, tego nie wiem. Postacie powieściowe posiadają zdolność życia własnym życiem, autorowi pozostaje jedynie zapisywanie go. Nie wiem także, czy zdążę dopisać następną powieść. Ale, jeśli los daruje mi jeszcze kilka lat, chciałbym doprowadzić akcję do 1956 roku, do Dwudziestego Zjazdu, kiedy zostały przywrócone życiu tysiące zupełnie niewinnych ludzi i przywrócone dobre imię tym, komu już nie można było zwrócić tycia.

KONIEC

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Tym odcinkiem kończymy druk książki Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu”.



"Miedzunarodna Zima" w majowym numerze z 1988 roku opublikowała dyskusję radzieckich historyków na temat stosunków radziecko-polskich w przeszłości. W dyskusji udział wzięli: FRIEDRICH FIRSOW — pracownik Instytutu Marksizmu-Leninizmu, INESSA JAŻBOROWSKA — pracownik Instytutu Miedzunarodowego Ruchu Robotniczego, ALEKSIEJ NAROCZNIKI — pracownik Instytutu Historii ZSRR, członek AN ZSRR.

OLEG RZESZEWSKI — pracownik Instytutu Historii Powszechnej AN ZSRR, dyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR, członek AN ZSRR, WALERIJ ŻURAWLOW — wicedyrektor Instytutu Marksizmu-Leninizmu przy KC KPZR.

— Na tle dającego się zaobserwować w naszym kraju niebywałego wzrostu zainteresowania sprawami historii wyjątkowe miejsce zajmuje, oczywiście, sprawa „białych plam”, które, jak można sądzić, występują nie tylko w naszej własnej historii, ale także w dziedzinie stosunków miedzynarodowych, a w szczególności w sferze stosunków radziecko-polskich. Redakcja otrzymuje ostatnio listy od czytelników, którzy proszą nie tylko o to, by naświetlić niektóre konkretne wydarzenia i fakty zaliczane do kategorii tzw. białych plam, ale również o to, by wyjaśnić samo pojęcie „białych plam” i z naukowego punktu widzenia rzucić światło na źródła oraz na przyczyny, które spowodowały pojawienie się tego niezbyt przyjemnego zjawiska.

Georgij Smirnow: — Początek wspólnych starań do ustalenie kregu zagadnień, których zbadanie — w przekonaniu obu stron — przyczyni się do wypełnienia mało zbadanych kart (historii), tzw. białych plam, oraz do usunięcia napięcia, jakie istnieje w naszych stosunkach w związku z tymi zagmatwanymi, nie zawsze znanymi, a niekiedy dramatycznymi wydarzeniami naszej historii.

Do takich należą wzajemne stosunki między naszymi krajami w okresie 1917—1921 i wojna radziecko-polska 1920 roku. Następnie, sprawy związane z rozwiązaniem Komunistycznej Partii Polski przez Komitet Wykonawczy Kominternu. Po trzecim — rok 1939 ze wszystkimi skomplikowanymi stosunkami w przededniu II wojny światowej, z paktem Ribbentrop-Mołotow — jak zwykło się go określać — włącznie. Dalej, napad Niemiec na Polskę, wyprawa naszych wojsk celem obrony mieszkańców zachodnich rejonów Ukrainy i Białorusi, przesiedlenie ludności polskiej z tych terytoriów w głąb ZSRR. A także wszystko to, co wiąże się z przebiegiem wspólnej walki przeciwko niemieckim najazdom faszystowskim — napad na ZSRR, odpór, misja Wyzwolenia Związku Radzieckiego itd., problem Powstania Warszawskiego. Cały ten wielki krag zagadnień znajduje się w centrum naszej uwagi.

Czym są „białe plamy”?

Walerij Żurawlow: — Chociaż określenie „białe plamy” w sensie dosłownym jest bardziej metaforą niż terminem naukowym, to jednak nabrało ono ostatnio zupełnie wyrażnej treści. Przez „białe plamy” rozumiemy te zjawiska i wydarzenia z przeszłości, których po pierwsze, z tych lub innych powodów w ogóle nie badano, lub badano je niewystarczająco precyzyjnie i rzetelnie. A po wtóre, te które nasświetlano nieprawdziwie, w sposób deformowany, fałszywie. Innymi słowy, „białe plamy”, to przede wszystkim złożone, trudne problemy przeszłości historycznej. Jeszcze jedna rzecz stała się jasna: trudności te mogą mieć różny charakter. Mogą to być trudności natury czysto badawczej, w tym brak źródeł lub ich niedostateczna wiarygodność. Mogą to też być trudności wynikające niekiedy z określonych tradycji, uprzedzeń, stereotypów myślowych, przestarzałych dogmatów, takich czy innych typologii, barier itp. Wydaje się, iż doszliśmy do wspólnego poglądu i działamy jednomyślnie w sensie, że jesteśmy przekonani, iż tym co prowadzi do wypełnienia tych luk, „białych plam”, jest droga gruntownych, uczciwych i odważnych badań, które w poszukiwaniu prawdy będą zdolne pokonywać wszystkie napotymane na tej drodze bariery, zarówno natury subiektywnej, jak i obiektywnej.

Wojna 1920 roku

— W dziejach stosunków radziecko-polskich ważne miejsce zajmuje wojna 1920 roku. Na ten temat istnieje sporo refleksji, o charakterze spekulatywnym, a ich sens sprowadza się do tego, by przedstawić nasz kraj jako państwo, które dążyło do tego, by drogą przemocy, a mianowicie drogą wojny, rozszerzyć „reżim komunistyczny” na inne kraje. Nacisk kładzie się przy tym nie na jakieś poszczególne fakty historyczne (które ocenia się, delikatnie mówiąc, ogromnie tendencyjnie), lecz na udowodnienie z góry założonego postulatu, iż państwo radzieckie już od chwili swych narodzin dążyło do ekspansji terytorialnej, do tego, by nowy ustrój społeczny przenieść na bagnetach do innych krajów. Jak pod tym kątem widzenia przedstawia się historia wojny 1920 roku?

Aleksiej Naroczni: — Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba chyba spojrzeć nieco głębiej. Dlatego chciałbym zatrzymać się na stosunkach radziecko-polskich począwszy od 1917 r. W jakich zagadnieniach nasze wersje różnią się? Przede wszystkim chodzi o właściwe pojmowanie roli Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej w przywróceniu niepodległości Polsce. W określonych kregach naukowych w Polsce podkreśla się głównie pomoc USA, Francji i Anglii w odbudowie państwa polskiego po I wojnie światowej. A przecież to właśnie rząd radziecki, władza radziecka od razu uznała prawo Polski do samodzielnego, niepodległego bytu. Nawiasem mówiąc, ta okoliczność była w Polsce brana pod uwagę, Józef Piłsudski doskonale rozumiał, że bolszewicy uznają niezawisłość Polski, białogwardziści zaś zdecydowanie przeciwko niej występują.

Druga sprawa to niesłuszne poglądy na wojnę radziecko-polską, jakie ukształtowały się jeszcze za rządów Józefa Piłsudskiego. Jeszcze teraz potępuje pogląd jakoby władza radziecka dążyła do tego, by poprzez Polskę rozszerzyć rewolucję socjalistyczną na Niemcy i całą Europę. Opinie te podpierają cytatai z rozkazów i wystąpienia młodego wówczas dowódcy, Michaiła Tuchaczewskiego. Taki np. cytat:

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy tylko wydarli z rąk polskiej burżuazji jej burżuazyjną, szlachecką armię, to rewolucja klas robotniczych w Polsce stałaby się faktem dokonanym. A ta pozoła nie ograniczyłaby się do ram Polski. Rozpłósłaby się gwałtownie na całą Zachodnią Europę”.

Nie ulega kwestii, że gdyby w Europie Zachodniej zdarzyły się rewolucje socjalistyczne, to realizacja postanowień ogłoszonego przez władze radzieckie „Dekretu o pokoju”, byłaby oczywistą rzeczywistością. Jednakże Włodzimierz Lenin nigdy nie stwarzał złudzenia, że nastąpi to obowiązkowo. Wychodził z założenia, że początkowo możliwe jest zwycięstwo rewolucji w jednym kraju. Wiadomo, że nie Włodzimierz Lenin, lecz „lewicowi komuniści” i trockiści uważali, iż światowa rewolucja rozwinięta jest natychmiast, oraz, że w imię pobudzania tej rewolucji można poświęcić nawet władze radzieckie. Takie poglądy istniały, ale nie była to leninowska polityka. Początkowo na czele Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych stał Lew Trocki, ale już 30 maja 1918 r. zastąpił go na tym stanowisku Georgij Czerterin, któremu, podobnie jak Leninowi, obce były takie awanturnicze nastroje. Dlatego też nie wolno takich czy innych tez zawartych w wystąpieniach Michaiła Tuchaczewskiego, który w swoim czasie przystał do „lewych”, uważać za oficjalne stanowisko rządu radzieckiego.

Ocena przedwrześniowej Polski.

Z kolei, w naszej literaturze Polskę po Wersalu nierzadko nazwano państwem-wasalem. Twierdzenia te bezprzecznie są niesłuszne. Chociaż nie należy zapominać, iż Polska pozostawała pod silnym wpływem państw zachodnich, które pragnęły przesunąć jej granice jak najdalej na wschód, aby dzięki temu przegranoła z roszczen do rdzennie polskich ziem zachodnich, i aby jednocześnie stanowiąca zapórę przed bolszewizmem. Takie plany miał również Józef Piłsudski. W żadnym jednak wypadku nie wolno uważać tego państwa za jakas marionetkę państw zachodnich. Ale takie nastroje u nas występowały, pojawiały się nawet obelżywe dla Polski wypowiedzi oficjalnych osobistości.

— W radzieckich kołach naukowych całkowicie słusznie poddawano krytyce pogląd sformułowany przez ludowego komisarza spraw zagranicznych Władysława Mołotowa, w przemówieniu na sesji Rady Najwyższej ZSRR 31.X.1939 r., w którym zawarł on z gruntu błędną interpretację sprawy losów państwa polskie-

go. Stawiając na jednej płaszczyźnie antyradziecką politykę kół reakcji w Polsce i losy państwa polskiego, w istocie rzeczy postawił on znak równości między nimi: w jaskrawej sprzeczności z podstawowymi tezami leninowskiej nauki o kwestii narodowej, i wbrew prawdzie historycznej twierdził:

„Polskie koła rządzące często chęłpiły się „trwałością” swego państwa i „siłą” swego wojska”. Wystarczył jednak krótki cios w Polskę ze strony armii niemieckiej, a następnie Czerwonej Armii, aby nie zostało z tego pokracznego tworu Traktatu Wersalskiego...”

Dzisiaj, kiedy trwają poważne prace krytyczne we wszystkich dziedzinach, w tym także wydzielenie rewizji ocen pewnych wydarzeń historycznych, są wszelkie podstawy, aby bezstronnie ocenić również tego rodzaju wypowiedzi ówczesnego naszego kraju, ponieważ były one podyktowane względami czysto koniunkturalnymi i pozostawały w głębokiej sprzeczności z zasadami leninowskiej polityki zagranicznej, z faktami historycznymi, ze zdrowym rozsądkiem. Wreszcie, miały one z gruntu niesprawiedliwy wobec Polski jako państwa charakter.

Aleksiej Naroczni: — Po dzień dzisiejszy słowa te są w Polsce odczuwane nadzwyczaj bolesnie, a my ich nie podziwiamy i uważamy, że są one skutkiem nacięcia wojny 1920 roku, a także wynikiem słabej znajomości istoty sprawy. Być może, swą rolę odegrała w tym również odmowa ze strony rządu polskiego udzielenia zgody na przejście przez terytorium kraju wojsk radzieckich, w celu odparcia agresji. Nawiasem mówiąc, na posiedzeniach komisji polscy historycy podkreślali celowość podjęcia takiego kroku dla organizacji zborowego przeciwstawienia się faszystom. W żadnej jednak mierze nie usprawiedliwia to Władysława Mołotowa.

Ale wróćmy do pierwszych lat powojennych, do wojny. W interpretacji Józefa Piłsudskiego wyglądało to tak, że Polska rzekomo stacza z bolszewikami historyczne boje o swe granice z 1722 roku. Wszak władza radziecka, anulawszy układy o rozbiorach Polski, tym samym granice te rzekomo uznała. Nie podobne. Wiadomo, że polska emigracja, począwszy od XVIII wieku krzewiła wśród polskiej opinii publicznej oraz wśród opinii publicznej Europy wyobrażenie, że Polacy w zwartej masie zasiadają obszar po Kijów i Dniepr. Wyobrażenie takie panowało w Zachodniej Europie przez cały wiek XIX. Również dość bynajmniej nie we wszystkich polskich podreżnikach mówi się o tym, że na tych ziemiach przeważała ludność ukraińska i białoruska. To znaczy, że istnieją w tych sprawach zakorzenione stereotypy, które trzeba przezwyciężyć.

„Miedzunarodna Zima”: radzieccy historycy o stosunkach radziecko-polskich. (Część I.)

Co to są białe plamy?

Inessa Jaźborowska: — Jeszcze kilka słów o wojnie 1920 roku. Szereg polskich historyków uważa, że była ona nieunikniona. Rozumując następująco, odbudowane państwo polskie rozstrzygało sprawę swych terytoriów, w tym granic wschodnich, zaś Rosja Radziecka rzekomo niebiała na bagnatach na Zachód światową rewolucję, co jakoby z góry przesądzało o kolizji ich interesów. Politykę państwa radzieckiego przedstawiano przy tym, jako kurs „lewacki”. Wielu znanych uczonych przeciwstawia takiemu podejściu do sprawy jasne i precyzyjne pytania: jak w owym czasie Włodzimierz Lenin i Georgij Czerterin formułowali politykę wobec Polski? Jak była formułowana polityka pokojowego współistnienia? Innymi słowy, decydująca powinna być leninowska polityka narodowa, która wykluczała rozstrzygnięcie spornych problemów drogą wojny i orientowała na uregulowanie stosunków z Polską na zasadach dobrego sąsiedztwa i wzajemnego szacunku. Wojna 1920 r. wycisnęła mocne piętno na przyszłych stosunkach radziecko-polskich, utrudniała przezwyciężenie stereotypów z czasów caratu, kiedy to każdy Rosjanin był w Polsce uważany za ciemniaka. Do walki z takimi wyobrażeniami wzywał jeszcze Włodzimierz Lenin. Naszym zadaniem jest przezwyciężenie wspólnym wysiłkiem przestarzałych stereotypów, stojących na przeszkodzie owocnej współpracy.

Aleksiej Naroczni: — Wtedy polski rząd Józefa Piłsudskiego narzucił władzy radzieckiej niesprawiedliwe granice na Wschodzie. Granic tych nie uznawano nawet państwa zachodnie, które uważały, że Polska powinna być odbudowana w granicach etnicznych. Znamy jest projekt tzw. linii Curzona, który, nawiasem mówiąc, również przydzielał Polsce pewne ziemie o przeważnie ludności ukraińskiej i białoruskiej. W zasadzie jednak „linia Curzona” niebiegała wzdłuż granicy etnicznej, rząd Józefa Piłsudskiego natomiast spodziewał się, że uzyska o wiele więcej w drodze wojny. Władza radziecka od samego początku proponowała pokój oparty na sprawiedliwym rozstrzygnięciu tej kwestii. Myśle, że prace komisji przyczyniły się do przezwyciężenia niesłusznych szablonów oraz do zrozumienia szkód, jakie wojna ta wyrządziła naszym stosunkom.

Rozwiązanie KPP

— Korzystając z okazji, że w spotkaniu uczestniczą przedstawiciele Instytutu Marksizmu-Leninizmu i Instytutu Miedzynarodowego Ruchu Robotniczego, chęlibymy prosić ich, by naświetlili jedno z ważnych wydarzeń w historii okresu miedzynarodowego, a mianowicie sprawę rozwiązania Komunistycznej Partii Polski. Postawienie tej sprawy jest uzasadnione tym bardziej, że dla wielu czytelników, wiele jej aspektów jest absolutnie niejasnych, poczynając od daty rozwiązania KPP i na przyczynach kończąc, nie mówiąc już o motywacji tej decyzji.

Inessa Jaźborowska: — Wydawałoby się, że sprawa oceny rozwiązania KPP została zatłwiona przed 30 laty. W lutym 1956 r., w Deklaracji pięciu partii komunistycznych, których przedstawiciele w sierpniu 1938 roku podpisali uchwałę o rozwiązaniu KPP, decyzja ta została uznana za nieuzasadnioną i spowodowaną fałszywymi oskarżeniami. Dlatego więc sprawa ta znów wpływa dzisiaj i jaki jest jej związek ze stosunkami radziecko-polskimi?

W Rosji Radzieckiej żyło wielu polskich komunistów. W 1919 r. było ich np. 18 tys. Byli wśród nich przywódcy partii, internacjonalistę, uczestnicy Rewolucji Październikowej, emigranci polityczni, wielu z nich zostało pracownikami aparatu partyjnego i państwowego oraz pracy Kraju Rad. Represje przeciwko nim zaczęły się na początku lat trzydziestych, jeszcze przed decyzją o rozwiązaniu KPP. Narzucały one praworządność, przybierały coraz bardziej masowy charakter. Wsuwano typowe dla owych czasów oskarżenia: szpiedstwo, agenci faszystowskie, prowokatorzy... Musimy powiedzieć otwarcie: polscy komuniści stali się ofiarami nieuzasadnionych represji i fałszywych oskarżeń. Wysoce cenimy bohaterką działalność KPP — była to jedna z cieszących się największym autorytetem i najbardziej liczących się w Kominternie partii, a jej zasługi w dziele urzeczywistnienia wskazań Włodzimierza Lenina w propagowaniu idei przyjaźni polsko-radzieckiej są bardzo duże.

Friedrich Firsow: — Odpowiedź na to pytanie, dlaczego doszło do tej strasnej tragedii, która stała się przyczyną nagłego awangardy polskiego ruchu komunistycznego i rewolucyjnego zmniejszenia tylko wówczas, jeżeli będziemy wnikliwie badali wszystkie zjawiska, jakie miały miejsce w tym okresie w naszym kraju:

przebywało tu wówczas na emigracji w rzeczywistości całe kierownictwo KPP, ci zaś, którzy przebywali w innych krajach, przyjeżdżali tu na wezwanie Komitetu Wykonawczego Kominternu i dzielili los swych towarzyszy. Spośród członków KC KPP w praktyce ocalał, zdaje się, jeden, a i to tylko dlatego, że był ciężko chory. Zbadanie przyczyn tej strasnej tragedii jest naszym internacjonalistycznym obowiązkiem, obowiązkiem wobec pamięci o tych ludziach.

Radzieccy historycy od dawna już pracują nad analizą historii Kominternu. Zrobiono niemało ale w świetle dzisiejszych wymagań trzeba koniecznie iść dalej. Sądzę, że kluczem do rozwiązania tego problemu jest analiza leninowskiej koncepcji miedzynarodowego ruchu komunistycznego i porównanie jej z tą rzeczywistością, z tymi zjawiskami, jakie występowały w Kominternie na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Praktycznie wszyscy dochodzimy dziś do wniosku, że właśnie w tym okresie ów właściwy Kominternowi jako miedzynarodowej organizacji komunistów duch internacjonalistyczny i kolektywistyczny w coraz większym stopniu zaczęło zastępować to, co w języku współczesnym nazywamy administracyjno-biurokratyczną metodą kierowania. Najważniejszą decyzją polityczną nie podejmowano wówczas kolegioidalnie, z udziałem reprezentacji wszystkich partii komunistycznych, praktycznie podejmowała je jedna osoba — Józef Stalin, który przejął kontrolę nad aparatem Miedzynarodówki Komunistycznej. To właśnie doprowadziło do tego, że dyrektywy polityczne udzielane ruchowi komunistycznemu nabrały coraz wyraźniejszego charakteru sektarsko-dogmatycznego, a wszelkie inne linie i inne ujęcia sprawy, niezgodne z punktem widzenia Józefa Stalina, przyjmowano wrogo i odrzucono.

Przypomnijmy sobie VII Kongres Kominternu. Jako podstawowe zadanie ruchu komunistycznego proklamował on walkę z faszystwem i rozwinięcie szerokiego ludowego frontu antyfaszystowskiego. Taka polityka była w swej istocie równoznaczna z obaleniem dogmatycznych, sektarskich wytycznych Józefa Stalina. I nie jest przypadkiem, że Józef Stalin później pomijał milczeniem znaczenie uchwały VII kongresu Kominternu, w „Krótkim kursie historii WKP(b)” nie można znaleźć nawet wzmianki o nim, podobnie zresztą, jak i o książce Włodzimierza Lenina „Dzieciucha choroba „lewicowości” w komunizmie”.

Oleg Rzeszeński: — Należałoby uniknąć koniunkturalnych opinii. Np. wspomniane uchwały VII kongresu Kominternu wymagają, moim zdaniem, bardziej wyczerpującej analizy. Występuje tendencja, zgodnie z którą wielu historyków twierdzi, jakoby wszystko, co pozytywne dokonywało się niezależnie od Józefa Stalina, wbrew niemu: wszystko zaś co negatywne wiązało się z jego nazwiskiem. Trzeba być obiektywnym. Jakże to tak — uchwały VII kongresu Kominternu zostały podjęte wbrew opinii Józefa Stalina, a jednocześnie mówimy, że Komintern realizował wytyczne Stalina?

Friedrich Firsow: Zgoda. Ale chcę przypomnieć: w 1924 r. Józef Stalin wysunął tezę, że socjaldemokracja i faszizm to zjawiska bliźniacze. VII Kongres Kominternu odrzuca przede wszystkim właśnie tę tezę. Są dokumenty świadczące o tym, że Józef Stalin bynajmniej nie od razu pogodził się z takim ujęciem sprawy. To właśnie miałem na myśli mówiąc, że VII kongres Kominternu, który odbywał się w sytuacji narastania kultu Józefa Stalina, odrzucił wiele jego dogmatów. I dlatego, kiedy mówimy o rozwoju ruchu komunistycznego w tym okresie, musimy jasno dostrzegać, że główna orientacja na umocnienie więzi z masami, na przełagodzenie mas do aktywnej walki antyfaszystowskiej i zwiększenie na tej podstawie oddziaływania partii komunistycznych wchodzi w kolizję z przeciwną tendencją, związaną z tym, co nazywamy stalinizmem, wpływem kultu Józefa Stalina. W końcu lat trzydziestych represje czy terror (uważam, że to słowo jest w danej sytuacji bardziej precyzyjne), terror stosowany wobec leninowskich kadr naszej partii, rozszerzał się również na kadry Miedzynarodówki Komunistycznej, partii Austrii, Finlandii, Litwy, Łotwy, Niemiec, Polski, Węgier i wielu innych krajów.

Właśnie w kontekście tych zjawisk, które podważały wpływ i funkcjonowanie Kominternu, należy ocenić tragedię KPP. Oczywiście, uchwała podjęta przez KW Kominternu nie była wynikiem dyskusji. Oprócz tego, jak wiadomo, zgodnie ze swym statutem Komitet Wykonawczy Kominternu nawet nie miał prawa rozwiązywać sekcji Miedzynarodówki Komunistycznej, w tym wypadku KPP, która ponadto była jedną z jej założycielek. Ale uchwała ta została podjęta post factum, kiedy kierownictwo działające KPP już zginęło. Była to haniebna uchwała, która oznaczała polityczne rozstrzygnięcie już dokonanej rozprawy z Komunistyczną Partią Polską.

I jeszcze jedno. Wydaje się, że w okresie, kiedy dojrzewała II wojna światowa, osłabione samowolą i represjami kierownictwo Kominternu nie zdolało zachować swej samodzielności ideowo-politycznej. Znajdowało to wyraz m. in. w tym, że po zawarciu paktu radziecko-niemieckiego, z terminologią Miedzynarodówki Komunistycznej znika słowo „fasyzm”. W dyktandach politycznych znów pojawia się hasła ze znaczenie wcześniejszego okresu, ciosy ideologiczne wymierza się nie w imperializm w ogóle, lecz głównie w imperializm angielsko-francuski.

— Ale mimo wszystko, dlaczego właśnie na KPP spadł taki silny cios?

Inessa Jaźborowska: — Po śmierci Włodzimierza Lenina między oficjalną linią Kominternu, a linią polskich komunistów pojawiły się sprzeczności, ponieważ fala rewolucyjna zaczęła opadać. Dyrektywy Kominternu orientowały na dalszy szybki rozwój procesu rewolucyjnego. Polscy komuniści trzeźwo oceniali sytuację i ustosunkowali się krytycznie do tego kursu dowodząc, że jest on niesłuszny. Bronili swego punktu widzenia, wbrew stanowisku Józefa Stalina, kilkakrotnie wdawali się w otwartą dyskusję z nim, przeciwstawiali linię stalinowskiej linii leninowskiej, leninowskie pojmowanie strategii i taktyki ruchu. Grupa teoretyków, przywódców partii (Adolf Warski, Maria Koszutska-Kostrzewska, Henryk Walecki) została odsunięta od kierownictwa KPP i, podobnie jak inni działacze partii, była represjonowana. W rzeczywistości polscy komuniści dzielili los swoich towarzyszy — Rosjan, Ukraińców i Białorusinów, z którymi ściśle współpracowali jeszcze od czasów SDPRR.

— I, aby zakończyć naszą dyskusję na ten temat, proszę przypomnieć o reaktywowaniu KPP.

Friedrich Firsow: — Chcę podkreślić, że już na pierwszym posiedzeniu wspólnej komisji historyków stronie polskiej wręczono dwa ogromne ważne dokumenty. Pierwszy to uchwała o rozwiązaniu KPP, drugi zaś to decyzja Sekretariatu KW Kominternu z 25 maja 1939 r. o reaktywowaniu KPP. Mowa w niej była w szczególności o tym, że odbudowa partii jest niecierpiącym zwłoki zadaniem chwili, że dla realizacji tego zadania KW Miedzynarodówki Komunistycznej mianuje tymczasowy kierownictwo ośrodek KPP i powierza mu kierowanie całą pracą partii z KP Zachodniej Ukrainy i KP Zachodniej Białorusi włącznie, aż do czasu zwolnienia zjazdu i wyboru stałego Komitetu Centralnego.

Georgij Smirnow: — O istnieniu tego drugiego dokumentu praktycznie nikt nie wiedział, nie wiadano o nim również w Polsce.

Friedrich Firsow: — Niestety, dokument ten nosi na sobie piętno przeszłości, ponieważ usprawiedliwia rozwiązanie KPP. W 1936 r. we wspomnianej już tu Deklaracji zostało powiedziane, że winni represjonowania partii prowokatorzy zostali ukarani. Twierdzenia tego nie poparto jednak dowodami, dokumentami. Dlatego również w minionych latach słyszeliśmy od polskich towarzyszy:

„No dobrze, w 1936 r. powiedziano, że polska partia została oszkalowana przez prowokatorów. Kim są ci prowokatorzy?”

Odpowiadałem, że mnie osobiście miano jest jeden Józef Stalin, który już w 1924 roku oskarżał tę partię o antyradzieckie nastawienia.

C.D.N.

Wideonotes

FILM, TV, WIDEO

„Produkcja filmu przypomina pieczenie ciasta — trzeba mieć pewne składniki i wiedzieć jak trzeba je zmieszać” — powiedział kiedyś jeden z pionierów amerykańskiego kina Thomas Harper Ince. Ta porównawcza polityka i kontrastująca z górnolotnymi manifestami europejskich filmowców zasada w gruncie rzeczy zawsze oddawała atmosferę zaoceanicznego kina, a szczególnie jego firmowej twierdzy Hollywood. Podczas gdy na starym kontynencie reżyserzy próbowali budować katedry, a w najgorszym wypadku dostarczać na stół wyszukane dania, z którymi publiczność często nie wiedziała co zrobić, w USA skupiano się na deserach, dbając, aby był coraz perfekcyjniej przyrządzony i coraz lepiej dogadzał podniebieniu widzów. Na efekty

Ten rzeczywiście imponujący wizerunek doskonale uzupełnia historię początków kariery Spielberga. Jego pierwszy film „Pojeździec na szosie” był mianowicie w zamierzeniu skromnym obrazem robionym z myślą o odbiorcy dziecięcym i dopiero młody szef Paramountu Chris Evans, zobaczywszy go przypadkiem w telewizji, dojrzał w świetnie pokazanej pogoni dwóch samochodów zlagier i poprowadził do światowych sukcesów. Szybko znalazł się też krytycy go przy okazji wytoczyć najcięższe armaty: od filozofii do archetypów... I zaczęła się bajka. Każdy, od lat 5 do 100, jest pewnie w stanie, nawet zbudowany w środku nocy, wymyślić kolejne „Spielbergi”, każdy też całkiem nieźle się na nich bawił, znacznie

filmie Spielberga nie więcej właściwie powiedzieć się nie da, poza oczywiście wymienieniem przypadków bohaterki, co jednak jest niestaktym. Na temat Murzynów robiono już różne filmy, nikomu jednak dotąd nie udało się zrobić obrazu tak skutecznie wyprępowanego z jakiegokolwiek, wyrażając się naukowo, opcji. Być może Spielbergowi chodziło o pokazanie Murzynów bez zwracania uwagi na ich kolor skóry i wszelkie konsekwencje tego faktu, to szlachetne założenie z oczywistych względów nie mogło się jednak udać. Pozostały tylko ładne zdjęcia oraz — dla najbardziej wrażliwych — mały potoczek łez. Inaczej mówiąc: zamiast porcji krwistej wołowiny, czy choćby bulonu, znów dostaliśmy deser.

Jestem w tej szczególnej sytuacji, że piszę tym razem recenzję po ukazaniu się sprawozdania z przedstawienia we wszystkich gazetach łódzkich. Ton tych publikacji jest podobny: recenzenci krytycznie odnieśli się do poetyki, w jakiej Adam Hanuszkiewicz przemówił tekstem Czechowa ze sceny Teatru Powszechnego. Mogę się więc z opiniami Kolegów globalnie pospieszać.

Zarzuty można sprowadzić do wspólnego mianownika: obrony mchatowskiej tradycji wystawiania Czechowa, tradycji, której Mistrz Adam świadomie się sprzeniewierzył czy przedstawił. Poglądy i praktyka teatralna Konstantego Stanisławskiego i Włodzimierza Niemcewicza-Daneczki stanowią wygodną tarczę, zza której można skutecznie atakować spektakl Ha-

sów i ze znaczącymi wynikami reżyseruje spektakle operowe, a nawet baletowe w Teatrze Wielkim. Dawniej rola reżysera w operze była funkcją drugorzędą i polegała na ustawianiu ruchu scenicznego w taki sposób, by mieścił się on w rytmie fraz muzycznych. Dziś na świecie poddaje się operę takim samym zabiegom reżyserskim, jakie stosuje się w teatrze dramatycznym. Hanuszkiewicz rozumie to znakomicie i pod jego ręką śpiewacy operowi czują się aktorami. To prawdziwa zdobycz Teatru Wielkiego!

Szereg przedstawień przygotował artysta na łódzkich scenach dramatycznych, głównie w Teatrze Powszechnym, z których „Dom Bernardy Alby” Lorki i „Śpiwnik domowy” Moniuszki należą do szczególnie nasyconych osobowością Hanuszkiewicza. A teraz „Trzy siostry”.

nich oficerowie, czym panie nie wydają się być speszzone. No taki Konwentans z tamtych lat wydają się dziś przestarzałe i śmieszne. Ten gorset odrzucają wykonawcy „Trzech siostr” anno 1988.

Doczytawszy się recenzji do tego miejsca, mógłby ktoś uważać, że inscenizację Hanuszkiewicza a-probuję bezkrytycznie, w całej rozciągłości. Tak nie jest. Uważam jednak, że trop, jakim poszedł reżyser, można akceptować. Kto bowiem zabroni twórcy teatralnemu spojrzenia na tekst klasyczny w sposób nasycony teraźniejszością, nie ulegający wiedz historycznej? Ktoś powie, że to barbarzyństwo? Ktoś może. Ale barbarzyńcy byli wielokrotnie silną sprawczą postępu.

Jeżeli więc z zainteresowaniem przyglądam się ahistorycznym poszukiwaniom Pana Adama, to równocześnie mam uczucie niedosy-

Legumina

tej uporczywej pracy nie trzeba było długo czekać; filmy made in Hollywood — błyskawicznie zdobyły sobie popularność na każdym kontynencie geograficznym i na razie nie nie wskazuje, aby coś się pod tym względem zmieniło.

Doszło nawet do czegoś znacznie ciekawszego: wypracowana z mozołem, kraciowa perfekcja warsztatowa dawała od czasu do czasu wyniki wręcz zadziwiające, począwszy od oskarżycielskiego kina lat trzydziestych, aż do fali wybitnych tytułów powojennych w rodzaju „Ojca chrzestnego” czy „Francuskiego lapnika”, nie mówiąc już o „Chaplinie”. Ich związek z leguminami ujawniał się jedynie w wielkości klasycznym gatunkom filmowym: zawsze można było powiedzieć, że mamy do czynienia z kryminałem, komedią czy melodramatem.

Wróćmy jednak do producentów regularnych deserów. Była ich w 80-letniej historii Hollywoodu cała armia, zawsze jednak jeden wyróżniał się wśród reszty; był mistrzem i nadawał styl. W ostatnim dziesięcioleciu miejsce to zajmują bezapelacyjnie Steven Spielberg i James Cameron. Na wszytkim królestwie jakie powinien spełniać współczesny cudownik: jest młody, pełen pomysłów, obraca się wśród nowoczesnych reżyserów, bezbłędnie wyznacza obowiązujący smak, nie popełnia błędów technicznych.

jednak już mniejszy procent widzów dostrzegł obok oszałamiającego tempa, świetnych pomysłów i znamionującego dużą inteligencję poczucia humoru inne, jeszcze — już nie tak wspaniałe — cechy charakterystyczne „Szczeka” czy „Poszukiwaczy zaginionej arki”, a mianowicie idealne wpasowanie w standardowe wyobrażenia i kompletną pustkę w głowie po wyjściu z kina — zupełnie jak po zjedzeniu fantazyjnie ukształtowanej, kolorowej i olbrzymiej porcji plany.

Każdy, kto całe życie wykonuje standardy rozrywkowe, marzy, aby przynajmniej raz zagrać Bacha czy Mozarta. Prawdopodobnie też każdy, kto serwuje wyłącznie desery, chciałby kiedyś podać pieczęcie — chociażby dla zwykłej odmiany. Wygląda na to, że Spielberg także podlega tej zupełnie normalnej skłonności; dostrzec ją można było już w „Błiskich spotkaniach” i „E.T.”, na całego zaś ujawnia się w ostatnim, słynnym przeboju mistrza „Kolor purpury”.

„Kolor purpury” jest to historia dwu murzyńskich siostr, które brutalne życie rozdzieliła w młodości i które, po całym paśmie niezbyt podnoszących na duchu wydarzeń (na ekranie oglądamy naprawdę losy tylko jednej z nich, ale można śmiało powiedzieć, że druga miała przebieg zupełnie podobny, spotykają się wreszcie na starość. Nie jest to zbyt bogata recenzja, ale też o

Żeby było jasne: żaden normalny człowiek nie powinien mieć nic przeciwko leguminom, zwłaszcza gdy są apetyczne i dobrze przyrządzone. Należy jednak pamiętać, że odżywianie się wyłącznie deserami do niczego dobrego nie prowadzi, powoduje natomiast psucie się zębów i tyłotę — dwie najbardziej rozpowszechnione dolegliwości naszej cywilizacji.

RYSZARD NAKONIECZNY

KOLOR PURPURY, reż. Steven Spielberg, zdł. Allen Daviau, scen. Menno Meyjes, wg. powieści Alice Walker, muz. Quincy Jones, aktorzy: Danny Glover, Margaret Avery, Adolph Caesar, Mae Dawn Chong, Whoopi Goldberg.

A może do kina?



„PIĘĆ KOBIET NA TLE MORZA” — to film powstały w koprodukcji polsko-bułgarskiej. Reżyserem filmu jest Władysław Ikonow. Jest to kolejny film opowiadający o czasach wojny, wyróżnia się jednak miejscem akcji. Bohaterki filmu — Polki internowane w Bułgarii znajdują schronienie w małym miasteczku. Różni je wiek, status społeczny, doświadczenia. Realia wojny powodują, że nie pozostają biernymi obserwatorkami wydarzeń. Jedną z nich, bołowniczką polskiego ruchu oporu, usiłującą przewieźć przez Bułgarię filmy dokumentujące zbrodnie hitlerowskie w Polsce, płać wysoką cenę. W rolach głównych występują aktorki polskie: Wiesława Mazurkiewicz, Alicja Jachiewicz, Ewa Szykuła, Ewa Salska i Mariola Krysińska. Partnerują im znani aktorzy bułgarscy i niemieccy.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

● „Przyjaciel wesołego diabła” (w reż. Jerzego Łukaszczyka) poratował kasę Telewizji Polskiej. Za sprzedaż tego dziecięcego serialu na Międzynarodowych Targach w Cannes — „MIP TV 88” nasza telewizja zdolna była zakupić... 30 tytułów filmowych od de Laurentisa, 20 pozycji od innego producenta i wystartować jeszcze na zakup słynnego filmu Costa Gavrasa „Z”. Na 30 już Międzynarodowym Salonie Dźwięku i Obrazu w Paryżu 423 wystawców z całego świata zaprezentowało najnowsze osiągnięcia przemysłu radiowo-telewizyjnego, m.in. odtwarzacze płyt kompaktowych, telewizory, którego obraz wywołuje wrażenie trójwymiarowego itd. Polscy wystawcy pokazali... kolumny głośnikowe, radia samochodowe i radiomagnetofony z podwójną kasetą. ● „Moje życie z Dukiem” to kolejny bestseller na amerykańskim rynku wydawniczym. Napisała go wdowa po bohaterze wester-

nów, Johnie Wayne-Pilar. I pomyśleć, że to bożyszcze kobiet było — w oczach żony, oczywiście — „męczyzną miękkim, bał się innych kobiet, był zawsze wierny i miał odwagę czasem popłakać”. ● Reżyser słynnego amerykańskiego serialu „Dynastia” — Aaron Spelling przystąpił do realizacji kolejnego serialu poświęconego tym razem... Margaret Thatcher. Jak domaga się tajemniczy koleś z „Anteny”, redaktor pani premier najbardziej obraziło to, że aktorka grająca główną rolę otrzymała honorarium trzy razy większe od pensji szefowej brytyjskiego rządu.

M. B.

nuszkiewicza. Ale czy oznacza to, że Czechowa, czy konkretnie jego „Trzy siostry”, wolno grać tylko w konwencji przyjętej przez Moskiewski Teatr Artystyczny? Hanuszkiewicz jest artystą teatru bardzo specyficznym, powiedziałbym: przekornym. U wielu osób jego „obrazoburczy” stosunek do klasyki budzi sprzeciw, a nawet krytykę. Ile gromów posypało się na jego głowę za słynną inscenizację „Balladyny” w 1974 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie! Zwłaszcza Goplana mknąca wraz z Chochlikiem i Sierką na japońskich hondach nad głowami publiczności po okalającym balkon pierwszego piętra specjalnie zbudowanym podestacie była dla wielu nie do strawienia.

Reżyser nawiał na ten spektaklem do ironicznego Epilogu „Balladyny”, w którym publiczność przepędza Dziejopisę Wawel, jak również do cudzysłowu, w jaki cały utwór ujął sam Słowacki, pisząc w liście do Zygmunta Krasińskiego: „Wychoł na świat Balladyna z aristokratycznym uśmiechem na ustach”. To tak jakby sam wielki Juliusz rozgrzeszał reżysera z żartobliwości i z jaskrawych anachronizmów, którymi inkrustowane było przedstawienie.

Zbudziło ono niesmak wśród konserwatorów teatru, robiąc jednocześnie furorę u młodzieży, dla której dramat Słowackiego był dotąd jedynie szkolną lekturą obowiązkową. Do Narodowego walcili młodzi ludzie hartem, z własnej woli, a nie z nakazu pedagogów.

Zamieściłem wówczas w „Ogłoszeniach” pochwałę tej komiksowej wersji „Balladyny”, uważając, że w zróżnicowanym krajobrazie naszego teatru jest miejsce i dla takich manifestacji. Za tę recenzję pogniwiał się na mnie jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów teatralnych i gniewa się do dziś, choć dawniej byliśmy przyjaciółmi. Cóż, to tylko miara tolerancji!

Adam Hanuszkiewicz związał się z Łodzią od kilkunastu lat, to jest od ustąpienia ze stanowiska dyrektora Teatru Narodowego w Warszawie. A zatem odtrącony przez stolicę analiz w naszym mieście przystąpił i odpowiedni klimat dla pracy artystycznej. A mówi, że Łódź to niewdzięczny teren dla ludzi sztuki! W nieco innych okolicznościach, ale także w wyniku nieporozumień ze środowiskiem warszawskim, przez dłuższy czas reżyseruje w Łodzi wybitny człowiek teatru — Maciej Prus.

Mozna by zarzykować parados: więcej różnych personalnych rozróbek w Warszawie, a my tu w grzecznej Łodzi będlimy na tym korzystać. Zwłaszcza że miasto nasze nie posiada w nadmiarze dobrych reżyserów teatralnych.

Wracając jednak do Hanuszkiewicza W bardzo interesujący spo-

O dramaturgi Czechowa pisał Maksym Gorki: „Umysł autora jak jesienne słońce z okrutną jasnością oświeca wyboiste drogi, krzywe ulice, ciśnie i brudne domy, w których duszą się z nudy mali, nędzni ludzie, napieniając swoje domy bezładną, półsensną krzątaniną...”

Tak, ale Gorki patrzył na sztukę Czechowa właśnie przez optykę MCHAT-u, a jak przypomina Hanuszkiewicz w programie przedstawienia — sam Czechow nie był zadowolony ze sposobu odczytania swoich dramatów w tym znakomitym teatrze. Dopatrywał się w „Trzech siostrach”, czy w „Wielkim sędzi” akcentów komediowych.

Tak tedy reżyser przedstawienia w Teatrze Powszechnym występuje — podobnie jak w przypadku „Balladyny” — nie przeciw autorowi, lecz przeciw stereotypowi interpretacyjnemu, jaki stał między dramaturgiem i współczesnym widzem. Ze zwykłym sobie brakiem strachu przed anachronizmem każdemu aktorowi odpowiadając przesłanną zresztą piosenkę Agnieszki Osieckiej z muzyką Andrzeja Zielińskiego „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma”, w której mówi się przecież o samochodach. Może Hanuszkiewicz pragnie wyrazić w ten sposób myśl, że bohaterowie czechowscy i ich problemy należą do przeszłości.

Podobnie ma się rzecz z wygląszaniem ze sceny, a odbiegającym epoką od Czechowa, fragmentem wiersza Jarosława Iwaszkiewicza „Piosenka dla zmarłej”. Zarzykuje twierdzenie, że i Iwaszkiewicz — gdyby dożył — nie miałby nic przeciw tej dowolności.

Reżyser generalnie nie godzi się także z ową „półsensną krzątaniną”, o której była mowa wyżej. Inny rytm, tempo i agresywność rządzą ruchem scenicznym u Hanuszkiewicza. Nie ma zgody na rozlewność i nudę! To zbyt obce dzisiejszemu człowiekowi.

Zakochany bez wzajemności w Irinie Solony nie kryje namiętnego uczucia. Rzucił się w pewnej chwili na dziewczynę i ściska wraz z nią na ziemię jak w próbie gwałtu. Takie zachowanie nie mieści się z pewnością w kodeksie obyczajowym z czasów Czechowa, zwłaszcza że chodzi tu o śmieśtanek towarzyską. Zachowanie Solonego u Hanuszkiewicza ma raczej swe źródło we współczesnym, brutalnym kinie amerykańskim.

Albo scena po pożarze, w drugiej odsłonie przedstawienia (podział reżyserski jest odmienny niż tradycyjne cztery akty w dramacie Czechowa). Reżyser rozgrywa ją jakby w buduarze czy w sypialni. Trzy siostry paradują w nagiach, w jakich kobiety z towarzyską nie pokazywały się w tym czasie obcom mężczyznom. Tymczasem tu kręca się wśród

tu, że w zabiegach swych jest on nie dość konsekwentny. Nurt widowska, chwilami żywy i pełen błyskotliwości, czasem zmienia się w leniwie rozlewisko. I, o dziwo! Tam, gdzie aktywność reżysera słabnie, widzera się odracona maniera mchatowska i triumfuje niejednorodność.

Sukcesy i upadki Hanuszkiewicza w tym przedstawieniu budzą jednak szacunek i uznanie. Jego starania o własne odczytanie Czechowa wsparte są otwartą, nowoczesną scenografią Xymeny Zaniewskiej i Mariusza Chwedecka. Wioletta współpraca Hanuszkiewicza z małżeństwem świetnych scenografów raz jeszcze sprawdza się na scenie.

Aktorem w tym spektaklu należy się wiele ciepłych słów. Nie ma tu indywidualnych wybitnych kreacji, ale w zamian za to mamy do czynienia z wyrównanym poziomem i pełnym zaangażowaniem.

Jeśli mam kogoś wyróżnić, to przede wszystkim Jerzego Korszyńskiego. Dość księżycowe wizje przyznać światła wypowiediane przez Wierzyżynę nabierają dzięki Korszyńskiemu ludzkiego wymiaru. Włodzimierz Maciulski trafnie radzi sobie z rolą bezwonnego i głęboko nieszczęśliwego Andrzeja. Ładną sceniczną postać Maszy zawiązujemy Magdalenę Cwieniewic, a będąca jeszcze studentką Wydziału Aktorskiego Joanna Kurowska pokazała się bardzo obiecująco w roli Iriny.

Wymienimy jeszcze przynajmniej nazwiska innych aktorów: Robert Rozmus (Tuzenbach), Sławomir Kwiatkowski (Solony), Mieczysław A. Gajda (Cezary), Bohdan Sobieski (przezbawny w epizodzie Pierapont), Artur Majewski (Fiedotko), Mirosław Siedler (Rode), Andrzej Fogiel (Kuligin), Alicja Knast (Anfisa), Mariola Krysińska (Natasza) i Ewa Harasimowicz (Olga).

Jak zakończyć tę uwagę? Może wezwaniem: szanujmy Hanuszkiewicza! Tytuł jest reżyserów bezbarwnych, bez inwencji, bez określonej osobowości. W tym przypadku mamy do czynienia z artystą, z którym często chciałoby się pospierać, ale który nie pozwala się nudzić.

Więcej nie powiem, bo może znów ktoś się na mnie pogniwa i straci przyjaciela...

Od pewnego czasu nie pomijam okazji, by nie nawlasywać do teatralnej tradycji Łodzi.

„Trzy siostry” oglądaliśmy w 1981 roku w Teatrze Nowym. Przedstawienie na Małej Salie reżyserował Kazimierz Dejmek. Piękna dekoracja z motywem brzozy rosyjskiej zaprojektował Józef Rachwański. W głównych rolach bardzo dobrze przyjętego widowska wystąpili: Ignacy Machowski (Andrzej), Danuta Mnielwska (Natasza), Hanna Bedryńska (Masza), Urszula Modrzyńska (Irina), Barbara Rachwańska (Olga), Seweryn Butryn (Wierszynin), Mieczysław Voit (Tuzenbach) i Marian Nowicki (Kuligin).

*) Teatr Powszechny: Antoni Czechow „Trzy siostry” (Trzy siostry); przekład Natalia Gączyńska; reżyseria: Adam Hanuszkiewicz; scenografia i kostiumy: Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedecka; opracowanie muzyczne: Teresa Stokowska-Gajda; premiera: 16 kwietnia 1988 r.

Szanujmy Hanuszkiewicza

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



Na zdjęciu: Ewa Harasimowicz, Mariola Krysińska.

Foto: Tymoteusz

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

CZY „ODGŁOSOM” BRAK ODWAGI?

(...) Podstawowym warunkiem jasnego określenia przyszłości „Odgłosów” i zapewnienia finansowego ich bytu jest to, aby podnieść ich atrakcyjność, przebojowość, nawet wprowadzić elementy ekstrawagancji, aby „Odgłosy” stały się wreszcie czasopiśmie swych czytelników. Nie będą jednak nim, jeżeli ograniczą się do przedruków z prasy radzieckiej (zjawisko już znane od kilkudziesięciu lat), jeżeli nie udostępnią w szerokim zakresie swych łamów również dla znaczących spraw niż dywagacji na temat czy bez biletu bezpiecznie jest w tramwaju lechać na przednim czy na tylnym pomoście — a może w przysiadzie? Dzięki temu wiele listów o znacznie ważniejszych problematyce powędrowało bezpośrednio do redakcyjnych segregatorów. Redaktor Dyżurny nie informuje jednak o tych listach (sam tego doświadczymy), które nie znalazły się w druku z powodu „braku zainteresowania redakcji”, może cenzury, a może wyłącznie z braku odwagi.

A jak „Odgłosy” zapisują „białe plamy” z historii polskiego narodu? Bardzo nierychliwie i niedbale. Jeżeli w tym względzie brak umiejętności lub odwagi redaktorów — zrobią to odważni czytelnicy. Poprośmy ich o to (przy rocznicy wydarzeń marcowych 1968 r. nie skorzystano z takiej okazji).

Odnoszę wrażenie, że nie tak dawno były ciekawsze okresy „Odgłosów” — kiedy zaczęły już nabierać wiatru w żagle, ich sternicy jakby przestraszyli się głębi. Woła bezpiecznie brodzić na płytkich wodach, bliżej brzegu, choć groziło osadzeniem na niezłaznym i niepodważalnym zakamieniu rejsu, bardzo przykrym dla załogi i pasażerów.

Czyżby środowisko kulturalne naszego miasta nie było zdolne zapewnić dostatecznie wiele atrakcyjności, ekstrawagancji i przebojowości swojemu jednemu czasopiśmie, które zamiast dyskurować wioskach od stodoły do stodoły, trzęsąc się o swój byt, może i powinno stać się obiektem niepełnionego pożądanego wielu czytelników. Aby tak się stało i stać się mogło, potrzebna jest przede wszystkim odwaga — znacznie, znacznie więcej odwagi, której w całym nowym trzydziestolecu żyjące czytelnikom piszącym do „Odgłosów”, ale przede wszystkim redakcji.

JÓZEF GRUCHAŁA

Józef Gruchała wysunął pod adresem pisma i zespołu poważne eskarżenia. Czuję się w obowiązku list ten potraktować poważnie — wszystkie listy zresztą tak traktujemy — choć wiele sformułowanych w nim zarzutów wynika z nieznajomości rzeczy i jest częściowo nieporozumieniem.

Ala może po kolei.
Józef Gruchała postuluje zmiany („podnieść ich atrakcyjność, przebojowość, nawet wprowadzić elementy ekstrawagancji”), które miałyby doprowadzić do tego, „aby „Odgłosy” stały się wreszcie czasopiśmie swych czytelników”. Nie innego od dłuższego czasu nie robimy, jak myślimy i staramy się uczynić pismo atrakcyjnym; co nam się średnio udaje. Uważamy je również za pismo Czytelników, którym oddajemy coraz więcej miejsca: coraz częściej dwie strony na listy, polemiki i opinie, reporterskie dyżurny. Dlatego nie rozumiem, o co chodzi Józefowi Gruchałemu. Czyż ma to połączyć, że „Odgłosy” staną się „wreszcie” czasopiśmie swych czytelników? Czy 73.000 nakładu na początku roku i 53.000 po podwyższeniu cen, to nie uznanie dla pisma i nie próba dokonania przez Czytelników?

Józef Gruchała zarzuca nam, że od kilkudziesięciu lat przedrukujemy teksty z prasy radzieckiej. Czy jest coś w tym złego? Ale gwoli prawdy, to nie tak dawno raczej zarzucono nam, że przedrukujemy teksty zachodnie, nie z prasy radzieckiej. W prasie radzieckiej ukazują się tyle interesujących artykułów, że byłoby zbrodnia nie zapoznać z nimi polskiego czytelnika. A poza tym Józef Gruchała nie dostrzegł naszych własnych opracowań, reportaży i artykułów.

Autor reportażu ma prawo do różnego widzenia rzeczywistości i niekiedy może przekornie pokazać problem uciekając się do rozważań o... jeździe bez biletu. Ten reportaż wywołał tyle protestów i listów, że widać było, że...

Nie wiem, skąd Józef Gruchała wie, że „wiele listów o znacznie ważniejszych problematyce powędrowało bezpośrednio do redakcyjnych segregatorów”. Ocena tego, co jest „ważniejszą problematyką” jest dość względna. Inaczej to widzi autor listu, inaczej redaktor, który musi dokonywać nieubłaganej selekcji.

Jeśli chodzi o „białe plamy” w polskiej historii najnowszej, to jest to również sprawa wielce dyskusyjna. Otóż „ludzie na ogół lepiej wszystko wiedzą” i stąd taki natłok mitów. Obiektywne przedstawienie spraw wymaga poznania dokumentów. Nie wszystkie są dostępne. Nie wszyscy historycy są też do tego przygotowani. Publicyści zajmujący się historią nie zawsze ich zastępują. Czytelnicy mogą się i odważyć, ale mam wątpliwości, czy wszyscy posiadają niezbędne kwalifikacje naukowe lub choćby tylko publicystyczne.

W odpowiedziach redakcji już ujawniliśmy fakt, że na temat 1968 roku posiadaliśmy bardzo interesujący i kontrowersyjny — jeśli tak można to określić — artykuł, który byłby gotowy do druku, ale autor wycofał się w ostatniej chwili. Więc może nie przesadzajmy z tą odwagą Czytelników.

Ocenę „środowiska kulturalnego naszego miasta” pozostawiam wnioskowi Józefa Gruchały.

I aby już nie przedłużać odpowiedzi i wyjaśnień mogę zakomunikować, że „Odgłosy” stoją przed trzema procesami sądowymi. Czy do nich dojdzie — inna sprawa. W odpowiednim czasie poinformujemy o tym Czytelników. Czyżbyśmy rzeczywiście byli tak mało odważni? I czy tylko o odwagę chodzi?

Podziwiam zawsze ludzi, którzy mają niechętne zbieżne przekonanie, że racja jest tylko po ich stronie. Być może nazywa się to odwagą. Ze swej strony mogę jedynie Józefa Gruchałę poinformować, że redagowanie pisma polega między innymi na tym, aby trafić do jak największej liczby Czytelników, żeby oni zechcieli wydać pieniądze na kupno pisma.

Za życzenia dziękujemy!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

„WAŻNE TO JE, CO JE MOJE”

Wnioski, jakie wyciąga Lech Grabiński z lektury reportażu pt.: „Ważne to je, co je moje”, świadczą przede wszystkim, że pisząc swoje „sprostowanie”, opublikowane w poprzednim numerze „Odgłosów”, nie zadał on sobie nawet trudu dokładnego zapoznania się z moim tekstem.

I tak, nie jest prawdą, jakoby napisał, że pracownicy brygady zarzucali L. Grabińskiemu, iż nie pracuje fizycznie. Zarzut taki nigdzie nie pada i jestem samego autora „sprostowania”, który w tej sytuacji nie wiadomo po co przed nim się broni.

Nieprawdą jest, jakoby twierdził, że „brygada doprowadziła RSP Gertrudów do upadku”. Upadek ów nastąpił bowiem jeszcze przed jej powstaniem, co jasno z treści reportażu wynika.

Napisałem natomiast: „W maju 1968 roku wzorem innych powołano w RSP Gertrudów brygadę remontowo-budowlaną, która w założeniach miała stać się koleją ratunkową dla idącej na dno spółdzielni. Za sprawą kilku osób stała się kamieniem u sypu, który ciążył do dzisiaj”.

I tezy tej nie wycofuję, albowiem gdyby brygada od początku funkcjonowała prawidłowo i nie dochodziło w niej do rażących nadużyć, które szczegółowo przecież opisałem, zysk, jaki przyniosła spółdzielnia, byłby dużo większy. Zauważył to już zresztą na początku 1987 roku na jednym z walnych zebrań członków

RSP w Gertrudowie przedstawiciel Wojewódzkiego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, co również w reportażu zaznaczyłem. Poza tym należy wziąć pod uwagę i straty moralne, jakie przyniosła spółdzielnia działalność brygady, których następstwem były m. in. rozwiązane umowy. A i o tym wspominałem. Tego jednak L. Grabiński już, widać, nie doczytał.

Doczytał się za to, że „ustalenia (...) co do skutków finansowych mojej (tj. Lecha Grabińskiego — przyp. P.T.) działalności i rzetelności rozliczeń” oparłem „na rozmowie z księgową Bogusławą Ziacką”. Gdzie? Kiedy? Nie wiadomo. I trudno się nawet dziwić, jako że z księgową RSP w Gertrudowie na temat działalności L. Grabińskiego w ogóle nie rozmawiałem. Zamieniłem z nią zresztą jedynie kilka zdań.

Zdumiewająco brzmi też stwierdzenie L. Grabińskiego: „Redaktor Tomaszewski zawarł w artykule pomówienia pod moim adresem oparł wyłącznie na oswiadczeniach 5 spośród 20 pracowników brygady ZRB oraz niesprawdzonych zarzutów prezesa RSP w Piaszczycach”.

Tym bardziej zdumiewająco, iż trudno uwierzyć, że mój adresarz nie potrafił liczyć więcej niż do pięciu. A przecież z reportażu wynika czarno na białym, że „oswiadczenia” o nim składało nie pięć, lecz sześć jego byłych podwładnych (w rzeczywistości jeszcze więcej, tyle że nie wszystkie wypowiedzi wykorzystałem, gdyż powtarzały się w nich te same fakty i opinie), a ponadto: prezes RSP Gertrudów, członkini komisji rewizyjnej tejże spółdzielni, pracownicy WZ RSP w Piotrkowie Tryb. Zatem wcale nie „wyłącznie”!

Nie „wyłącznie” również dlatego, że oprócz rozmów ze świadkami i obserwatorami wydarzeń, oparłem się także na licznych dokumentach, m. in. — protokołach z kontroli przeprowadzonej w RSP Gertrudów przez Izbę Skarbową w Częstochowie, załącznikach pokontrolnych Oddziału Lustracji CZ RSP, skargach pracowników spółdzielni do władz, i co ciekawe: tak z rozmów, jak i z dokumentów wyłania się jednoznacznie negatywny obraz działalności L. Grabińskiego w Gertrudowie. Nie są to więc chyba jakieś bepodstawne pomówienia i oszczerstwa, jak chce tego autor „sprostowania”. Bo co — uwierzył się wszyscy na niego? Mało prawdopodobne, czy nie?

Wreszcie niefortunnie przyjmuje L. Grabiński, że z mojego reportażu wynika, iż to on „rozłożył” Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną w Gertrudowie. Tymczasem z przedstawionych przeze mnie faktów łatwo wywnioskować, że miał on w tym, co — prawdę, swój udział, ale przecież nie jako jedyny i — że inni przyczynili się do upadku spółdzielni we wcale nie mniejszym stopniu. Niepotrzebnie więc powiększa L. Grabiński swoje „zasługi”, powołując się na „konkluzję artykułu”.

Oczywiście każdy ma prawo do własnej interpretacji tego, co w reportażu napisałem. Ma je zatem również L. Grabiński. I nikt nie zamierza go pozbawiać tegoż prawa. Tylko — pozostawmy wierni faktom. Ale może mimo wszystko się mylę? Może miał on jednak większy wpływ na losy spółdzielni niż się zdaje? Przysłowie mówi: uderz w stół, a nożyce się odezwą. No, i się odezwały.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

W ZŁOCZEWIE CZEKAJĄ NA ODPOWIEDZ

W nr 20 „Odgłosów” ukazał się pod tym tytułem list komendy hufca ZHP w Złoczewie, która apeluje do byłych żołnierzy i oficerów 10 Kaniowskiej Dywizji Piechoty, jak też oddziałów współpracujących z nią w wojnie 1939 r. o nawiązanie kontaktu i nadsyłanie im informacji o działaniu tej dywizji.

Kilka lat temu na łamach tygodnika harcerskiego „Motywy” ukazał się list o podobnej treści, który jednak nie dał pożądanego rezultatu. Był to również apel harcerzy ze Złoczewa. Rozpoczęli oni akcję „bohater”, która miała doprowadzić do przyjęcia przez złoczewski hufiec imienia 10 Dywizji Piechoty Armii „Łódź”.

W roku 1939, jako członek 8 LDH im. Adama Mickiewicza brałem udział w Wojennym Pogotowiu Harcerzy. Drużyna nasza miała za zadanie zapożyczanie zgłaszających się do koszar rezerwistów w napej (herbatę i kawę). Miejsmem naszej działalności były tereny koszar 10 Kaniowskiego Pułku Artylerii Lekkiej przy ul. Jerzego. Było to w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. Pamiętam to doskonale. W szkole powszechnej (obecnie już nie istniejącej) przy ul. 11 Listopada 47 (obecnie Obrońców Stalingradu) mobilizował się IV zapasowy batalion 28 Pułku Strzelców Kaniowskich.

Harcerze pomagali wojsku w koszarach 28 Pułku Strzelców Kaniowskich przy ul. o tej samej nazwie. 31 Pułku Strzelców Kaniowskich przy ul. 11 Listopada, 4 PAC przy ul. Żeligowskiego, a nawet 10 batalionu pancernego w Zgierz.

10 Kaniowska Dywizja Piechoty wchodziła w skład Armii „Łódź” dowodzonej przez gen. Juliusza Rómmla. Oddziały tej Armii walczyły pod Kłobuckiem (Wotyńska Brygada Kawalerii) i nad Prosną. Jednostki 10 Kaniowskiej Dywizji Piechoty walczyły na ziemiach ówczesnego województwa łódzkiego, były się o Żelaz, broniły Sieradza (31 Pułk Strzelców Kaniowskich), walczyły o Zgierz. Na cmentarzu (stary cmentarz katolicki) w Zgierzu, na kwatery poległych, znajdują się mogiły żołnierzy z 31 P. Strzelców Kaniowskich, kilka podobnych mogił jest na cmentarzu w Aleksandrowie Łódzkim. W Białej koło Zgierza znajduje się szereg grobów żołnierzy z 31 i 28 P. Strzelców Kaniowskich.

Ślady działania 10 Kaniowskiej Dywizji Piechoty napotykałem jeszcze długo po zakończeniu wojny. Gdzieś w latach sześćdziesiątych budynek dawnych koszar 28 P. Strzelców Kaniowskich zajęła Wojskowa Akademia Medyczna. Podczas remontu budynku znaleziono w ścianie proporzec 28 P. Strzelców Kaniowskich. Należał on do zwiadu konnego pułku.

Niedawno otrzymałem ze Złoczewa list zapraszający mnie na uroczystość wręczenia sztandaru tamtejszemu hufcowi. Ze względu na osobistych nie mogłem skorzystać z tego zaproszenia, ale udało mi się znaleźć kilka osób, które w czasie walk obronnych 1939 r. byli związani z 10 Kaniowską Dywizją Piechoty.

Od dłuższego czasu działam w kole ZBoWiD nr 3 im. gen. Władysława Sikorskiego Łódź-Śródmieście mieszącym się przy ul. Rewolucji 1905 roku nr 7. Rozmawiając o apelu hufca w Złoczewie dotarłem do ludzi, którzy pamiętają jeszcze walki dywizji nad Wartą i obronę Sieradza oraz działania odwrotowe nad Wisłą. Niestety, nie wszystkich ich dałoby się obecnie namówić do spisania swoich relacji.

Ala mam pomysł. Czy harcerze ze Złoczewa nie chcieliby się skontaktować z naszym kole ZBoWiD-u (najprościej listownie), w którym mogliby uzyskać interesujące ich informacje? Zbieramy się w kole w każdy poniedziałek i środę w godz. 16—18.

Nasz adres:
Kole ZBoWiD nr 1 im. gen. Władysława Sikorskiego
ul. Rewolucji 1905 r. nr 7.

MIECZYSLAW KOZAK

NIE TYLKO W WARSZAWIE

7 maja 1988 r. (sobota) w Teatrze Wielkim w Łodzi miałem zaszczyt obejrzeć kolejną (dla mnie 113) premierę. Było to „Wesele Figara” Mozarta. Z uwagą przeczytałem wszystkie recenzje zamieszczone na łamach „Głosu Robotniczego”, „Dziennika Łódzkiego” i „Odgłosów” na temat tej opery, i o dziwo ze wszystkimi się zgadzam. Zgadzałem się nawet w pełni z recenzją Anny Izykowskiej-Mironowicz, zamieszczonej w „Głosie Robotniczym”. Zawsze do tej pory byłem generalnie przeciwnikiem pisanych przez nią recenzji.

Jakże ogromne było moje zdziwienie, kiedy na łamach „Rzeczypospolitej” (nr 112 (1943) z 14 i 15 maja 1988 r.) przeczytałem re-

cenzie Jacka Marczyńskiego. Zaskoczenie moje było tym pełniejsze, że warszawska gazeta (o zasięgu krajowym) wyciągała uwagę premierę „na prowincji”, tj. w Teatrze Wielkim w Łodzi. Zawsze widzi się przede wszystkim premierę w Teatrze Wielkim w Warszawie, a zdaniem całej prasy warszawskiej „monopol” na dobre wystawienie opery ma jedynie dyrektor Robert Satanowski.

No i co się okazało? Okazało się oczywiście, że wystawione w Teatrze Wielkim w Łodzi „Wesele Figara” warszawskiemu dziennikarzowi się nie podobalo. Generalny zarzut to fakt, że „ta premiera powinna być dozwolona tylko dla ludzi z poczuciem humoru”. Zatem zdaniem Jacka Marczyńskiego należy operę „odprawić”, „celebrować” lub koniecznie „wystawić na serio”, tak jak to czyni Teatr Wielki w Warszawie. Od czasu do czasu bywałem w tym teatrze na przedstawieniach i za każdym razem ze sceny wieje nudą — tak to wszystko jest celebrowane, odprawiane i wystawiane.

Wydaje mi się, że fakt wystawienia tej opery w Łodzi „wyłącznie dla ludzi z poczuciem humoru” jest komplementem nie tyle jakim. Poczulem się inteligentniejszy.

Następnym zarzutem był fakt, że „przede wszystkim umieć zachować proporcję między inscenizacją a muzyczną interpretacją. W Łodzi zdecydowanie zwyciężył teatr”.

I bardzo dobrze. Wydaje mi się, że w końcu XX wieku wystawianie opery w sposób „celebrowany” zgodnie z didaskaliai podanymi przez kompozytora dla naszej wykształconej publiczności byłoby co najmniej nietaktowne. Nadszedł czas odkurzenia oper, nadszedł czas na wystawianie ich w sposób nowoczesny. A tym, kto potrafił to dobrze zrobić, jest bez wątpliwości Adam Hanuszkiewicz.

Uwagi Jacka Marczyńskiego na temat pomysłu powierzenia roli Cherubina wspaniałemu kontratenorowi Piotrowi Lykowskiewiczowi zadziwiły mnie. Jacek Marczyński daje dobre rady dyrekcji Teatru Wielkiego w Łodzi:

„Mając bowiem u zespołu artystę tak ogromnie muzycznego o unikalnych warunkach głosowych trzeba raczej troszczyć się o wykonywanie wszystkich jego utworów w odpowiednim repertuarze, niż skazywać go na ryzykowne eksperymenty”.

Moim zdaniem rola Cherubina w „Weselu Figara” jest wprost wymarzoną dla niego. Chodził przypuszczalnie o to, że w Łodzi, pierwszy raz od premiery tej opery, osmielono się zaangażować do roli Cherubina chłopca a nie śpiewaczkę z altu.

JERZY BANASIŃSKI

OD REDAKCJI: List drukujemy, gdyż Jerzy Banasiński ma prawo wyrazić swój pogląd na temat potrzeby nowoczesnego wystawiania oper. Ale musimy zastrzec, że nigdzie nie jest powiedziane — i dobrze, że tak jest — że wszyscy krytycy muszą albo jednogłośnie wyrażać zachwyt, albo potępienie czy sprzeciw. Z jednej bowiem strony gromko wołamy o pluralizm, a z drugiej dziwi nas i oburza, że ktoś ma inne zdanie, choćby na temat inscenizacji „Wesela Figara” Wolfganga Amadeusza Mozarta wystawionej w Łodzi przez Adama Hanuszkiewicza.

PGM WYJAŚNIA

W nawiązaniu do pisma z 11.04.1988 r. znak: DS-3a/12/88 informujemy, iż analizując szczegółowo załączone w piśmie Zarządu Dzielnicy podjęliśmy następujące decyzje:

— wymiana podłogi w pierwszym pomieszczeniu nastąpi do 30.09.88.
— ekspertyza pieca kaflowego dokona zdum i w wyniku zakwalifikowania urządzenia do przebudowy, prace zostaną wykonane przed rozpoczęciem sezonu grzewczego.

— PGM wystosował pismo znak: MB-4/300/88 z dn. 16.03.88 do instytucji zajmującej pomieszczenia nad lokalem Obywatela o utrzymaniu drożności podejść kanalizacyjnych.

Do dnia dzisiejszego brak jest zgłoszeń o zalaniu lokalu.

mgr WOJCIECH SZMIDT
dyrektor (PGM Łódź-Śródmieście)

LAUREACI KONKURSU RSTK

Kolejny Ogólnopolski Konkurs Literacki Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi, zorganizowany wraz z Dzielnicy Domem Kultury Śródmieście i Miedzynakadowym Ośrodkiem Kultury Robotniczej rozstrzygnięto.

Jury, któremu przewodniczył dr Henryk Pustkowski nagrodziło autorów.

W dziale poezji otrzymali nagrody:

1. Józef Bulatowicz z Wyszkiwa, woj. warszawskie,
 2. Władysław Kopka z Sieradza,
 3. Krystyna Paszek ze Szczecina
- i równorzędne wyróżnienia — Lech Ertel z Olsztyna, Rafał Jaworski ze Sławkowa, woj. katowickie, Zbigniew Kleczek ze Starachowic.

W dziale opowiadań zdobyli nagrody:

1. Andrzej Gruszczyński z Wołowa, woj. wrocławskie,
 2. Janusz Bartłewicz z Łodzi,
 3. Władysław Kopka z Sieradza
- i równorzędne wyróżnienia — Władysław Gołębiowski z Kielc, Anna Romanowicz z Białegostoku, Maria Szczepna z Lublina i Andrzej Włodarczyk z Łodzi.

W dziale reportażu zostali uhonorowani nagrodami:

1. Augustyn Baran z miejscowości Izdebnki, woj. kroszeńskie,
 2. Mikołaj Pawłowicz z Łodzi,
 3. Lucjan Zuzia z Krakowa
- i równorzędnymi wyróżnieniami — Kazimierz Jankowski i Krystyna Jarońska — z Gorzowa Wielkopolskiego.

W dziale satyry nagrodzeni zostali:

1. Jerzy Baykowski z Łodzi,
 2. Janusz Bartłewicz z Łodzi,
 3. Tadeusz Charnuszko z Suwałk,
 4. Władysław Gołębiowski z Kielc
- i równorzędne wyróżnienia otrzymali — Jan Stanisław Lipiński z Krosna, Ryszard Rejnowski ze Szczecina i Władysław Włodarczyk z Łodzi.

INFORMUJEMY O KONKURSIE

KONKURS „RES PUBLIKI”

Ogłaszamy konkurs otwarty na tekst dokumentalny, który byłby świadectwem naszego czasu. Objętość, temat i forma — dowolne. Może to zatem być reportaż, dziennik, zestaw listów, dokumentów lub relacja.

Interesuje nas wszystko, co daje obraz naszej sytuacji. Tekst

może również dotyczyć przeszłości, jeśli jest świadectwem spraw lub wydarzeń mających istotny wpływ na współczesność. Do konkursu zapraszamy również Polaków mieszkających za granicą. Autorzy mogą zastrzec sobie anonimowość. Nadesłanych tekstów nie zwracamy. Przewidujemy przyznanie od trzech do sześciu wyróżnień na łączną sumę trzystu tysięcy złotych. Wyróżnienia przysługują jury w składzie: Tomasz Jastrun, Damian Kalbarczyk, Krystyna Kersten, Hanna Krall, Barbara N. Lapińska, Tomasz Łubiński.

Prace prosimy nadsyłać w terminie do 1 października 1988 roku pod adresem: Res Publica, skrytka pocztowa 856, 00-950 Warszawa 1.

Niezależnie od przyznanych wyróżnień, najciekawsze prace opublikujemy w naszym piśmie i będziemy je honorować wedle przyjętych stawek.

REDAKCJA

Ulica Piotrkowska

Piotrkowska jest najdłuższą, bo ponad cztery i pół kilometra liczącą ulicą Łodzi. Od tej ulicy wzięła swój początek Łódź, jako miasto przemysłowe. Była żywym obrazem najważniejszych wydarzeń, jakie miały miejsce w XIX i XX w.

Poza okresem okupacji hitlerowskiej ulica Piotrkowska nigdy nie zmieniła swojej nazwy. Kiedy powstało miasto i zaczęło się rozwijać z północy na południe, zwłaszcza w okresie XIX w., ulica ta nabrała charakteru traktu, który wiodł stąd do Piotrkowa i Żgierza.

Początek ulicy Piotrkowskiej sięga 1821 r. W tym czasie bowiem Łódź została włączona do planu uprzemysłowienia Królestwa Polskiego, a w dwa lata później, tam, gdzie dziś ulica Nowomiejska, umieszczono pierwszy słup z napisem: „Ulica Piotrkowska”. Po obu stronach traktu między Łódką i Jasienią założono pierwsze osady przemysłowe, które w 1824 r. zaczęto załudniać przybyłymi tkaczami. W latach 1825–1826 wybudowano kosztowny rząd Królestwa Polskiego kilkadziesiąt domów parteryowych, drewnianych i murowanych, położonych między ulicami: Główną i Emilii (dzisiejsza ulica 8 Marca). Później zaczęto budować domy prywatne, parterowe.

„Jak Piotrkowska długa — wspominał Zygmunt Manilius w pamiętniku „Łódź przed stu laty” („Giewont” — 1928, nr 3) — ze wszystkich domków, okien, drzwi dołatywał charakterystyczny (...) klekot i stuk tysięcy warsztatów. Bocznymi ulic wówczas wcale nie było, poza kilku w pole wiodącymi uliczkami w stronę Starego Miasta i Rynku, i to nie zabudowanych, a dobrze (...) piotem ogrodzone. Z Piotrkowskiej, w lewo czy w prawo, zaraz tuż za domkiem Majstrów Tkackich, dziś róg Przejazdu i Piotrkowskiej, kończył się bruk i ciągnęła dalej zwykła szosa, a ścieżki, zastępujące chodniki, odgródzone były od jezdni głębokim i szerokim rowem. Gdzie indziej kościół św. Jana (przy ulicy E-

wangelickiej, dziś Roosevelta i Sienkiewicza), w krąg jak okiem sięgnąć do Główniej, dość gęsto już co prawda zabudowanej, ciągnęły się uprawne pola i jakże często, pomnę, przemierzalem całe dzienne na przelaz wśród kłoniących się i rozszumiałych łanów zboża”.

Ulica Piotrkowska nie była wówczas dzielnicą handlową. Jeszcze w połowie XIX wieku skupiał się przeważnie na Starym Mieście, przy ul. Nowomiejskiej i częściowo na odcinku Piotrkowskiej, od Nowego Rynku do ulicy Dzielnej (dziś Gabriela Narutowicza). Dopiero od drugiej połowy XIX w. zaczęły powstawać tu pierwsze sklepy.

Pierwsze fabryki powstały na południowym krańcu ulicy Piotrkowskiej, w pobliżu Głównego Rynku (dziś placu Władysława Reymonta). W 1876 r. znajdowało się już w tej części miasta kilkanaście nowo wybudowanych zakładów przemysłowych.

Obok fabryk powstawały pierwsze budynki użyteczności publicznej, jak szpital miejski (1845), gdzie dziś mieści się seminarium duchowne, łódzkie księgarnie (1859), teatr w „Paradyżu”, teatr „Victoria” przy ulicy Piotrkowskiej 87 (1877 — dziś kino „Polonia”), trzy hotele: „Polski” przy Piotrkowskiej 3 (1859), hotel przy teatrze „Victoria” i „Grand-Hotel” przy Piotrkowskiej 72. W 1886 r. Łódź została połączona z koleją warszawsko-wiedeńską.

Od połowy lat 70., w północnej części ulicy Piotrkowskiej, zaczęto budować jedno- i wielopiętrowe domy mieszkalne, kamienice czynszowe, przeznaczone głównie dla zamożnej części mieszkańców, kupców, lekarzy, inżynierów. Południowa część ulicy Piotrkowskiej w dalszym ciągu charakteryzowała się zabudową parterową, często nawet drewnianą.

Nie ustrzegła się ulica Piotrkowska od silnych kontrastów, uderzających zwłaszcza przybyłych tu z innych miast kraju i zagranicy obcych przybyszów:

„Najważniejszą ulicą w mieście jest Piotrkowska, ciągnąca się z biegiem szosy. Tu najwspanialsze gmachy, najwykwintniejsze sklepy, najbogatsze sklepy znalazły pomieszczenie. Ma ona dziwny, charakter bogactwa zmieszany z ubóstwem: obok wzniosłych pałaców, zdobnych w marmury i lustrzane szyby, stoją małe, parterowe, papę kryte chałupki z małymi sklepikami...”

Przy ulicy Piotrkowskiej zachowało się wiele budynków zabytkowych. Są związane przede wszystkim z rozwojem Łodzi jako miasta przemysłowego. Przy tej właśnie ulicy na placu Wolności powstał w 1827 roku ratusz klasycystyczny, gdzie dziś mieści się Archiwum Miasta Łodzi. Te zabudowę od placu Wolności do ul. Gabriela Narutowicza cechuje architektura klasycy-

styczna, zaś od ulicy Nawrot w kierunku południowym do dawnej ul. Główniej występuje styl secesyjny. Z takim zjawiskiem nie spotykamy się w innych miastach. Wprawdzie Warszawa i Poznań posiadają zabudowę secesyjną, ale nie jest ona tak oryginalna, jak łódzka. Przy tej okazji warto wspomnieć, iż Łódź będąca większym skupiskiem zabudowy secesyjnej, nie posiada muzeum secesji. Posiada je natomiast Płock, którego zabudowa nie ma nic wspólnego z secesją.

Ulica Piotrkowska była widowiskiem wielu wydarzeń. Odbływały się tu demonstracje żałog fabrycznych, w latach bezrobocia w 1861 r., buntu łódzkiego w 1892 r., rewolucji 1905–1906 r. Miały też miejsce na tej ulicy żywiołowe manifestacje polityczne i narodowe. W latach międzywojennych corocznie w dniu święta 1 Maja maszerowały ulicą wielotysięczne czesze robotników z czerwonymi sztandarami, protestując przeciwko uciskowi fabrykantów i domagając się należnych praw.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI



**Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70**

Na twój telefon czekają redaktorzy:

**9 czerwca — TERESA JERZYKOWSKA —
godz. 10—16.
16 czerwca — JERZY KWIECIŃSKI —
godz. 10—16.**

Ruchome obrazy

Smutna opowieść o zabijaniu

Jak donosi wszechwładny „Przegląd Tygodniowy” w swojej kronice towarzyskiej, aktor grający głównego bohatera filmu Krzysztofa Kieślowskiego pt. „Krótki film o zabijaniu” student IV r. wrocławskiej szkoły teatralnej Mirosław Baka „udzielił na festiwalu w Cannes kilkunastu wywiadów (w tym jeden po angielsku), a o 4 nad ranem rozdawał autografy, bo — nadmierne wrażenie nie mogło znieść. Największe jednak zaskoczenie przeżył po powrocie do Polski, bo w relacjach z festiwalu nie było ani słowa o sensacjach i emocjach, jakie film tam wywołał”.

Spróbujmy nadrobić choćby tylko w niewielkim stopniu słuszenie wytykane zaniedbania w tej materii kolegów po piórze akredytowanych na canneńskiej imprezie i napiszmy, że się wcale nie dziwny szumowi, jaki dzieło Krzysztofa Kieślowskiego wywołało (czego dowodem najbardziej dobitnym było przyznanie go w wielu latach przerwy szaleńczej cenie, drugiej co do ważności nagrody jury). Bo prawda jest taka: można uznać obraz Krzysztofa Kieślowskiego za dzieło niezwykłe, do czego przychylił się ośrodek, a można za „tylko” kontrowersyjne, ale nie można przejść obok niego obojętnie. Dawno nie mieliśmy w naszej kinematografii filmu, który po prostu poraża. Taka jest bowiem waga sprawy będącej przedmiotem zainteresowania reżysera i taki sposób realizacji — aż nieprawdopodobnie prosty, ograniczający środki wyrazu tylko do naprawdę niezbędnych, wręcz ascetyczny. Ale wywołujący ogromne wrażenie. I choć nie sądzę, by miliony widzów obejrzały ten utwór, choć na to zasługują, trzeba będzie o nim w dziejach naszego kina pamiętać i tyle na początek.

W „Krótkim filmie o zabijaniu” mamy opis właściwie tylko jednej „sprawy”. Młody człowiek zabija taksówkarza, aby jego samochodem przejechać na spacer dziewczynę. W wyniku procesu sądowego skazany na karę śmierci i wyrok zostaje wykonany. To wszystko Rzecznik jednak w tym, iż Krzysztof Kieślowski przedstawił problem, który na ogół byłby jedynie przedmiotem publicystycznych dywagacji: kara śmierci, jako wielce dyskusyjny, wywołujący u jednych sprzeciw, a u innych akceptację sposób postępowania społeczeństwa z jednostką popełniającą najbardziej niehumanitarny czyn. On sam jest przeciwny. I to jakby na przekór materii filmowej, która krok po kroku udowadnia, iż zabójca działał w sposób świadomy (choć jest tzw. osobnikiem prymitywnym), z góry zaplanowany, a więc podlegający najbardziej ostremu wymiarowi kary.

Przekazując opis zdarzenia, od jego samego początku aż do finału będącego rozprawieniem się z zabójcą, Kieślowski osiąga tu efekt zaskoczenia. Mimo że bowiem dosłownie nas poraża (celowo używam drugiego tego samego określenia) mentalność bohatera, jego metodyczne działanie, wychodzący z kina będąc przekonani, iż nie należy karać śmiercią za śmierć. Mimo przedstawionego obrazu zabójstwa.

Jednocześnie mamy świadomość, że ten film w jego warstwie fabularnej, zdarzeniowej nie przypomina absolutnie niczego, co do tej pory na ekranach oglądaliśmy. Rezygnuje więc przede wszystkim z „sensacyjności” jako czynnika budującego dramaturgię, unika epatowania „strasznością” procesu zadawania śmierci, wręcz — co jest niesłychanie ważne — odbiera czynności mordowania i umierania jej wymiar „egzystencjalny”, poetycki. To, co się dzieje na ekranie jest raczej „technologia” niż „sztuka”, odarte z nimbu niezwykłości czy też mitycznej wielkości znaczyć ma tylko to, co zamierzył reżyser — zadawanie śmierci człowiekowi przez drugiego człowieka. I w przedstawianiu poszczególnych „ogniów” tego procesu Krzysztof Kieślowski posługuje się warsztatem dokumentalisty. Oczywiście świetnego, znającego wagę każdego elementu budowanej sceny i pamiętającego, iż „mistrz poznać po ograniczeniu”.

Ale przecież, choć kluczowa jest w tym filmie znakomicie zrealizowana, z naturalistyczną dokładnością, sekwencja zadawania śmierci, wszystko, co prowadzi do niej jest równie istotne. Krzysztof Kieślowski pokazuje bowiem trzy równoległe wątki, przeplatające się krótkimi urywkami scenami, a każdy z nich poświęcony jest innej postaci. Mamy w tym ujęciu do czynienia z trzema bohaterami — młodym adwokatem, który nie mogąc uchylić kary śmierci przeżywa potężny wstrząs (prowadząc sprawę młodego zabójcy), taksówkarzem, którego dosięgnie ręka przestępcy, wręczając jego samego. Materiał zawarty w tych krótkich migawkach pozwala złożyć się w sugestywną całość znaczeniową i artystyczną. Każda z tych trzech postaci jest, choć skrótkowo, zarysowana w wizerunku psychologicznym, każda obdarzona określoną mentalnością i ma swój mniej lub bardziej przeciętny życiorys.

Trudno się przy tym dziwić, że najciekawiej, gdybyśmy próbowali wartościować w kategoriach moralnych i najpełniej jest „obrysowana” sylwetka adwokata. Stanowi ona jakby alter ego reżysera, formując jego ostry protest przeciwko

zabijaniu jako karze śmierci. Prezentując tę postać od egzaminu uprawniającego do prowadzenia takich spraw i pozwalającego określić jego stosunek do tzw. wartości podstawowych (w tym roli prawnika w życiu społecznym) aż do momentu tuż po wykonaniu wyroku, Krzysztof Kieślowski zawiera w niej pewne humanistyczne uogólnienia. Zdumiewające jest natomiast, to, iż choć postać młodego zabójcy jest — w swoim prymitywnym myśleniu i działaniu — odrzucająca, dzięki wyposażeniu jej także w coś w rodzaju emocji (stosunek do kochanej, a zabitej po pijanemu przez przyjaciela dwunastoletniej siostry, zachwyt dla młodej pomocnicy sprzedawcy, dla której przyjechał skradzionym przed chwilą po zabójstwie wozem itd.), wywołuje u widza rodzaj współczucia w chwili wykonywania wyroku. Choć może nawet nie — ta postać jest traktowana instrumentalnie przez reżysera, natomiast oddziałuje klimatem ta straszna niezwykłość sceny. Jak już powiedziałam wcześniej Krzysztof Kieślowski świadomie prezentuje w tych sekwencjach coś w rodzaju „technologii” i ten: pozorny chłodny obiektywizm, odcienie z wielkością, robi wrażenie wstrząsające.

Tak więc pełny sukces filmu. Ale złożyły się na to jeszcze inne czynniki — przede wszystkim bardzo precyzyjny scenariusz współautorstwa reżysera, świetna realizacja przominająca na każdym kroku, iż podpisuje się pod nią wybitny dokumentalista (prawda szczegółu), specjalnie przygotowana, fotografia rezygnująca z widowiskowości, ograniczająca celowo w pewien sposób pole widzenia (Sławomir Idziak), zwięzłość opowiadania i wręcz aktorstwo. W trzech głównych rolach obsadzeni zostali: bezbłędny w typie psychofizycznym Mirosław Baka, jako zabójca, znakomicie z nim skonstruowany adwokat (subtelny Krzysztof Globisz) i wręcz Jan Tesarz jako taksówkarz.

Po obejrzeniu tego filmu solidaryzuję się z „Przeglądem Tygodniowym”, rzeczywiście szkoda, iż koledy nie opisali emocji i wrażeń, jakie ten film wywołał w Cannes. Wierzę, że tak było.

MALGORZATA KARBOWIAK

CENTRALNA SKŁADNICA HARCERSKA

Oddział w Łodzi, ul. Roosevelta nr 7

ogłasza

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż

SAMOCCHODU MARKI NYSA TOWOS.

o lukoji 1978, nr silnika 2151254 — stopień zużycia 63 proc. — cena wywoławcza 325.000, — zł

ORAZ

ZUK A 114

rok produkcji 1974, nr silnika 950758, stopień zużycia 60 proc.

Wad. um. w. wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić w przeddzień przetargu w kasie przedsiębiorstwa.

Przetarg odbędzie się dnia 23 czerwca 1988 r. o godz. 11 na terenie ul. Sienkiewicza nr 73/77 — Dz. Transportu.

Samochody można oglądać na 3 dni przed przetargiem przy ul. Sienkiewicza nr 73/77 w godz. 10—12.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, II przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 14.

Przetarg odbędzie się zgodnie z zarządzeniem min. komunikacji (MP nr 28/82, poz. 250).

Przedsiębiorstwo nie ponosi odpowiedzialności za wady ukryte, braków i osprzęcie nie uzupełniamy.

Zastrzegamy prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

1550/K

KIEROWNICTWO PRODUKCJI FILMU „P.O.R.N.O.”

POSZUKUJE

MŁODYCH KOBIET

o wyraznych udołnieniach aktorskich,

jako wykonawczyń rolę w komedii erotycznej w reżyserii Marka Kotarskiego.

Kandydatki zdecydowane na udział w śmiałych scenach wymagających strip-teasu — proszone są o zgłoszenia telefoniczne do biura filmu „Porno” w Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi, tel. 36-75-00 wew. 495; 35-13-91; 36-36-51.

Oczekujemy na poważne oferty do końca czerwca 1988 r.

3726/K

RADA PRACOWNICZA

KONKURS

NA STANOWISKO DYREKTORA

ZAKŁADÓW PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO „FEMINA”

Łódź, ul. Krzemieniecka nr 2

KANDYDACI przystępujący do konkursu, powinni spełniać następujące warunki:

- ☆ wykształcenie wyższe ekonomiczne lub prawnicze
- ☆ staż pracy minimum 8 lat, w tym 4 lata na stanowiskach kierowniczych
- ☆ wiek do 50 lat
- ☆ dobry stan zdrowia
- ☆ miejsce zamieszkania w Łodzi — okolice — bez możliwości zakwaterowania.

KANDYDACI zobowiązani są do przedstawienia następujących dokumentów:

- kwestionariusz osobowy
- odpis dyplomu
- życiorys
- świadectwo zdrowia
- opinie z dotychczasowych miejsc pracy
- 2 fotografie
- oświadczenie o stanie majątkowym.

Oferty wraz z dokumentami należy składać w przedsiębiorstwie u sekretarza rady pracowniczej, pokój 105, Zakłady Przemysłu Dzwiniarskiego „Femina”, Łódź, ul. Krzemieniecka nr 2, w terminie do 10 lipca 1988 roku.

OFERTY zostaną rozpatrzone przez komisję konkursową ustaloną zgodnie z art. 39 ustawy z dnia 25 września 1981 r. o przedsiębiorstwach państwowych.

3730/K

Ta książka już dawno powinna być na księgarskich półkach. Ba! Nawet powinno jej już nie być. Bo to, że została wydana w ciągu jednego dnia, nie ulega wątpliwości. Niestety, nasze wydawnictwa nie są na tyle szybkie, co w konsekwencji powoduje, że pieniądze przechodzą im koło nosa. W tym wypadku szybszy okazał się obieg, w którym niedawno ukazała się powieść Witolda Gombrowicza „Opętani”.

Ludwik B. Grzeniewski odnalazł, i w roku 1986 wydrukował w „Argumentach” trzy ostatnie odcinki powieści. W ten sposób uzyskaliśmy całość tej jednej z najbardziej dziwnych książek autora „Kosmosu”. Książka ta tak jest inna, tak nie pasuje do reszty twórczości Witolda Gombrowicza, że krytycy nie bardzo wiedzą, co z tym fantem zrobić. Ale po kolei... na początek kilka niezbędnych informacji: przed wojną powieść drukowana była w dwóch dziennikach, „Dobrym Wieczorze” — „Kurierze Czerwonym” i w „Expressie Porannym”. Najpełniejszy tekst „Opętanych” ukazał się w 10 tomie (Varia) dzieł W. Gombrowicza wydanych w Paryżu i kończy się na odcinku 88 z 30 sierpnia 1939 roku. Wydawało się, że wojna przerwała druk dalszych odcinków i aż do dnia dzisiejszego uważało się, że niedokończona. Tymczasem, jak się okazało, gazety wychodziły jeszcze przez jakiś czas i praca została doprowadzona do końca. L. B. Grzeniewski odnalazł odcinek 89, 90 i 91, pod którym widniało słowo „koniec”, a owa ostatnia część ukazała się 3 września 1939 roku.

Użyłem na początku określenia „dziwna” powieść, bo też w perspektywie całej twórczości W. Gombrowicza trudno ją unieść. Bardziej by pasowała do przedwojennej groźkowej literatury brukowej niż do „Kosmosu” czy „Ferdurke”, niemniej jednak jakoś w tej twórczości trzeba ją umieścić, bo to przecież nie napisał ktoś inny, a właśnie Witold Gombrowicz. Nie załatwia sprawy fakt, że pisał ją pod pseudonimem i nigdy potem do tego swojego pisania się nie przyznawał. W latach siedemdziesiątych, po ukazaniu się paryskiego wydania dzieł W.

Spory nie tylko literackie

Przewrotny pomysł Witolda Gombrowicza

Gombrowicza powstał spór dotyczący „Opętanych”. Oponentami byli z jednej strony Jerzy Jarzębski, autor wnikliwej pracy pt. „Gra w Gombrowicza”, z drugiej zaś Maria Janion. Jerzy Jarzębski twierdził, że powieść należy zdecydowanie odrzucić od całej twórczości Witolda Gombrowicza, że jest to li tylko brukowa literatura i nic więcej. Co prawda przyznawał, że znajduje się w niej wątek, który później rozbudowane pojawiają się w dalszej pracy pisarza, ale są to tylko drobne sprawy, które rozciągają się w akcji całej powieści zbudowanej, według Jarzębskiego, bardzo niekonsekwentnie pod względem tak ważnej dla autora „Ferdurke” formy.

Najistotniejsze bodaj podobieństwo — przede wszystkim z „Pornografią”, ale nie tylko — to pociąg wysoko urodzonej panny do Leszczyka, człowieka wywodzącego się z gminy, a więc tak charakterystyczny dla Witolda Gombrowicza pęd do niższości. Cały swój wywód Jerzy Jarzębski konkluduje jednak w ten sposób: „Opętani” nigdy oczywiście nie będą zaliczać się do zasadniczego nurtu twórczości pisarza...”. I właśnie to — nie jest wcale takie pewne, Maria Janion twierdzi coś zupełnie przeciwnego. Poświęca nawet tej powieści w pracy pt. „Gorączka romantyczna” osobny, obszerny szkic, w którym „Opętanych” nazwała pierwszą polską powieścią gotycką, powieścią, która odwarza w naszej literaturze nie istniejące ognio gotyckie.

A w innym artykule drukowanym w „Twórczości” (tekst ten był dalszym ciągiem polemiki prowadzonej z Jerzy Jarzębskim) napisała:

„W wypadku „Opętanych” mamy do czynienia z wielostopniowym niejako schodzeniem w niższość — przez tematykę, procedurę pisarską, druk w popularnej gazecie”.

Krótko mówiąc, można powiedzieć, że w powieści tej nastąpiło totalne zejście w niższość. I jeśli przyjmiemy, że Witold Gombrowicz pisał tę książkę z premedytacją, to rzeczywiście trzeba by na owe dzieło popatrzyć zupełnie inaczej, bo przecież byłby to w jego piśmiennictwie przykład, że literatury nie można dzielić na dobrą i złą, czy, jak to określał sam pisarz, na „lepszą” i „gorszą” i dlatego „Opętani” mogliby stanowić próbę realizacji w praktyce tego poglądu.

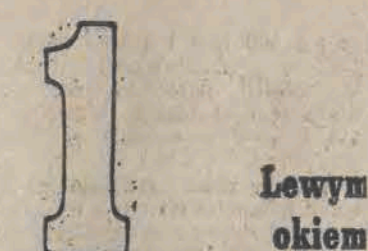
Z kolei, Joanna Siedlecka w książce pt. „Jasniepanicz” przytacza wspomnienia Eryka Lipińskiego, który uważał, że „Opętanych” Witold Gombrowicz pisał dla pieniędzy i dla żartu; mówi nawet o tym, że poszczególne odcinki powstawały z tygodnia na tydzień i autor jakoby zapominał, co działo się w poprzednich, więc przyjaciele z „Zodiaku” musieli mu je przypominać. Przeczyłem też relację fakt, że trzy ostatnie części były jednak w redakcji zastawione, gdzie tu więc pisanie z odcinka na odcinek.

Nie dowiemy się jak z tą powieścią było naprawdę, jak była pisana i dlaczego została napisana. Krytycy na pewno będą toczyli o nią boje, co nie przeszkadza, że jest ona, jak to określili Ludwik B. Grzeniewski, „najbardziej atrakcyjna czytelnice ze wszystkich powieści Gombrowicza”. I trzeba powiedzieć, że przeczytawszy książkę czyta się świetnie; ta niesamowita miłość, stary zamek, w którym mieszka zwirowany arystokrata, czarny charakter, jasnowidz i tajemniczy, straszny rzeźnik, a do tego książka napisana jest z dużym, jak to się mówi, nerwem, niezbędnym w tego rodzaju literaturze. I dla wyczerpienia czy dla rozrywki przeczytać ją może każdy, tak intelektualista, jak i kucharka. Bo tego typu książki po prostu się czyta. I jeśli nie jest to grafomania, która po pierwszych dwóch stronach odrzuca, nie wydaje mi się, że po taką literaturę sięga od czasu do czasu niedołężny intelektualista, taką nie wszyscy później się do tego przyznają.

Oto przykład nam najbliższy: jak inaczej, jeśli nie „brukowcem” można nazwać drukowane przez bądź co bądź poważne czasopismo, jakim jest „Życie Literackie”, następne odcinki „Powyrotu do Eden” i „przecież przeglądając krakowski tygodnik nie omija się także „Edenu”. Nawiasem mówiąc, rozrósł się nam trochę ten początek scenariusza następnej części (takie były zapowiedzi poprzedzające druk). To już chyba przeszło dwie poprzednie części, ale niech tam, nawet jeśli kolejne odcinki nie powstają już w dalekiej Australii, to i tak zabawa jest przednia, i dla piszących, i dla czytelników.

A jeśli Witold Gombrowicz „Opętanymi” chciał nam udowodnić, że literatura to nie tylko poważne, majestatyczne dzieła, to udało mu się to znakomicie.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI



Na stacji w Radoszynie

Kontrola najprzeróżniejszych to my mamy do czynienia z multum. Coraz to częściej o jakimś przedsiębiorstwie czy choćby zwykłym, skromnym sklepie, ile to razy w ciągu kwartału nawiedzany był przez różne trojki, płaćki i komisje, inspekcje, po linii takiej, innej czy jeszcze innej. Pamiętam też z własnej, wieloletniej pracy w przemyśle, jak wielki procent czasu i siły urzędników, myślę, że około połowy ich czasu urzędowania, poświęcano na tworzenie dokumentacji. Musiała ona być szczelna, dokładna, nie pozostawiająca żadnych luk interpretacyjnych ani żadnych wątpliwości. Jeżeli dokumenty odpowiadały wszystkim tym wymaganiom to już na pewno wizytowana jednostka była w porządku i dalej wzrok żadnego inspektora nie próbował sięgnąć.

Jestem pewien, że dokumenty w Centrali Produktów Naftowych w Warszawie i dokumenty na stacji kolejowej w Radoszynie w wol. zielonogórskim są w absolutnym porządku. I tu i tam prowadzi się dokładne stany inwentarza, wycońia się raz na rok składniki majątkowe, porównuje konta. I tylko nigdy nie porównuje się żadnego papieru z rzeczywistością. Oto stwierdzono parę dni temu podczas jednej z wioseńskich wizytacji, że na stacji w Radoszynie stoją na bocznicy cztery wagony cysterny. Okazało się, że tam stoją od czterech lat.

Każda władza odpowiedzialna za ten stan rzeczy, przynajmniej o dreszcz grozy. Taki wagon cysterna to chyba kilka milionów złotych. Trzeba go pomnożyć przez cztery. Trzeba to pomnożyć przez — nie wiem jaką — ale na pewno poważną, liczącą tonokilometry, których te wagony przez cztery lata nie zrobiły, do tego należałoby dodać procent zniszczenia, jakie przez ten czas spowodowała rdza i inne czynniki. Dozłaziłby już chyba do dziesiątków, albo i setek milionów straty, której, jak to zazwyczaj bywa, nikomu przypisać nie będzie można.

Być może okazało się nawet, że stacja kolejowa w Radoszynie nie nadawała ani na moment swoich interesów i pobierała skrajnie postolowe od CPN, która ze swej strony skrupulatnie te opłaty uiszczala. Dokumenty po obydwóch stronach są w porządku, pieniądze krążą, nie krąży tylko nafta.

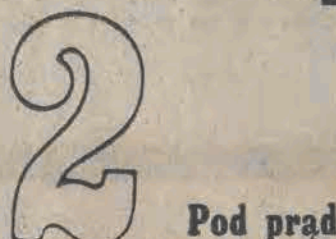
Być może, że jednocześnie CPN, w stosunku do wielu swoich klientów tłumaczy się gęsto dlaczego opóźnia się, z dostawami: opóźnia się, bo nie ma dostatecznej ilości cystern. Krąży moneta, odpowiedź, wyjaśnienia, wreszcie i także kary umowne. Ruch w interesie ogromny, tylko cysterny stoją cztery lata na bocznicy.

Bocznicy torów mamy również w kraju bardzo wiele, rzadko kiedy ktoś zagląda co się tam naprawdę dzieje. Można się obawiać, że cztery cysterny to nie jest żaden ułamek. Przecież nawet na ulicach naszych wielkich miast coraz to ktoś zauważy stojące od wielu tygodni ciężarówki. Czytamy nieraz o domach nie wykończonych, które nie wiadomo do kogo należą, o jakichś rozpoczętych i porzuconych budowach, porzuconych nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo dlaczego. Często informacje o takich przypadkach zgłaszane są nie przez żadne kontrole tylko przez zwyczajnych obywateli, zaniepokojonych tym, że tuż obok nich marnuje się jakieś miliony. Dobro. Dopiero na wzmiankę w prasie zgłasza się nagle zasferowany właściciel. Sprawa się natychmiast rozmydla, końce gina w wodzie, spokój, porządek.

Do bani z takim porządkiem! Do chranu z taką piramidą papierów, która nie tylko zaklamuje, nie tylko zastania, ale wręcz zastępuje rzeczywistość. Nie nawołuję tu bynajmniej do zastosowania kontroli, do pomnożenia ich o jeszcze dwie, trzy instytucje nadzorcze. Za-

miast tego niech uczują się wszyscy obywatele, niech nie zdarzy się tak jak w Radoszynie, gdzie przez cztery lata ludzie chodzą obok cysterny, nigdy nikt nikogo o nie nie zapytał. Wzmianka w prasie, radio czy telewizji to ostatnia dostępna nam jeszcze metoda, na razie dość skuteczna. Obywatele! — wołam ze swego, skromnego kąćka na iarnach „Odgłosów” — uczulcie się na wszystko, co dzieje się wokół nas. Na przykłady marnotrawstwa, niechlujstwa czy choćby zwykłego, organizacyjnego niedołęstwa. Inaczej zginiemy na ogromnym złomowisku, na gigantycznym śmietniku, ani się domyślając, ile tam tkwi rzeczy pożytecznych, a bezmyślnie zmarnowanych.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Przezorny zawsze ubezpieczony

Niedawno zrezygnowałem z ubezpieczenia „na życie”, które swego czasu za pośrednictwem mego pracodawcy zaoferował mi Państwowy Zakład Ubezpieczeń. Doszedłem bowiem do wniosku, że nie stanie się skórka za wyprawkę. Płacić dziś 450 złotych miesięcznie, żeby kiedyś tam ewentualnie dostać 150 tysięcy? Przy takiej inflacji — nie ma sensu. No i mam teraz święty spokój, a PZU — mniej pracy, i sadzę, że obie strony są zadowolone.

Nie wszyscy jednak mogą znaleźć się w tak luksusowej sytuacji, jak ja, a to z tej prostej przyczyny, iż niektóre ubezpieczenia są obowiązkowe. Chcesz nie chcesz — ubezpieczyć się musisz. To znaczy, musisz płacić składki ubezpieczeniowe, bo PZU wcale nie musi wyrównywać ponoszonych przez klienta strat, a w każdym razie — nie w pełnej wysokości.

Panu Ziemowitowi Z. w czasie jazdy po ulicach Łodzi zapalił się samochód — duży fiat, numer rejestracyjny LZC 2259. Przyczyna było prawdopodobnie uszkodzenie filtra paliwa. Fakt ten został oczywiście zgłoszony do PZU, które powinno pokryć poniesione straty, gdyż taka jest rola firm ubezpieczeniowych. Ale...

No, właśnie! Od tej chwili zaczęła się bliźnięta znajomość Ziemowita Z. z zakładem ubezpieczeń, znajomością, która z pewnością trudno zaliczyć do przyjemnych. Właściciel samochodu uważa, iż PZU powinno mu w całości i bez łaski zrehabilitować koszty remontu fiata, PZU zaś — że niekoniecznie i że jednak okazanie aktu łaski wobec klienta jest jak najbardziej na miejscu. Stąd też wzajemny brak sympatii. Ale — po kolei.

Przeleżany przez PZU rzeczoznawca orzekł, że po pożarze samochodu do wymiany przeznaczony jest m. in.: pompa hamulcowa, zbiornik płynu hamulcowego, kopułkę aparatu zapłonowego i regulator podciśnieniowy aparatu, które były — jak zanotował w protokole — „nadpalone”, a także przewody benzynowe, hamulcowe i szereg innych części. Do naprawy nadawały się m. in. maska silnika i furtuch boczny, zaś do sprawdzenia — gaźnik, pompa benzynowa, aparat zapłonowy i akumulator, w którym stwierdzono „brak napięcia”. Kto jednak i na czyj koszt miałby dokonać owego „sprawdzenia”? Tego Ziemowit Z. nie wiedział i nadal nie wie.

Po spisaniu protokołu i sfotografowaniu auta można było już spokojnie oddać do warsztatu naprawczego, rachunki zaś — przedstawić PZU, by zwrócić ich równowartość. I tak też Ziemowit Z. zrobił. O ile jednak naprawy kosztowały go około 60 tys. złotych (nie licząc części, które z braku w sklepach musiał kupić na bazarze, gdzie oczywiście rachunków nikt nikomu nie wystawiał), to PZU zaczął mu wzmawiać, że jako zdaniemu remont kosztuje zaledwie 43 tysiące. Jak to możliwe? —

zdumiał się kierowca fiata, który dobrze przecież pamiętał, komu i ile za co płacił. Czyżby niepotrzebnie wydał 20 tysięcy?

Nieporozumienie wyjaśniło się, gdy likwidator, czyli — mówiąc po ludzku — urzędnik pokazał Ziemowitowi Z. cennik. Pochodził on z 1987 roku i miał się tak do obecnych cen części i usług, jak pięć do nosa, gdyż od ubiegłego roku, co wie teraz każde dziecko w Polsce, wszystko przecież poważnie zdrożało. Krótko mówiąc, klient płać po nowych cenach, a PZU, jakby żyło na innej planecie, liczy mu po starych. Na pytanie: dlaczego? urzędnik wyznał rozbrajające, iż po prostu nie ma jeszcze aktualnego cennika, a na czymś przecież musi się oprzeć.

Dziwna logika, prawda? Ale niechby tak postąpił ubezpieczony! No, już by go odpowiednio służby dopadły i nie dawały, że chciał oszukać państwową instytucję!

Alle jakby było jeszcze mało, tenże sam urzędnik zakwestionował — zza biurka! — celowość i potrzebę wymiany akumulatora i aparatu zapłonowego. Nie może tego uznać — powiedział — chyba że... Chyba że postawi mu się przed oczami zużyte i wymienne części. Ziemowit Z., który dawno już wyrósł z wieku, kiedy mógł wyglądać na chłopca na posyłki, chcąc nie chcąc przyniósł wielki szanownemu panu urzędnikowi wymieniony aparat zapłonowy i położył na biurku. To wystarczyło. Akumulatora jednak dostarczyć nie mógł, bowiem aby otrzymać nowy, należy najpierw zdać stary akumulator i Ziemowit Z. go właśnie był zdał. Thumaczty to urzędnikowi, ale tamten... No, w każdym razie nie przyjął tego do wiadomości.

Nie mogąc się z nim porozumieć, Ziemowit Z. postanowił więc skorzystać z przysługującego mu prawa rozmowy z dyrektorem, który przyjmując interesantów w poniedziałki — od 8 do 14. To znaczy powinien przysłać, bo kiedy nasz pechowy kierowca zjawił się rano przed drzwiami dyrektorskiego gabinetu, dowiedział się najpierw, że dyrektor ma pilną naradę, a później — że jest bardzo zajęty i też nie może się z nim „idzieć”.

Ziemowit Z. czekał cierpliwie do godziny 12, po czym wyszedł z II Inspektoratu PZU, gdyż jest on człowiekiem na tyle oryginalnym, że pracuje w fabryce, na zmiany i „urywać się”, jak czynią to często różni urzędnicy, po prostu nie może. A w onę poniedziałek miał właśnie drugą zmianę. Dla pełnej jasności dodam, że Ziemowit Z. przyszedł do naszej redakcji nie tyle, by się poskarżyć na bezdusznych urzędników i nieaktualne cenniki, ile po to, aby zapytać, gdzie można się ubezpieczyć na wypadek przykrości, jakich może doznać przy dalszych kontaktach z PZU. No — gdzie? Może Państwo wiedzą?

JÓZEF RETMAN



Jeśli się nie opamiętam

Pod moim oknem rosną toполе. Jest to zwycięstwo zdrowego rozsądku. Kiedy, przed blisko 20 laty, budowano to osiedle nie wycięto rosnących tu drzew, które nie zaważyły budowniczym. Mogli nawet w ich cieniu rozłożyć się w letnie popołudnie i ugasić pragnienie butelką piwa. Dziś pod tymi topolami jest coś w rodzaju podwórka, boiska, placu zabaw dla małych i ich państwa. Gdy otwieram okno i słyszę gwar na tym nie wiadomo czym, bo ani to podwórko, ani boisko, ani plac zabaw, ani promenada, to wiem co nadaje telewizja i jaka jest pora roku szkolnego. Teraz, gdy zaczyna się mistrzostwa Europy w piłce nożnej na tym niby boisku będzie niewątpliwie królowała piłka nożna. Przez to niby boisko przewinęli się już młodociani naśladowcy Kazimierza Dęjny, Grzegorza Lato, Zbigniewa Bonki, Włodzimierza Smolarka. Czasem zastanawiam się, co się dzieje z tymi chłopcami, którzy

przed laty usiłowali wcielić się w znanych i podziwianych piłkarzy. Wyrosli — to niewątpliwie. Łażą pewnie teraz za dziewczynami, wieczorami może pobręczują na gitarach, a pewnie i wino marki „Wino” zdarza im się wypić. Czy o sporcie zapomnieli?

Mamy trochę sportu w telewizji, ale nie mamy sukcesów w sporcie. Naukowcy stwierdzili, że sześciolatki 44 procent swego czasu podczas różnych zajęć spędzają w pozycji siedzącej. W przedszkolu wychowanie fizyczne stoi na żałobnym poziomie, jeśli to w ogóle można nazwać poziomem. W szkole też nie jest najlepiej. Nie ma idoli sportowych, których chciałoby się naśladować, kariery których chciałoby się powtórzyć, albo i nawet przebić. Chyba, że ktoś chce „szmal” zrobić i dlatego chce się, aby został wziętym piłkarzem. Ale do tego potrzeba talentu i pracowitości. Wielu może się wydawać, że są wybrańcy, ale naprawdę powołanych do tego, aby grać na zagranicznych boiskach jest niewiele.

Zal ogarnia człowieka, gdy czyta różne wyniki badań nad stanem zdrowia młodzieży oraz dzieci. Zal ogarnia człowieka, gdy słucha tego, co ludzie mówią o wychowaniu fizycznym w szkole. Każdego roku — jak wykazują te badania — około 200 tysięcy dzieci jest pozbawionych jakichkolwiek form zorganizowanego ruchu. Biegają po podwórkach, parkach i ulicach, ale przecież nie o to chodzi. Ciż sami badacze stwierdzają, że przynajmniej 45 procent wolności z zajęć wychowania fizycznego jest nieuzasadnionych. Zwolnienie z zajęć w formie uzyskania zbyt łatwo. Wychowanie fizyczne nie stanowi ważnej pozycji w programie szkolnym, jest powszechnie lekceważone.

Teraz, gdy rady pedagogiczne dostaną wolną rękę w ustalaniu ilości godzin zajęć lekcyjnych, to może się okazać, że przede wszystkim wychowanie fizyczne padnie tego ofiary. Dlaczego tak sądzę? Z prostej przyczyny. A właściwie z dwu powodów. Po pierwsze — nie ma sal gimnastycznych, sprzętu, boisk szkolnych w takiej liczbie, jaka byłaby niezbędna dla prawidłowego rozwijania tej dyscypliny w szkolnej działalności. Po drugie — dlatego, że nie ma dostatecznej liczby nauczycieli wychowania fizycznego.

Mój znajomy opowiada mi, że czasem śni mu się taki okres z jego nauczycielskiej działalności, kiedy — na szczęście krótko — musiał w szkole uczyć wychowania fizycznego i śpiewu. Jest on humanistą z wykształcenia i zainteresowania. Znalazł się w szkole, gdzie odszedł na emeryturę zasłużony nauczyciel, który lekcje wychowania fizycznego prowadził tak, że dawał im piłkę i uczył ich grać w piłkę ręczną, zwaną wówczas, jeszcze tu i ówdzie, szczyptornikiem. Znalazł się oni na tej dyscyplinie wyjątkowo. Mój znajomy — zwolniony na podstawie z wif ze względu na poważną przebytą chorobę — nie miał o piłce ręcznej najmniejszego pojęcia. Dał im piłkę, ale cwane chłopaki zażądali, aby... im sędziował. Była to pełna kompromitacja. Gorzka nawet niż lekcje śpiewu. Wprawdzie nie miał on ani odrobiny słuchu, ale gdy klasa dała się wniebogłosy wyśpiewując jakieś harskie i wojakowe piosenki, to wszystko dało się usłyszeć.

Tak było i tak jest nadal. W jednej z łódzkich szkół zajęcia z wif prowadzi wybitny przed laty sportowiec. Cóż z tego, gdy nie ma najmniejszego pojęcia o gimnastyce niezbędnej dla chłopców i dziewcząt. A zajęcia te powinny być atrakcyjne, różnorodne, powinny przyciągać młodzież, a nie ją odpychać. Wybitny sportowiec daje młodzieży piłkę i każe im grać. W cokolwiek. Sam znika z sali gimnastycznej. Dobrze, że chociaż w szkole jest taka sala. A ile jest szkół, gdzie zajęcia prowadzi się na... korytarzu. Zimą — oczywiście — bo latem na boisku lub w parku, na łące czy gdziekolwiek. Ile jest szkół, w których ludzie, zupełnie nie przygotowani, meczą się prowadząc zajęcia z wif i — co gorzej — meczą młodzież.

Narzekamy już na ten temat od lat. Sama napisałam kilka felietonów. I oto piszę następny. Czy będzie tego jakiś skutek? Wątpię. Ale muszą powieść, że młode pokolenie jest już mocno cherlawe, a będzie jeszcze gorzej. To niewątpliwie zawąży ujemnie na naszej narodowej przyszłości. Jeśli się nie opamiętam.

BOGDA MADEJ

— Tajne przejście jest zamknięte — oświadczył Hodon głosem pełnym przerażenia. Znajdowali się na małym skrawku łąki, przylegającym do naszpikowanych ostrymi palami wałów obronnych tak stromych, że człowiek wspiąć by się po nich nie zdołał. Można teraz było z góry zrzucić na nich glazy i belki, lać gorącą wodę.

— To zdrada. Wycofajmy się — krzyknął któryś.

Ale rozświeczeni Awdaniec, który przez cały czas dźwigał swój najcięższy młot, teraz zamachnął się nim straszliwie i uderzył w drewniane odrzwia. Zrobił to raz, drugi i trzeci aż pękła deska przy skoblu. Drzwi otworzyły się na oścież i ujrzeli przed sobą czarną czelustwę biegnącą w poprzek wałów podziemnego korytarza. Jakie niebezpieczeństwo czailo się w tym mroku? Czy czekali tam już Normanowie z oszczepami, z obnażonymi mieczami?

Hodon znał tajne przejście. Wszedł w nie i namacał uchwyt, w którym tkwiła pochodnia. Potem długo krzeszał ogień aż pochodnia rozżarzyła się i dała blask. Nie było żadnej pułapki w korytarzu. Świecąc pochodnią wolno szli jeden za drugim w wąskiej sztolni zbudowanej z grubych belek. Podłoga sztolni lekko wznosiła się ku górze, zamykały ją jeszcze jedne drzwi gęsto nabijane gwoździemi. Te drzwi jednak zastali uchylone...

Piastun pchnął je gwałtownie i oto nagle znalazł się na podwórzu Gniazda. Obok były stajnie, gdyż usłyszeli rżenie koni. Pochodnia trzymana przez Hodona dawała mały krąg światła, ale byli pewni, że na podwórzu nie ma żadnych straży. O kilka kroków znajdowały się schody do ogromnego dworzyzeczka Popiołowoskich.

Nagle usłyszeli ludzkie głosy i ujrzeli dwóch wojowników z pochodniami. Towarzyszyło im trzech innych. Wszyscy kierowali się ku schodom na warty obronne.

— Normanowie zamknęli się w biesiadnej komnacie i nikt nie trzyma straży — mówił jeden z idących.

— Piją? — zapytał drugi głos.

— Jak zwykle, piją... Normanowie otrzymali więc obietnicę. Ci, którzy nadchodzili, nie byli wtajemniczeni w spisek.

— Drzwi na jeziorno zastawiam otwarte. Ktoś w nocy wyszedł z warowni i albo odpłynął tożdzą, albo uszedł wpław. Zamknąłem drzwi.

— To źle. Otworzysz je i zaczekasz. Może on powróci. Trzeba go pojąć. Ktoś szykuje zdradę...

A więc to nie Normanowie zamknęli drzwi tajnego wyjścia. Większym niebezpieczeństwem niż oni okazali się wier-ni Helgundzie Lendice.

Piastun rozkazał Hodonowi schować się z pochodnią w sztolni podziemnego korytarza. Potem wyciągnął Tyrtinga i gdy nadchodzący byli blisko, zrobił ku nim kilka kroków, uderzył ostrzem miecza i odpadła głowa w hełmie. Obok niego Awdaniec ciosami młota miażdżył pancerze i hełmy. Ktoś krzyknął rozpaczliwie, któryś zacharzał konając, wystarczyła jednak krótka chwila, aby trzydziestu wojowników posiekano na kawałki tych pięciu, co nie należeli do spisku.

W blasku pochodni czekali, czy ktoś nie odpowie na krzyk umierających, lecz odezwano się tylko głośnie gaganie z pobliskiej szopy. Potem zaś do ich uszu doszedł szmer ludzkich kroków z głębi ciemnej sztolni pod wałami. Po chwili pojawiło się na podwórzu jeszcze dwudziestu Lestków prowadzonych przez Kuia. Tak więc Piastun nikogo nie wtajemniczył w swój plan, przyprowadził ze sobą jeszcze jedną grupę wojowników.

— Nie zaufałeś mi, panie — powiedział Hodon.

— Najtrudniej jest zdradzić pierwszy raz — odparł Piastun.

— Zdradziłem Helgundę, ale nie ciebie...

— Teraz o tym wiem. I zostaniesz nagrodzony.

Piastun rozkazał Kulowi i jego wojownikom obsadzić warty warowni. Awdaniecowi zaś rozkazał młotem drzwi dworzyzeczka. Hodon wskazał miejsce, gdzie leżały pochodnie. Zapalił je. Wtedy Dago w lewej ręce trzymając pochodnię, a w prawej obnażonego Tyrtinga, ruszył pierwszy przez wielką sień dworzyzeczka.

— Ty i Awdaniec — rozkazał Hodonowi — macie trzymać straż przy drzwiach sali,

gdzie zamknęli się Normanowie. Hodonie, powiedz im przez drzwi, że dotrzymam przysięgi. Będą wolni. Obsypię ich złotem. Wezmę ich na swoją służbę. Zachowam życie Helgundy i Aslaka.

Dziwna i zarazem przerażająca cisza zalegała w całym dworzyzeczku. Stłumione głosy dochodziły tylko z parteru, gdzie w sali biesiadnej zamknęli się Normanowie. W sieniach i korytarzach płonęły kaganki steatytowe, ale nie było żadnej straży. Dwór zdawał się być wymarły i opustoszały. Jedynym dźwiękiem były kroki Dagona i jego żołnierzy.

Dago wiedział od Hodona, która komnata należy do Helgundy. Na podłodze zobaczył śpiącą na słomie jakąś karlicę. Jednym kopnięciem usunął ją sprzed drzwi i potem je otworzył.

— Przyszedłem, pani, aby dać ci wolność i życie — oświadczył i w dzbanie z wodą zagasił swoją pochodnię, gdyż w

— Odejdź precz! — zawołała Dago doznał dziwnego uczucia. Oto przez krótką chwilę widok tej kobiety jak gdyby go sparaliżował. Nie czuł swojego ciała, swoich rąk i nóg. Był w tyłu miastach, ale nigdy dotąd nie widział tak pięknej kobiety. Od wielu dni nie zaspokoili swojego pożądania, a ten jej obronny gest jeszcze go bardziej podniecił. Jedwabna koszula niemal oblepiała ciało Helgundy — wszystko było tak wyraźne, kragle, tym wspaniałe, że jeszcze nie obnażone i przez to pobudzające wyobraźnię.

Zrobił krok ku niej, a wtedy ona cofnęła się i chwyciła nóż spod poduszki na łożu.

Usłyszał za drzwiami łomot i głosy. Odwrócił się, otworzył drzwi i zobaczył, że na korytarzu dwóch jego wojowników szarpie się z karlicą o bardzo ładnej twarzy.

— Ona chce ciebie, panie — powiedział mu jeden z żołnierzy.

ce się pod nim i oporne nagie ciało o oszałamiającej woni wschodnich pachnideł, rozbudzało w nim rozkosz niewolnictwa i gwałtu, a także słodką przyjemność walki.

A kiedy wreszcie mocno rozsunął kolanami jej uda i wszedł w nią gwałtownym pchnięciem — stało się coś dziwnego. Oto otrzymał dar zwycięstwa, powolną niewolnicę, która zaplotała mu dlonie na karku i zabierała oddech swoimi wilgotnymi wargami, poruszeniami zadu towarzyszyła jego pchnięciom, jak gdyby chciała go mieć w sobie coraz głębiej i głębiej, zatrzymywała go w sobie przedziwnym uściskiem mięśni swojego łona.

Krótko to trwało, bo zbyt ją pożądał. Poczuła w sobie wytrysk jego nasienia, drgnęła całym ciałem i z jakiejś ogromnej wdzięczności zaczęła całować jego dlonie, włosy, szyję i policzki, a także powieki. Wyszedł z niej i odepchnął od łoża, zaskoczony tak gwałtowną na-

Splunął pogardliwie i rzekł rozkazująco:

— Pilnujcie tych drzwi. Nikomu tam wejść nie wolno.

Ruszył korytarzem, potem zszedł do dolnej sieni, wzywając do siebie wojowników.

— Normanowie, poukładajcie się do nieprzytomności — poinformował go Hodon.

— Związać ich — zdecydował Dago.

Wyszedł na podwórzec i natknął się na Awdanica i Kuia oraz kilkunastu żołnierzy.

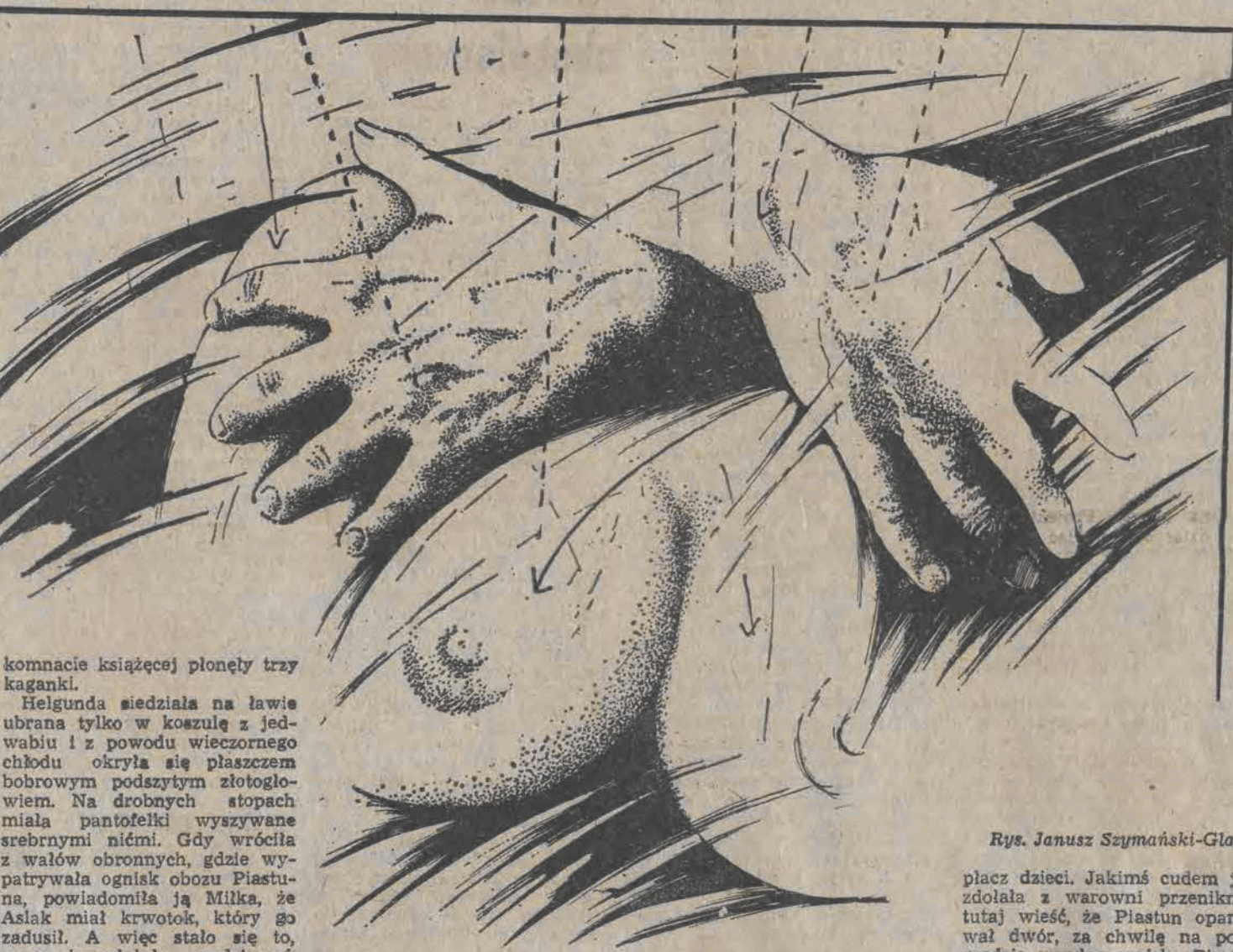
— Pójdziecie ze mną — polecił.

Czas mijał szybko. Oto niebo już lekko poszarzało, ten i ów gasił pochodnię.

Ruszyli ku bramie z warowni na podgrodzie. Otworzyli ją i Dago mając przy sobie Awdanica i Kuia, otoczony przez dwudziestu Lestków z obnażonymi mieczami, poszedł wolno przez główną ulicę aż do drugiego podgrodzia. Na ulicy nie spotkali nikogo. Tylko z domów słyszało się zawodzenie kobiet.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

placz dzieci. Jakims cudem już zdołał z warowni przeniknąć tutaj wieść, że Piastun opanował dwór, za chwilę na podgrodzie wpadła wojska Piastuna, rozpocznie się rabunek i gwałt oraz rzeź.

Otwarto bramę na wałach otaczających drugie podgrodzie i znowu usłyszeli jęki, krzyki i rozpaczliwy płacz kobiet.

Dzień wstał dziwnie szybko. Przy bramie, którą już wychodziło się na zewnątrz Gniazda — na wąskiej przesmyk łąki między jeziorami — ujrzeli kilkunastu tarczowników i łuczników Helgundy. Na widok Dagona i jego żołnierzy, zaczęli rzucać na ziemię włócznie, oszczepy, tarcze i łuki.

Dwóch tarczowników Helgundy chciało zasłużyć sobie na łaskę zwycięzcy i zaczęło wysuwać z uchwytów ciężką belkę podtrzymującą odrzwia bramy. I w tym momencie stało się coś zadziwiającego. Jakiś niskiego wzrostu wojownik o palakowatych nogach z lewym ramieniem nieco niższym niż prawe, chyba z lekkim garbem na piersiach, podniósł miecz, który uprzednio rzucił na ziemię i dwoma sztychami przebił ciała tych, co pragnęli otworzyć bramę. Kilku innych chciało chwycić tamtego i go pojąć, ale Dago podniósł prawą dłoń.

— Puście go! — rozkazał.

A kiedy to stało, zapytał Dago owego człowieka:

— Cóż uczynił? Czy nie zdobył Gniazda?

Wojownik ów nie rzucił miecza, którym zabił tych, co chcieli otworzyć bramę. Powolnym gestem schował swój miecz do pochwy.

— Wykonałem, panie, twój rozkaz — powiedział chrapliwym głosem.

Dopiero teraz zauważył Dago jak brzydka jest twarz tego człowieka, zniekształcona przez liczne blizny od ran zadanych nożem lub końcem miecza.

— Nikt nie słyszał, abym wydał taki rozkaz — rzekł Dago.

— Ja słyszę słowa, które nie zostały wypowiedziane...

— Znasz mowę ciała i mowę oczu?

— Nie. Ta sztuka jest mi obca. Ale słyszę słowa niewypowiedziane.

— Jak się nazywasz, człowieku?

— Spicimir, panie. Byłem kiedyś starostą grodu Spicimir, ale Giszur mnie pokonał. Zmuszono mnie, abym się ukorzył i służył księżnej Helgundzie dla swych właściwości słyszenia nie wypowiedzianych słów.

— Słyszałeś więc mój niewypowiedziany rozkaz, Spicimirze. Jak on brzmiał?

— Wkrótce nastanie dzień i twoje wojsko, panie, zobacz na szczycie obwałowań warowni twój znak z białym ptakiem. Wtedy rzucą się na Gniazdo i jeśli brama nie będzie zamknięta, zaczyna rabować, zabijając, paląc. Na tych podgrodziach są warsztaty rzemieślników, którzy będą ci potrzebni. Są składy futer, wosku, rzeczy drogieńnych. I wszystko to spłonie, panie. Dlatego nie chciałeś, aby otwarto bramę.

Zamyślił się Dago, a potem skinął głową:

— W istocie, tak właśnie brzmiał mój nie wypowiedziany rozkaz i dobrze go wykonałeś, Spicimirze. Ta brama musi być zamknięta a na obwałowaniach podgrodzia rozstaw Spicimirze łuczników i tych, co ciskają włóczniami.

Za plecami Dagona odezwał się któryś z Lestków:

— Obiecałeś, panie, wojsku, że będą mogli rabować i niewolić kobiety. Gdy ujrzą znaki orla na warowni, rzucą się na tę bramę.

Spojrzał Dago na Spicimira i zapytał:

— Jak brzmi mój nie wypowiedziany rozkaz?

— Ci, co rzucą się na bramę Gniazda, to ludzie, którzy nie są posłuszni dowódcom, ale tacy, co poszli za tobą, bo pragną tylko mordu i niewolenia kobiet. Czy ten kraj ma mało kobiet, które mogą zaspokoić mężczyzn? Czy to trzeba robić tutaj, w Gnieździe, gdzie jest tyle bogactwa? Rozkazujeś, panie, aby strzelać z luków i razić włóczniami tych, co popędzą do bramy Gniazda. Takich ludzi nie szkoda.

Skinął Dago głową:

— W istocie Spicimirze, słysząc nie wypowiedziane ustami słowa. Nakazuje strzelać i razić włóczniami tych, co rzucą się na Gniazdo, łamiąc rozkazy dowódców. Albowiem nakazałem wojewodzie Pałuce, aby wojsko pozostało na swoich miejscach uszeregowane w oddziały.

A potem zwrócił się do swoich żołnierzy:

— Zabieram was do warowni z sobą, aby nikomu nie przyszła ochota otworzyć bramy. Nałożę wielki trybun na to miasto i rozdzielię łupy sprawiedliwie między wojowników. Ale łupy nie mogą spłonąć.

Potem rzekł do Spicimira:

— Tobie powierzam obronę podgrodzia. Każ żołnierzom, którzy go do tej pory bronili, aby wyszli z ukrycia i stanęli na wałach. A gdy Pałuka zaprowadzi porządek w moim wojsku, wszyscy ludzie czy to rzemieślnicy, czy kupcy, czy żołnierze, będą mieli prawo oddać się w moje piastowanie, a ja dam im życie i wolność.

I chciał ruszyć Piastun z powrotem ku warowni, kiedy zabiegł mu drogę Spicimir i zapytał:

— Słyszałem, panie, twój nie wypowiedziany rozkaz. Czy naprawdę kazałeś mi, abym po odparciu nieposłusznych ci wojowników wytoczył z bramy czterdzieści beczek piwa i syconego miodu, żeby wojsko twoje mogło się radować zwycięstwem?

— To powiedziałem bez słów — znowu skinął głową Dago i wraz ze swymi Lestkami powrócił przez wymarłe ulice do warowni.

C.D.N